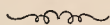


DLA ZAGRZEBIA.

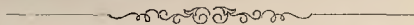
DLA ZAGRZEBIA.



ALBUM

KOŁA LITERACKIEGO

WE LWOWIE.



LWÓW.

NAKŁADEM KOŁA LITERACKIEGO.

1881.



1845/49

79161
III

Kryzaniowski, Kraków

8.9.1949, nr 280



SPIS RZECZY.

	Strona
PRZEDMOWA	VII
LISKE XAWERY, dr. fil., członek akad. umiej., prorektor uniw., prezes „Koła literackiego“.	
Mikołaj z Popielowa	1
HORAIN JULIAN, b. red. „Gaz. Pol.“ w Chicago.	
Rażony piorunem, humoreska	7
OCHOROWICZ JULIAN, dr. fil., doc. uniw.	
Istota bytu, legenda filozoficzna	15
KRASZEWSKI J. I., dr. fil. uniw. krak. i lwowsk., czł. akad. umiej.	
Urywki	24
MAŁECKI ANTONI, dr. fil., czł. akad. umiej., b. prof. uniw.	
Filomaci w Wilnie	25
CHEŁDOWSKI KAZIMIERZ, dr. praw.	
Żyd wieczny i dziennikarstwo	35
ZGÓRSKI ALFRED, dr. fil., redaktor „Związku“.	
Nędza najobfitszém źródłem dochodu	39
TRETIAK JÓZEF, prof. gimnaz.	
Nowe hasło	45
ANTONIEWICZ-BOŁOZ MIKOŁAJ.	
Mój kwiatek	48
KĘTRZYŃSKI WOJCIECH, dr. fil., czł. kor. akad. umiej., dyr. zakł. nar. im. Ossolińskich.	
Czartowiec a Hartowiec	49
STARKEL ROMUALD, prof. szkoły realnej.	
Samowar, humoreska	51
GRELIŃSKI JÓZEF, sekr. galic. tow. rolnicz.	
Mucha i świętojanek	57
Łza matki	58
PROCHASKA ANTONI, dr. fil., adjunkt arch. kraj.	
Wyzwanie na pojedynek w XV. wieku	59
KLECZYŃSKI JÓZEF, dr. praw, doc. uniw.	
Znaczenie ludności dla państwa	63
KANTECKI KLEMENS, czł. pozn. tow. przyj. nauk, sekr. liter. zakł. nar. im. Ossolińskich.	
Pani starościna rawska	67

	Strona
BIERNACKI M. (RODOŃ), redaktor „Tygodnia“.	
Bravissimo	72
KOZŁOWSKI WŁADYSŁAW.	
O temperamentach	73
FREDRO hr. JAN AL., wiceprezes „Koła literackiego“.	
Szachy	79
MERUNOWICZ TEOFIL, sekr. rady pow. lwowsk.	
Aforyzmy dziennikarskie	82
RADZISZEWSKI BRONISŁAW, dr. fil., czł. kor. akad. um., prof. uniw.	
Czego chemii potrzeba?	86
BARANOWSKI BOLESŁAW, inspektor szkół	
Etnograficzne i językowe stanowisko Kroatów	89
GOLDMAN BERNARD, dr. praw, poseł na sejm.	
Kapitał akcyjny wied. instyt. finansowych	94
SIEMIŃSKI JAN Ks., dr. prawa kanonicznego.	
Cześć cudzoziemców dla Mickiewicza	98
ROSZKOWSKI GUSTAW, dr. praw, prof. uniw.	
O projektach kodyfikacji prawa wojny	103
SAWCZYŃSKI ZYGMUNT, radca szkolny, dyrektor semin. naucz. męsk.	
Czego żądają od nauczycieli ludowych?	110
URBAŃSKI AURELI.	
Arlekin, fantazya karnawałowa	116
STRZELECKI HENRYK, dyr. szkoły gosp. leśnego.	
Słódko o ważności lasu	121
ĆWIKLIŃSKI LUDWIK, dr. fil., prof. uniwers.	
Attalidzi i literaci w Pergamon	123
ZAGÓRSKI WŁODZIMIERZ.	
Vanitas vanitatum, urywec z poematu	130
BILIŃSKI LEON, dr. praw, czł. akad. umiej., prof. uniwers.	
Trzęsienie ziemi i konjunktury gospodarcze	137
WILCZYŃSKI ALBERT.	
Zbrodnia urzędowa, humoreska	144
PAWŁOWICZ EDWARD, kustosz muz. narod. im. Ossol.	
Imieniny Zana	151
BELZA WŁADYSŁAW, członek pozn. tow. przyj. nauk, red. „Towarzy- sza“, sekretarz „Koła literackiego“.	
W królestwie ruin	159

PRZEDMOWA.

Wielkie nieszczęście, jakie dotknęło mieszkańców miasta Zagrzebia, wywołało dowody współczucia w najdalszych krajach europejskich, tém bardziej przeto u nas. Koło literackie we Lwowie zatém, poczuwając się i ze swój strony do obowiązku udowodnienia czynnym sposobem swego współczucia dla tak ciężko nawiedzonej ludności, postanowiło na zgromadzeniu z dnia 26. Listopada 1880 r. ogłosić album prac literackich, napisanych wyłącznie przez członków swoich, a dochód z rozprzedaży téj książki przeznaczyć w całości na rzecz katastrofą dotkniętych Zagrzebian. Trzymając się zaś zasady, że *bis dat, qui cito dat*, postanowiono nie zwlekać sprawy, lecz ogłosić album to w jak najkrótszym czasie. Z tego wynikło, że obszerność ogłosić się mających rozpraw, ograniczyć było trzeba do o ile możności jak najmniejszych rozmiarów, aby je i napisać i wydrukować można w czasie jak najkrótszym. Chcąc druk albumu ukończyć co najpóźniej do połowy Stycznia, mieliśmy wszystkiego razem zaledwie sześć tygodni do dyspozycji na zebranie materiału i wydrukowanie zamierzonej książeczki.

Tak powstała ta pierwsza publikacya Koła literackiego we Lwowie. Szanowni czytelnicy zechcą łaskawie wybaczyć jój niedostatki, które, aczkolwiek nam samym znane jak najlepiej, usunąć się nie dały wobec niesłychanego pośpiechu, z jakim ogłoszenie uskutecznić należało. Jeżeli zaś mamy nadzieję, że książka ta rozejdzie się w najdalszych zakątkach kraju, to zaufanie nasze nie opiera się na jój treści, lecz jedynie na celu, dla którego została wydana.

We Lwowie dnia 1. Stycznia 1881 r.

W imieniu Koła literackiego:

Prezes

Dr. Karłowicz

Sekretarz

Władysław Pelczar

MIKOŁAJ Z POPIEŁOWA.

Oryginalny to sobie był szlachcic ten Pan Mikołaj z Popielowa. Pełen fantazyi i dobrego humoru, obdarzony darem spostrzegawczym, jak mało kto, na animuszu rycerskim i ogromnej sile fizycznej wcale mu nie zbywało, a przytem i piórem umiał zręcznie władać, nie mniej zręcznie jak swoją ogromną lancą. Za ciasny był dla niego kraik rodzinny, Szląsk. Parło go coś bezustannie w dalekie strony, nie umiał nigdzie na dłuższy czas zagrząć jednego kąta, zwiedził więc i środkową i zachodnią i południową Europę, a kiedy i takie, jak naówczas bardzo dalekie podróże, nie potrafiły zaspokoić jego ciekawości, puścił się dwukrotnie na północny wschód.

Wiemy, że urodził się we Wrocławiu, prawdopodobnie około połowy XV wieku. Pochodził z dość majątnej szlacheckiej rodziny, która się pieczętowała herbem wielce podobnym do Bończy. Ojciec jego Kasper z imienia pozostawił dwom swoim synom Kasprowi starszemu i naszemu Mikołajowi młodszemu wcale znaczny majątek w dobrach ziemskich i gotowiźnie. W jakich szkołach się kształcił młody Mikołaj, nie wiemy; tyle jednak poznać nie trudno, że nie zbywa mu na wykształceniu, że zwłaszcza łacińskim językiem władać umie biegle. W r. 1473 ciężko zachorował we Wrocławiu, stanął więc dział majątkowy pomiędzy nim a bratem na dniu 20. lipca, a Mikołaj tak się czuł zagrożonym, że spisał ostatnią swoją wolę. Wstał jednak znów z łoża boleści i wrócił zupełnie do dawnego zdrowia. Później

wstąpił do służby ówczesnego cesarza niemieckiego Fryderyka III i takie sobie n. pana swego zyskał względy, że cesarz dyplomem z 11. stycznia 1483 r. nadał JMCJPanu Mikołajowi i jego potomkom prawo — wówczas bardzo cenione, bo przysługiwało tylko najwyższym dostojnikom — pieczętowania się woskiem czerwonym, a herb jego przyozdobił różnymi dodatkami między innemi złotą koroną na hełmie. W kilkanaście dni później (27. stycznia) nadał mu cesarz tytuł *comes palatinus* z prawem kreowania dziesięciu doktorów prawa kanonicznego. I jedno i drugie nadanie były widocznie nagrodą za nieznane nam bliżej usługi JMCJPana Mikołaja, a zarazem upominkiem na drogę i pożegnaniem, bo Pan Mikołaj nie uniejąc długo wysiedzieć na jednym miejscu, party wewnętrznym niepokojem i ciekawością w obce, dalekie strony, uprasza sobie niebawem od cesarza polecające listy do obcych monarchów i już w dniu 2. lutego 1483 r. opuściwszy dwór cesarski, rusza z Wiednia w podróż przez Niemcy do Anglii, Portugalii, Hiszpanii, Francyi.

Zatrzymując się po dworach książąt, panów i kościelnych dostojników niemieckich przybył Mikołaj do Malines dopiero na zapusty r. 1484. Orszak miał nieliczny z sobą, sam jechał na wozie, konia wierzchowego prowadzono obok. Olbrzymia lanca, tak wielka, że nikt prócz niego dzierżyć jej nie umiał, wisiada zawieszona wzdłuż wozu. Tą lancą wyprawiał przed licznym zgromadzonym ludem w Malines różne igrzyska ku powszechnemu zdumieniu. Widocznie podobało się Panu Mikołajowi w Malines, bo zabawił tu do półpostu. Zwiedził potem Antwerpię, a wreszcie przeprawił się z Middelburga do Anglii. Upzejmie i gościnnie przyjęty na dworze szekspirowskiego Ryszarda III, którego zwyczaje i obyczaje ciekawie opisuje, opuścił Anglię w dniu 5. czerwca 1484 r., przeprawił się morzem do Portugalii i stanął w St. Jago dnia 21. lipca. Znaczną część Portugalii zwiedził bardzo dokładnie; na dworze króla Jana przebywał przez dłuższy czas i opisał go z wielkim humorem i właściwą sobie dosadnością. Podziwiał ludzi i płody przywożone z odkryć afrykańskich, z którymi się zapoznał z wielką gruntownością. Zwyczaje portugalskie odmalował znakomicie i zręcznie, niepomijając żadnego ciekawego szczegółu.

Jako próbkę przytoczę choć krótki ustęp z opisu dworu portugalskiego:

„Leniwy to naród ci Portugalczycy — powiada nasz podróżnik — pracować nie lubi, nawet za pieniądze ani swoich ani obcych w gościnę nie przyjmuje. Gburowaci to, niedobrzy, nie-litościwi ludzie, nie wyjmując czeladzi królewskiej. Kiedym stanął przed Jkrmcia, cisnęli się aż na mnie i zazierali mi w gębę, tak, że ich aż król spojrzeniem, słowem i giestem odpędzał, bo to bardzo mądry pan. Kiedym zaś królowi na pytania odpowiadał, znów się zlatywali, chcąc słyszeć, cobym do króla mówił, chcąc oglądać moje ubranie i moje dekoracye, którem przy tak uroczystej okazji włożył na siebie. Król wtedy znów ich odpędzał. Jako pan wielce mądry zadawałnia się król przy stole tylko czterema lub pięcioma potrawami, pije tylko czystą wodę wprost ze źródła bez cukru, korzeni lub czegokolwiek. Książę zaś, syn jego, pija wino z wodą, jada te same potrawy, co ojciec, ale z innych naczyń. Sług, usługujących ojcu i synowi przy stole, jest zwykle dziesięciu, stoją oni ordynkiem przed stołem, a często kładą się na stół rękami i ciałem do połowy, król zaś jako pan bardzo łaskawy znosi takie uchybienie. Sześciu do ośmiu chłopów siedzą u nóg królewskich pod stołem, dwóch zaś obok króla, jeden po każdej stronie, ci odpędzają muchy jedwabnymi wachlarzami. Pomiedzy nich rozdziela król pierwsze danie z owoców, których sam nie jada, nie zapominając o tych pod stołem. Nie używa też król noża przy stole, chleb odgryza zębami albo łamie ręką, tak samo jak król polski (Kazimierz Jagiellończyk), skoro nie ma gości u stołu, choć mu kładą nóż przy nakryciu. Syn króla portugalskiego zaś używa noża. W ogóle służą i ojcu i synowi jakoby na jakim lichym dworze, a potrawy i napoje wcale nie są osobliwe.“

21. września przeprowił się z Lizbony do hiszpańskiego miasta Lagos. I tutaj znów udał się na dwór królów katolickich Ferdynanda i Izabelli i podał nam o nim liczne ciekawe wiadomości. W czarnych kolorach maluje ówczesne stosunki kraju tego, a zwłaszcza dominujące stanowisko, jakie w nim żydzi zajmują.

Zniechęcony do dworu hiszpańskiego, zgorszony obyczajami na nim panującymi, obrzydziwszy sobie ludność tamtejszą, jej niemoralność, brak ogłady i wykształcenia, zdzierstwo i chciwość, które mu się na każdym kroku dawały we znaki, opuścił 5. lutego 1485 r. kraj hiszpański i stanął na terytorium francuzkiem.

Tutaj we Francyi spotkały go liczne awantury, zrabowano i odarto go, trzymano go w więzieniu, zabrano mu papiery, czego najbardziej żałował, a mimo usilnych starań na dworze króla francuzkiego zwrócono mu tylko część zrabowanych przedmiotów. Ówczesny Paryż nie wielkie na nim zrobił wrażenie. „Co do wielkości — powiada — jest Paryż trochę większy od Pragi, ale Praga ma domy ozdobniej zbudowane, Paryż za to jest gęściej zabudowany, nie ma tam tylu pustych placów jak w Pradze.“

Przez Belgię wrócił potem do Niemiec, a spotkawszy się w mieście Ulm z cesarzem, który go powitał z wielką łaskawością, i zatrzymawszy się w powrocie ponownie na dworach rozmaitych książąt niemieckich, stanął wreszcie przy końcu sierpnia 1486 r. we Wrocławiu.

Nie długo tutaj odpoczywał. Zwiedziwszy zachód i południe Europy, postanowił teraz poznać północny wschód, a przede wszystkim Moskwę. Cel tej podróży utrzymywał w takiej tajemnicy, iż powszechnie sądzono, że udaje się przez kraje tatarskie do ziemi świętej, co się też odbiło w wiadomościach o życiu jego. Puszczając się w podróż tak niebezpieczną, postanowił rozporządzić swoim majątkiem.

Spisał więc 4. września 1486 r. nowy testament tak oryginalny jak cały żywot tego człowieka. On sam zawsze stronił od płci pięknej. Pocieszenie nam opisuje, jak się to w Anglii opędzać musiał rozkosznym białogłowom, chcącym go sprowadzić na bezdroża, a przy podobnej sposobności w Hiszpanii powiada nam, że nigdy nie znajdował przyjemności w pocałunkach płci pięknej, do czego przepisywacz jego pamiętników dodaje: „O! głupi Mikołaju!“ — Nie ożenił się więc nigdy. Lecz czy sam czuł, że mu to na dobre nie wyszło, czy też miał inne do tego powody, dosyć, że w testamencie swym zapisał rocznych 16 grzywien srebra, zabezpieczonych na dwóch kamienicach wrocławskich dla ubogich i pobożnych ludzi, którzyby chcieli wstąpić w związki małżeńskie a nie mieli środków na utrzymanie rodziny.

Po urzędowem umocowaniu tej ostatniej swej woli puścił się w podróż do Moskwy w dniu św. Michała 1486 r., mając ze sobą tylko dwóch sług.

Z podróży tej, o której mamy tylko bardzo niedokładne wiadomości, wrócił Mikołaj, jadąc przez Polskę, już w marcu następnego roku napowrót do Norymbergii, gdzie się spotkał

z cesarzem Fryderykiem. Cesarz wielce zainteresowany opowiadaniem Mikołaja, porучzył mu teraz dyplomatyczną misję do wielkiego księcia. Jako poseł cesarski miał się Mikołaj powtórnie i to niebawem udać do Moskwy. Lecz ciężka choroba przykuła go na kilkanaście miesięcy do łóżka, tak, że podróż ta odwlekła się aż do końca r. 1488. Zaopatrzony w cesarskie pełnomocności, ze świtą o wiele liczniejszą niżeli dawniej stanął Mikołaj przy końcu stycznia r. 1489 powtórnie w Moskwie a załatwiwszy poruczone sobie sprawy wrócił przez Szwecję i Danię do Lubeki w pierwszej połowie następnego roku. Podróżami temi tak sierał sobie zdrowie, że niedługo potem zeszedł ze świata w samej sile dojrzalego wieku.

Pozostał po nim opis podróży z lat 1483—1486 w niemieckim języku napisany.

Pan Mikołaj był pisarzem niepoślednim. Opowiadał z wielką werwą, opisywał z życiem, umiał robić trafne spostrzeżenia, mówił prawdę, nie kazał się przesadą ani kłamstwem. Ton jego naiwno rubaszny dodaje wiele uroku całemu jego opowiadaniu a niektóre opisy tak są barwne i tryskające życiem, tak plastyczne, że zdawać nam się może, jakobyśmy sami patrzeli na opisywane przez niego sceny. Istny to Pasek, tylko o 200 lat od niego starszy. Pod względem politycznym z opowiadania jego nie wiele się da wydobyć ciekawych szczegółów, ale pod względem obyczajowym znajdzie tu poeta, artysta, powieściopisarz mnóstwo drobnych lecz wielce charakterystycznych rysów, które nam znakomicie odzwierciedlają ówczesne zwyczaje i obyczaje. W każdym razie opowiadanie to należy do najciekawszych, jakie z tak odległych czasów posiadamy a opis pobytu jego w Portugalii i Hiszpanii zająć może najszerze koła czytelników. Polskę znał on widocznie dobrze. Opisując obce ludy i kraje, chętnie posługuje się porównaniami ze stosunkami polskimi. I tak podając charakterystykę Anglików, mówi: „Co do obyczajów porównać można Anglików w ten sposób z innymi ludami: zamiłowaniem przepychu i skłonnością do złodziejstwa dorównują Polakom, grubiaństwem i wściekłym okrucieństwem Węgom, podstępem i skąpstwem Lombardom. Przescigają atoli Polaków w przebiegłości, Polacy bowiem więcej się kochają od Anglików w uczciwości i honorze.... Wielce też podobna Anglia do Polski w tem, że, kiedy nieprzyjaciół wpadnie do kraju a król wyruszywszy przeciw niemu

poniesie stanowczą klęskę, zwycięzca posiedzie cały kraj, jak to i w Polsce dzieć się zwykło. Nie żałują też Anglicy wielkich wydatków na ucztę i wygodne życie, nie dorównywają jednak co do tego Polakom.“ Mówiąc o zamieszaniu religijnem w Hiszpanii, dodaje: „Niektórzy karzą króla polskiego, jakoby niesłusznie postępował, pozwalając w kraju swoim rozmaitym wyznanom swobodę, a przecież w krajach króla hiszpańskiego znajdziesz więcej przechrztów i zakapturzonych żydów a prócz tego niewiernych Saracenów, niż szczerých, prawych chrześcijańskich ludzi.“

Te kilka słów o Mikołaju niech tymczasowo wystarczą, aby dać poznać naszego podróżnika zanim kiedyś na innem miejscu zapoznamy łaskawych czytelników dokładnie z opowiadaniem jego.

Znając naszego autora, powiedzieć możemy na pewne, że spisał on niezawodnie także opis podróży swej przez Polskę do Moskwy. Niestety nie mogliśmy go dotychczas odszukać a obiecywalibyśmy sobie po nim nie mało.

Xawery Liske.

RAŻONY PIORUNEM.

HUMORESKA.

„Jeżeli kłamię, niech mnie piorun trzaśnie“!
Tak mówił kłamca — wtem zagrzmiało właśnie,
A on czemprowadź dokończając mowy:
„Żem zawsze kłamał i kłamać gotowy“.

Al. hr. Fredro.

Strasliwa burza szalała nad Mińskiem litewskim: czarne chmury przetykane błyskawicami, zakrywały horyzont; deszcz pomieszany z gradem lał jak z wiadra; grzmot i bijące co chwila pioruny głużyły wycie wichru i łoskot łamiących się topoli, któremi główny plac miasta był osadzony. Niedostawało tylko trzęsienia ziemi, aby piękny i pocziwy gród litewski został tak w ruinach i gruzach zagrzebany, jak to się stało niedawno z pobratymczym nam Zagrzebiem, którego niedoli i my staramy się w części zaradzić.

Naprawdę pokojówki obiegały domostwa z loretańskimi dzwoneczkami; naprawdę trwożliwi leżeli w pierzyny jako złe przewodniki elektryczności; naprawdę stare panny wypędzały z domów psy i koty, choćby nawet faworyty: — burza coraz stawiała się wścieklejszą.

Wszakże nie tylko na zewnątrz było tak straszno na Bożym świecie; — wewnątrz domu pana Jerzego również dokazywała burza; ale gdy powodem pierwszej była walka żywiołów, powodem domowej był... mały bilecik na różowym papierze, który

zbląkawszy się w drodze, zamiast do rąk pana Jerzego, przypadkowo dostał się do rąk jego zacnej połowicy, Kunegundy z Klótnickich.

Burze żywiołów nie często zdarzają się na Litwie; ale burze małżeńskie w domu pana Jerzego bywały codzienne, a nawet po kilka razy na dzień. Najmniejsze zboczenie z drogi wskazanej mu przez ząną połowicę, wywoływało takowe. Pan Jerzy z pokorą i cierpliwością męczenników, a filozofią Sokratesa, ulegał temu; ale w owej chwili przebrała się miara cierpliwości — wszakże u pani Kunegundy tylko. Pani Jerzowa trzymała w ręku *corpus delicti* na różowym papierze. Były na nim wypisane następne niewinne wyrazy: „Sercem najukochańszy Jurasiu i najosobliwszy dobrodzieju! Przypominam Ci mój kotku, że pojutrze Boże Ciało, a ja nie mam modnego kapelusza! Jakże się pokaże na procesyi twoja duszyczka w przeszłorocznym kapeluszu? Ściska Cię serdecznie i oczekuje Twego przybycia — *Twoja pieszczotka*.“

— To ty taki paterek? — huczała gniewnie pani Kunegunda — takie odbierasz listy?! Mów mi zaraz, kto jest ta bezwstydnica co do ciebie ten list pisała? Pójdę, wydrapię jej oczy!

— Ależ moja Kunusiu! zreflektuj się, to pomyłka, to pewno nie do mnie.

— Nie do ciebie, hultaju! Patrz adres: „A Monsiu, Monsiu Juraś, do rąk własnych, do oczu jasnych“. I to nie do ciebie?

— Jest to pewnie figiel któregoś z moich przyjaciół. Ja im figle płatam, oni się mi wywzajemniają.

— Wierutne kłamstwo! — wołała jeszcze bardziej zaperzona pani Jerzowa. — Powiem ci niegodziwcze, że to sama Opatrzność włożyła mi w rękę ten szpargał: powracam od Bernardynów zbudowana kazaniem wielbnego gwardyana, aż patrzę, że twój fąktor Żyśko, ten łotr, ten ładaco taki jak ty, rozmawia w bramie z moim stróżem i coś mu w rękę wtyka; ale zobaczywszy mnie, zemknął w przeciwną stronę.

— Czego chciał od ciebie ten żyd? — pytam stróża.

— To tak, nic, jasnie pani.

— Pokaż, co trzymasz w ręku?

— To tak, nic, jasnie pani.

— Pokaż natychmiast!

Aż on ściska rękę i stara się wsunąć ją w kieszeń. Nie mogłam znieść tej obelgi... muszę odetchnąć... jak go pogłaskam po twarzy i zamierzę się z drugiej strony... Chcąc się zakryć ręką, upuścił ten szpargał. Teraz na ciebie kolej: mów mi natychmiast, kto jest ta bezwstydnica, ta twoja duszyczka, która ten list pisała?

— To może mój siostrzan Kleofas, który jak wiesz niedawno skończył szkoły; chce mu się popisać w nowym kapeluszu na procesyi...

— I on do ciebie pisze: „sercem najukochańszy Jurasiu!”

— Jak był mały, ja go nazywałem Kleofasikiem a on mnie Jurasiem.

— Boże! cierpliwości! I ty głupcze myślisz że ja temu uwierzę? Masz! mów mi zaraz, jaka to małpa ten list pisała?

Pan Jerzy, jak przed chwilą stróż jego domu, chwycił się za pogłaskany policzek i płaczącym już głosem bronił swej przegranej sprawy.

— A może to naprawdę jaka małpa. Wiesz Kunusiu, że przebywa obecnie w mieście menażerya; są tam bardzo piękne i ciekawe małpy; ja chodzę je odwiedzać i robię im małe prezenta z cukierków, owoców itp.; one mnie znają i bardzo Kochają. Wiesz, że to są bardzo zmyślne zwierzątka. Może której zachciało się kapelusza i... napisała.

— Boże! Ty to słyszysz i nie grzmisz!

— Przeciwnie Kunusiu, grzmi ciągle, burza się wzmaga, pioruny biją.

— A niema ani jednego, któryby ciebie zabił!!!

Wtem, po czarnych chmurach przeleciała wężykowata błyskawica; ze strasznym hukiem grom w pobliżu uderzył, a pan Jerzy jak stał przy ścianie, chwycił się za piersi i osunął się na podłogę.

Niepodobna wyobrazić sobie zdumienia, przestachu, przerażenia pani Kunegundy. Pierwsze jej słowa były:

— Wielki Boże! jam ten piorun wywołała! Wymówiłam te bluźniercze słowa w nieszczęsną godzinę... ziściły się. Ratunku! kto w Boga wierzy! Biegajcie po doktorów!

Na te rozpaczliwe wołania zbiegli się wszyscy domownicy: zaczęto się krzątać, rozbierać bezwładnie leżącego Jurasia, a

Kunusia prawie bezprzytomna chodziła po sali z załamanemi rękami, powtarzając bezmyślnie słowa:

— Mój piorun go zabił! mój piorun go zabił!

— Jeszcze ciepły! — odezwał się stary kucharz — prędko wykopać dół w ogrodzie i wstawić go tam: powiadają, że ziemia wyciąga piorun.

— Zakopcież i mnie z nim razem. Mój piorun go zabił! mój piorun go zabił!!

— Ha! kiedy tak — odezwał się stróż, który pamiętał dobrze niedawne „pogłaskanie“ po twarzy — to wykopiem szerszy dół, aby i jaśnie pani mogła się w nim pomieścić.

— Nie, nie — zaprotestowała wdowa — kopcie dół na jedną tylko osobę.

Rozeszła się służba: jedni pobiegli po lekarzy, drudzy, pobrawszy rydlówki, zaczęli kopać dół w ogrodzie przed oknami sali. W domu został tylko nieboszczyk i jego wdowa. Podeszła do leżącego na podłodze męża i dotknęła się z lekka jego ręki.

— Zaczyna stygnąć — mówiła sama do siebie — doktorzy tu nie poradzą... Po prawdzie powiedziałwszy, trochę mi go szkoda; drugiego tak potulnego nie znajdę.

Wtem, postrzegła sakiewkę nieboszczyka leżącą na podłodze. Podjęła ją: w jednej połowie było trochę zdawkowej monety, w drugiej sporo złota.

— Anim się spodziewała — mówiła znowu do siebie — że on nosi przy sobie tyle pieniędzy... Przy największej troskliwości żadna żona nie potrafi zbadać wszelkich tajemnic mężowskich... Wszak tu będzie ze sto dukatów... Część tego przeznaczona była na kapelusz dla tej małpy... ale Bóg sprawiedliwy nie dopuścił tej obrazy... Wystarczy to na żałobę i na podzwonne; do pogrzebu przyjdzie się dołożyć, bo mu pogrzeb sprawię paradny! Doprawdy tracę głowę: o małym nie zapomniała, że pierwszym obowiązkiem wdowy jest, sprawić sobie modną i piękną żałobę... Kolor czarny bardzo mi jest do twarzy... Dobrze że już burza ustała... Skoczę prędko do kramu, kupię czarnej, wełnianej materii na sutą żałobę; u Delpeszowej pewno się znajdzie gotowy żałobny kapelusz... Trzeba się spieszyć, bo zaraz nadejdą lekarze.

Mówiąc te słowa, wzięła ze stołu kapelusz, od którego odpięła jaskrawe kwiaty i wstążki, narzuciła na siebie czarne okrycie i spojrzawszy w lustro — wyszła.

Skoro drzwi już były zamknięte, nieboszczyk podniósł głowę, spojrział dokoła i uśmiechając się powiedział:

— Figiel się udał; ale będzie mnie to kosztowało z kilkadziesiąt dukatów, bo już sakiewki nie odzyskam.

Potem wstał rażno, spojrział w jedno okna i zobaczywszy swoją wdowę już za bramą na ulicy, przeszedł pewnym krokiem do okien przeciwnych, przed którymi kopano pospiesznie dół, otworzył takowe i zawołał głośno:

— Boże dopomóż dziatki! pospieszajcie!

Z początku wszyscy aż krzyknęli z przerażenia, ale po chwili — przyzwyczajeni do figlów swojego pana — zaczęli się śmiać serdecznie, rzucili robotę i hurmem wtoczyli się do sali. Jednocześnie innemi drzwiami weszło aż trzech doktorów — przyjaciół pana Jerzego.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — zawołał jeden.

— I ja chwale — odparł pobożnie nieboszczyk.

— Cóż to za nowy koncept? — mówił drugi.

— W całym mieście już wiedzą, że cię piorun zabił — dodał trzeci — a są podobno i tacy co cię żałują.

— Pst! Uspokójcie się, nieplączcie po mnie. Sprawię wam dziś pyszną stypę u Cybulskiego; tylko na rany boskie nie przeskadzajcie mi być umarłym.

Przy śmiechu serdecznym obecnych, pan Jerzy objaśniwszy na prędce doktorom jak się rzeczy mają, sam zajął się zaimprowizowaniem swojego katafalku. Wniesiono tapczan, przykryto czarnem suknem, położono poduszki i postawiono w głowach dwa kandelabry z zapalonymi świecami. Pan Jerzy zapewniwszy się, że mu na katafalku będzie jako-tako, wyszukawszy prędko obrazek swojego św. Patrona na białym koniu i kawałek białego muślinu do związania rąk, przyodział się w czarny paradny frak i białe rękawiczki — i czekał powrotu żony. Lekarze chcieli już odejść, ale pan Jerzy uprosił ich, aby zostali i byli świadkami tej improwizowanej komedyi.

W tej chwili dały się słyszeć dzwony we wszystkich świątyniach.

— Słuchajcie, jak pięknie po mnie dzwonią! Pocziwa żona! i o tem nie zapomniła! Ale to znak, że prędko powróci, bo już też wprzód musiała ułatwić się z żałobą.

— Już powraca — zawołał ktoś z obecnych patrząc w okno.

Zaledwie miał czas nieboszczyk rozciągnąć się na wznak na tapczanie, wziąć w ręce obrazek swojego Patrona i poprosić, aby mu związane krepą ręce, gdy weszła splakana jego wdowa, a za nią dwie kupcowe, obciążone samemi żałobnymi towarami. Wdowa trzymała w rękach dwa wieńce: jeden z samych kwiatów ze srebrzystemi listkami, drugi z nieśmiertelników.

Otarłszy zalzawione oczy białą z czarnemi obwódkami chusteczką, oddała głęboki, żałobny ukłon obecnym.

Szanując tak wielką boleść małżonki, wszyscy milczeli, niektórzy zakrywali sobie oczy a bardziej usta — chustkami.

— Bóg mi go dał, Bóg mi go wziął — mówiła łzawym głosem wdowa. — Mój pior... — ale postrzegłszy się nie dokończyła wyrazu... — Czyż nie ma dlań żadnego ratunku? ciągnęła dalej. — Jesteścież przecie na to doktorami medycyny i chirurgii, abyście nas ratowali od śmierci.

— Tylko nie od pioruna — odezwał się jeden.

— Przeciwno woli bożej i medycyna nic nie poradzi — dodał sentencyonalnie drugi.

— A gdyby jeszcze spróbować puścić mu krew ze wszystkich żył i niektórych innych? — dorzucił trzeci.

Na te słowa nieboszczyk aż się skrzywił; ale to uszło uwagi jego wdowy, która perorowała dalej:

— Ach! bo nie wiecie panowie jaką stratę poniosłam! Nie możecie mieć wyobrażenia co to była za anielska dusza! Wszystkie cnoty kardynalne, wszystkie dary Ducha św. w nim się mieściły! Wyście go znali, wy szczególnież domowi...

— Och tak! — odpowiedzieli obecni, a żydówki łzy rękawami ocierały.

— Oto ja pierwsza składam ci wieńce pamiątkowe: ten niech ci poświadcza moją żałobę po tobie — a ten drugi, że będzie nieśmiertelną.

Złożyła na nieboszczyku oba wieńce: jeden na głowie, drugi w nogach.

— Ale podobno śp. mąż pani lubił figle płać? — odezwał się któryś z doktorów.

— Och, to były najniewinniejsze żarty: zła myśl, zła chęć, nigdy w nim nie powstały. Serce jego było przepełnione miłością dla mnie, przyjaciół, ludzkości.

— Przekonamy się o tem przy egzenterowaniu — przerwał poważnie trzeci lekarz.

— A cóż to? myślicie że ja na to pozwolę?

— Nie może być inaczej: śmierć nagła — to nasz obowiązek. Nawet koledzy, nie tracąc czasu przystąpimy zaraz do autopsyi, choćby pomimo woli pani.

— Pomimo mojej woli, i to w moim... chcę mówić w domu mojego śp. męża! tego nigdy nie bywało.

— Niestety! Prawo, obowiązek przedewszystkiem.

— I znajdziesz się między wami taki okrutnik, któryby ośmielił się krajać to piękne ciało? Patrzcie! Toż anioł w ludzkiej postaci! Zanadto był piękny, zanadto był dobry dla ludzi, więc go Stwórca sprawiedliwy przedwcześnie powołał do pułków anielskich!

— A jednak obdukcja sądowa musi być nad nim dopełnioną, odparł doktor — wyjmując z kieszeni instrumenta chirurgiczne; — a ty panie kucharzu przynieś mi natychmiast najostrzejszy nóż kuchenny.

— Dobrze jaśnie panie; mam przed pół rokiem wyostrzony. Nie myślałem nigdy, że on się przyda dla mojego dobrego pana — perorował kucharz, ocierając niby lzy fartuchem a właściwie zakrywając usta, gdyż się krztusił od śmiechu.

— Chyba po moim trupie dostąpicie do niego — wykrzyknęła już energiczniej wdowa — póki ja żyję nie pozwolę na tę profanację. A kiedy koniecznie chcecie, to mnie wprzód zarżnijcie!

— Dziękuję Kunusiu!! — ozwał się grobowym głosem nieboszczyk.

Na te słowa żydówki krzyknęły „gwałt“ i rzuciwszy towary uciekły; pani Jerzowa przerażona, spojrzała osłupiałemi oczami i w największym przestachu także wybiegła z pokoju; a wszyscy pozostali parsknęli śmiechem, trzymając się za boki. — Pan Jerzy krztusił się od śmiechu.

Nieboszczyk rażno zeskoczył z katafalku, rozerwał krepę krepującą mu ręce i wyprostował członki zeszywniałe niewygodnym leżeniem.

— Mnie tu nie ma co dłużej popasać. Dziś, a może i jutro nie powrócę do domu. A ty hultaju — mówił śmiejąc się do kucharza — co to masz na mnie nóż przed pół rokiem wyostrzony... doniesiesz mi jak przejdzie ferwor u pani.



Z przyległego pokoju dał się słyszeć śmiech serdeczny.

— Wy nieodrodni synowie Eskulapa, idźcie ratować moją żonę. Puszczajcie jej krew, egzenterujcie jeśli wypadnie potrzeba; ale za parę godzin zapraszam was do traktyerni Cybulskiego na moją stypę.

— Przyjdziemy! a niezapomnij o ponczu!

M O R A Ł :

Kto chce być pochwalonym przez własną żonę za życia, powinien co najmniej udać umarłego.

Julian Horain.

ISTOTA BYTU.

LEGENDA FILOZOFICZNA.

„Podobnie jak ogień, polany oliwą
ofiarną, silniejszym tylko wybucha pło-
mieniem — tak i pragnienia nasze, gdy
je usiłujemy zaspokoić, stają się niena-
syconemi.“ *Księgi Manu, ks. II.*

Pewnego razu, a jest temu lat 3000, król Janaka powziął myśl dziwną. Najpotężniejszy z władców zapragnął dowiedzieć się, kto jest najmędrszym z kapłanów. Zaprosił tedy uczonych, którzy mieszkają na północy i tych, którzy mieszkają na wschodzie rzeki świętej, i stanąwszy pośród nich, rzekł: „Tysiąc krów, których rogi obciążone są dziesięcioma *pādas* złota, daję w nagrodę temu, kto się okaże najmędrszym z ludzi i wytłomaczy nam tajemnicę bytu.“

Brahminowie spoglądali po sobie, milcząc. Wtedy wystąpił z pośród nich młody kapłan o wyniosłym czole i smutnym uśmiechu, mówiąc:

— Ja nim jestem, *anūcānatama*: najmędrszy z brahminów.

W szeregach rozległ się szmer zdziwienia. Dziewięciu uczonych, a między tymi jedna *brāhmanī*, niewiasta z kasty kapłanów, poczęli mu zadawać pytania, by się przekonać, czy mówił prawdę.

*Yājñavalkya*¹, tak się bowiem nazywał młody brahmin, nie cofnął się przed żadnym zagadnieniem.

— Jeśli zaprawdę jesteś najmędrszym z nas — mówiono doń — wytłomacz nam tajemnicę bytu: czem jest świat, czem jest duch?

— Jest tylko jeden byt — mówił *Yājñavalkya* — bezmierny, nieujęty. Brahma jest nim. Gdy się daje widzieć, jako świat, jest sznurem pereł — gdy się daje myśleć jako duch, jest nicią, która je łączy. Rozum jest duszą świata, świat jest ciałem rozumu. Kto widzi świat, Brahma w nim widzi siebie; kto myśli ducha, Brahma w nim myśli siebie. Jest on garniarzem i gliną wszystkich naczyń, pajakiem wszystkiej pajęczyny, ogniskiem wszystkich płomieni, powietrzem wszystkich tchnień, duszą dusz, które na podobieństwo drobnych iskier wytryskają z ogniska, aby błyszczeć chwilę i znów upaść na łono Brahmy i w nim gasnąć i świecić na wieki — bo on jest, który powiedział: *aham*, ja, który jestem sam przez siebie: *Swayambhouva*, bezgraniczny, niezniszczalny, jeden byt i wszystek byt.

I mówił tak dalej, odpowiadając na ich zarzuty, a brahminowie słuchali go z wzrastającym podziwem. Gdy skończył jedno-myślnie przyznano mu nagrodę.

Zostawszy sam, *Yājñavalkya* wsparł płonące czoło o pień olbrzymiej palmy i uśmiechając się gorzko, rzekł do siebie:

— I oni to nazywają wiedzą!... Jak błędny ognek *khadyoty*² świecą moje myśli dla tych, którzy są w ciemności, ale nie dla mnie! O *Agni*! czemuż raczej strzała twoja nie przeszyje tej pustej piersi, w której wre żądza wiedzy niewygasła i nienasycona!

Za chwilę, jakby powziął postanowienie, zwrócił swe kroki ku domowi. Uściskał obie swoje żony, tę która знаła księgi i tę której umysł był uśpiony, rozdał między nie wszystkie swe bogactwa, wdział na się szaty ze skóry czarnych gazelli, wziął w rękę kij z drzewa *polāsy*,³ sięgający mu po brzegi włosów, jak przystoi wedle reguł Pisma, jeszcze raz uściskał zapłakane żony, tę która знаła księgi i tę której umysł był uśpiony, spojrział na wschód, a potem zwrócił swe kroki ku zachodowi — i poszedł w świat....

Szedł tak długo, bardzo długo, aż nareszcie zaszedł do mieszkania *Mṛityi*, bogini śmierci.

— Pani! — rzekł — przynoszę ci życie moje w ofierze, ale wyjaw mi zagadkę bytu!

— Ho, ho, — rzekła bogini — gorący w tobie *parāshu*.⁴ Jestto nauka trudna, bardzo trudna — bogowie sami mieli w tym względzie wątpliwości!... Żądaj czego innego mój synu...

Ale *Yājñavalkya* nie ustępował i póty ją błagał uporczywie, póki mu nie przyrzekła odsłonić, wprowadzić nie samą wiedzę, ale drogę wiodącą do wiedzy przez wieki przyszłe. W zamian zobowiązał się *Yājñavalkya* oddać się *Mṛityi* w całości z chwilą, gdy się wiedzą nasyci.

Zaprowadziła go tedy przez ciemną i długą jaskinię, na końcu której błyskało światło. Tam dopiero spostrzegł przed sobą rozległą i szeroką drogę, której końca dojrzeć nie mógł.

— Więc nareszcie! — zawołał radośnie, oddychając pełną pierśią. — Spieszmy!

Szedł tak długo, bardzo długo, między rozkosznymi łąkami i gajami, jakby w ogrodzie Hesperyd. Z każdego drzewa wychylały się doń dryady, z każdego źródła nymfy, z każdej góry oready; w trzeinach nawet chichotały sirinki, pozdrawiając go uprzejmie, lub pierzchając na jego widok. Ale on szedł dalej, patrząc przed siebie.

Nareszcie spostrzegł, że droga po której stapał, poczyną się zaludniać; tu i owdzie wznosiły się wspaniałe portyki i kolumnady, w cieniach drzew przechadzali się jacyś ludzie poważni i zamyśleni. Byłby ich nie śmiał zaczepić, gdyby na skraju drogi nie zauważył człowieka, dziwnie obdartego, którego ciało wyglądało z beczki, grzejąc się na słońcu.

— Powiedz mi mój przyjacielu, kto są ci ludzie, ażebym wiedział, czego się od nich spodziewać. Jestem *Yājñavalkya* i szukam prawdy.

— A ja jestem pies⁵ i już ją znalazłem — rzekł człowiek ów, wskazując na swój barłóg. — A nie nazywaj mnie przyjacielem, bom ja z tych psów, co tylko przyjaciół kásają, ażeby im dać uczuć prawdę. Chcesz wiedzieć kto są ci ludzie? Ha, ha, są to przyjaciele Mądrości, którzy gryzą a strawić nie mogą... Szczęśliwój drogi!

Niezrażony tem dziwnem przywitaniem *Yājñavalkya* zwracał się kolejno do gromad, w których słyszał głos mędrców.

— Kto chce poznać istotę świata i tajemnicę stworzenia — wołano ze wszech stron — ja mu ją powiem!

Yājñavalkya ciekawie nadstawił uszu.

„Wszystko powstało z wody“ — mówił jeden⁶; „z powietrza“⁷ — mówił drugi, „z ognia“ — wołał trzeci.⁸

— A zkadże się wzięły te żywioły? — pytał *Yājñavalkya*.

Jedni milczeli, drudzy poczęli mu odpowiadać, mówiąc:

— Istotą żywiołów są liczby!⁹

— Wszystko powstało z atomów!...¹⁰

— Jest coś wyższego nad liczby i atomy — mruknął *Yājñavalkya*.

— Jest Jedność — mówili ci których zwano Eleatami. Albowiem byt jest jeden, a niebyt nie istnieje. To co myśli i to co przestrzeń wypełnia jest jednością. Nic się nie porusza, nic się nie dzieje i nic się dziać nie będzie; nic nie powstaje i nic nie ginie, bo wszystko jest jednością.

— Mówilem to — rzekł *Yājñavalkya* — ale to głupstwo.

— Nie ma żadnej jedności! Wszystko się zmienia, wszystko mija, wszystko płynie, wszystko się przeobraża — mówił ten, którego nazywano pływakiem.¹¹ Płyniemy w tym samym strumieniu i nie w tym samym, w górę i nie w górę. Ogień powietrzny wszystko tworzy i ogień powietrzny wszystko niszczy. Dusza, która jest suchą jak u mędrca, wznosi się w górę i poznaje zmienność; dusza, która jest mokrą jak u pijanego, mąjczy i opada w zmienność. Bóstwo ogniste bawi się światem tworząc i psując...

— Przyjacielu! — rzekł *Yājñavalkya* — twoja dusza musi być mokrą... — I poszedł dalej.

Tak idąc, zauważył tłum ludzi cisnących się do mędrca, który innych głową przerastał.

— Mistrzu! — rzekł doń — słyszę miano boskości przypisywane twojej wiedzy; wskaż mi istotę bytu.

— Istotą bytu, synu mój, są idee, boskie pierwowzory wszechrzeczy, które nie mają ani barwy ani kształtu, przedwieczne, doskonałe,¹²

— Gdzież je mogę poznać, mistrzu?

— Znasz je, o mój synu, boś je oglądał w przedświatowym życiu twojej duszy, zanim upadła na ziemię. Wejdź w siebie a przypomnisz je i uznasz.

Yājñavalkya stanął jak wryty i zapuścił myśl swoją na dno własnej duszy.

— Cóż widzisz, synu mój?

— Widzę pragnienie wiedzy, mistrzu, i próżnię.

— W takim razie, dusza twoja padając na ziemię, musiała uleść uszkodzeniu. Idź z Bogiem i pamiętaj, że najwyższą ideą jest Dobro.

Yājñavalkya odszedł smutny i zamyślony. Minał niejedną grupę i zatrzymał się dopiero, usłyszawszy wołanie:

— Kto chce mędrceć zostać, niech do nas spieszy! Wszystko umiemy dowieść i zbić — byt i niebyt; albowiem człowiek jest wszystkiemu miarą i cokolwiek sobie wyobraża prawdą jest, czemukolwiek przeczy jest kłamstwem.¹³

A inny dodał:

— Nic nie istnieje. A gdyby nawet istniało, nie mogłoby być poznanem. A gdyby nawet mogło być poznanem, nie mogłoby być w słowach objawionem...¹⁴

— A cóż ty jesteś, mistrzu?

— Swojem własnem złudzeniem — rzekł mędrzec.

Yājñavalkya wzruszył ramionami i poszedł dalej.

— Zaprawdę chciałem stanąć u celu! — rzekł do siebie. Nie pytał też więcej napotykanym, tylko przyspieszył kroków. Droga po której teraz stapał była pustą; nad rowami tylko siedzieli jacyś mnisi w nieruchomej ekstazie. W oddali, po bokach ciągnęły tłumy różnobarwne, unikając gościńca wiedzy, śpiewając pieśni i błyskając na słońcu wieńcami proporców i krzyżów złoconych. Tu i owdzie zastępowały mu drogę stada lotnych elfów i koboldów; upiory i czarownice wiły się nad jego głową.

Nareszcie spostrzegł wspaniałe gmach gotycki, ku któremu zmierzały tłumy.

— Co to jest? — zapytał.

— Świątynia prawdziwej wiedzy — odpowiedziano mu.

Wszedł więc.

— Szukam prawdy — rzekł.

— Tu tylko ją znajdziesz, pielgrzymie! Albowiem wiedza tego świata pustą jest jak cymbał brzmiący.

— Pogardzam nią — rzekł *Yājñavalkya*.

— Tem lepiej synu mój. Albowiem nie nauka daje wiedzę, lecz Wiara. Wierz abyś poznał, *crede ut intelligas*;¹⁵ wierz, chociażby rozumowi twojemu wydawało się niedorzeczne to w co wierzysz i dlatego właśnie, *crede, quia absurdum est*.¹⁶ Wtedy

dopiero zrozumiesz prawdziwą tajemnicę bytu, prawdę prawd wszelkich!

— Chcę wierzyć ojczy! Ale jakże mam dojść do okazania umysłowi memu tój wielkiej prawdy?

— I na to mamy sposób, synu mój! Rozum jest sługą wiary, a narzędziem rozumu jest Syllogizm: *instrumentum instrumentorum, organum organorum, veri falsique disceptatrix et iudex* Oto są księgi mędrców, z których go poznasz — a oto masz kilka zadań, abyś mógł się wyćwiczyć w użyciu środka.

Yājñavalkya wziął kartkę i odszedłszy na stronę począł czytać:

Zadanie pierwsze: rozstrzygnąć za pomocą syllogizmu, czy istota ducha może istnieć niezależnie od samego ducha.

Zadanie drugie: czy Bóg może nieistniejącego, ale możliwego anioła, kochać więcej niż robaczka istniejącego rzeczywiście?

Zadanie trzecie: Ilu duchów usiąść może na końcu jednój szpilki?...

— Niepodołam! — rzekł *Yājñavalkya* z głębokiem westchnieniem. — Czuję w duszy taki zamęt, jakby wszystkie szesnaście części, które stanowią człowieka we mnie, pozamieniały swoje miejsca.

I trzymając się za głowę, poszedł dalej.

Naraz zbudził go z zadumy poważny głos mędrca.

— Błędne są drogi, któremi ludzie chodzili do prawdy, fałszywe też zbierali owoce. Wszystko co zdobyto jest wątpliwe. Chociażbym jednak o wszystkim zwątpił, o tem wątpić nie mogę, że wątpię. Oto jest pierwsza wiedzy podwalina.¹⁷

— A jakież jej owoce? — spytał *Yājñavalkya*.

— Dwa są byty odrębne, przeciwne sobie: rozciągłość i myślenie. Myśl nie ma rozciągłości, rozciągłość nie ma myśli, a między nimi nie ma nic wspólnego.

— Jakże więc może duch działać wspólnie z materią w człowieku?

— Jest to tajemnicą Boga.

— Tajemnica i wiecznie tajemnica! — wołał zrozpaczony *Yājñavalkya*. — O władzco światów i istot! wysłuchaj mojej

prośby. Odwróć się na chwilę od rozważania nieśmiertelnej twej potęgi i spraw, abym cię usłyszał w tchnieniu wiatru, w szmerze strumienia, abym cię ujrzał w promieniach słońca, abym cię pojął całego w słowach człowieka! Aum! Aum! ¹⁸ Władco światów i istot!

I tak modląc się mijał siedziby mędrców, z których dolatywały go tylko echa zwątpień. Ale nadzieja poczęła wstępować w jego serce gdy spostrzegł tłum ludu tak wielki, jakiego jeszcze nie widział, w około przybytków ludnych i gwarnych.

— Słuchajcie! wołano ze wszech stron. Nasi mistrze objaśniają istotę bytu.

— Istotą bytu — mówił jeden — są monady ¹⁹, materya, mówił drugi ²⁰ — jaźń, mówił trzeci ²¹ — absolut ²², mówił czwarty — wola, mówił piąty... ²³

Yājñavalkya puszczał te wyrazy mimo uszu, gdyż oczy jego utkwiły w twarzy mistrza, którego głos rozlegał się jak głos słońców świętych w dzień ofiarny.

Słuchał, słuchał długo, nareszcie zapytał:

— Cóż więc jest istotą bytu?

— Idea Bezwzględna w sobie i dla siebie... *an und für sich*. ²⁴

— *Swayambhouwa*! — mruknął pielgrzym.

— Idea Bezwzględna jest naturą, gdy się przeciwstawia sama sobie w różnobycie...

— Wcielenie Brahmy... — wtrącił *Yājñavalkya*.

— Lecz Idea Bezwzględna w bezwiednym swym uzewnętrznieniu, dochodzi w duchu do świadomości, i znów się odzewnętrznia, powracając do siebie...

— Na łono Brahmy... Zawsze Brahma! Zawsze ten sam i zawsze niepojęty! O Mryty jakżeś ty srogo ze mnie zadrwiła! Na to żem szedł na kraj świata, ażeby własne swoje słowa usłyszeć — słowa, świecące jak płomyki khadyoty w ciemności, a które mają być ostatniem słowem wiedzy?...

— To nie jest ostatnie słowo wiedzy — rzekli przechodzący, słysząc narzekania *Yājñavalkyi* — spojrzysz! tam na uboczu wznosi się gmach Wiedzy Ścisłej.

Yājñavalkya zwrócił oczy w stronę, którą mu wskazywano, i spostrzegł fundamenta olbrzymiej budowli, do których liczni

robotnicy dokładali ciągle nowe cegły. Jedni znosili materyał, inni zarabiali cement, inni wreszcie kierowali robotami — a część pracowników nauczała w gotowych już przedsiönkach. Słyszeli oni skargi *Yájnavalkyi* i gdy się zbliżył do nich, rzekli mu:

— Niesłusznie narzekasz na czas stracony. Droga, którąś przeszedł, nauczyła cię tajemnic błędu, nauczyła cię miarkować swoje pragnienia i znać własne siły. Patrz! otó z drobnych cegiełek wznosi się gmach wiedzy, z dała od gwaru próżnych pytań. Nagi jest i skromny, ale silny, i czas go nie zmiecie, tak jak zmiotł te pyszne budowle, któreś podziwiał w swój wędrówce. Patrz, jaki wspaniały widok roztacza się ztąd na świat zjawisk! Zbieramy ziarnko do ziarnka i spichrze nasze napełniają się, krzeszemy iskrę do iskry i w oczach naszych robi się jasno. Prawa natury i ducha odsłaniają się przed nami, jedno po drugim; ze szczegółowych dochodzimy do ogólniejszych, z ogólniejszych do powszechnych, i tak posuwamy się naprzód wolno, ale stale.

— A czemuż jest dla was istota świata?

— Nie znamy jój.

— A istota ducha?

— Nie znamy jój.

— A kiedyż myślicie poznać?

— Nie wiemy.

— Cóż więc znacie?!

— Prawa, które rządzą zjawiskami.

— A niech was *Agni* spali z taką wiedzą! — wrzasnął *Yájnavalkya*, rozdzierając swe szaty ze skóry czarnych gazelli. Dość mi jój!

Teraz dopiero przypatrzył się swemu ciału, które wyschło i zczerniało jak trzcina w ogniu świętym. Uczuł, że z szesnastu części, które w nim stanowiły człowieka, pozostała mu tylko jedna *prána*, technienie żywotne.

— Trzy tysiące lat! Trzy tysiące lat — powtarzał bezprzytomnie.

Po chwili wzniosł ręce ku niebu, i zawołałszy:

— *Mrityi!* jam twój! — padł martwy.

Na grobie jego czytano napis téj treści:

Tu spoczywa Yâjnavalkya duch metafizyki.

A przyjazne dusze, które poznały go w wędrówce za prawdą,
dopisały u spodu:

Umarł ale nie zginął.

Jaką nową formę bytu, każe mu przybrać Brahma? Ja
nie wiem.

Julian Ochrowicz.

¹⁾ Mędrzec indyjski, wspominany w najdawniejszym zabytku filozofii
Hindusów: *Brihad-Aranyaka Upanishad*. Mógł żyć około X. wieku przed Chr.
² Mały owad świecący. ³ *Ficus indica*. ⁴ Człowiek-duch. ⁵ Tak nazywano *Dyo-*
genesis. ⁶ *Thales*. ⁷ *Anaximenes*. ⁸ *Heraklit*. ⁹ *Pythagoras*. ¹⁰ *Demokryt*. ¹¹ Tak
Plato zwał *Heraklita*. ¹² *Plato*. ¹³ *Sofiści*. ¹⁴ *Gorgias* sofista. ¹⁵ *Anselmus*. ¹⁶ *Ter-*
tallianus. ¹⁷ *Descartes*. ¹⁸ Formuła mistyczna indyjskiej Trójcy. ¹⁹ *Leibnitz*.
²⁰ *Materyalizm francuski* z. w. ²¹ *Fichte*. ²² *Schelling*. ²³ *Schopenhauer*. ²⁴ *Hegel*.

U R Y W K I.

Walce z życiem i ze światem,
Nikt przyszłości nie jest panem!
Z rąk Bożych — wychodzim kwiatem,
Śmierć w grób nas rzuca — łachmanem.

Do spalonego placka podobne jest życie,
Trochę cukru na wierzchu, a węgla od spodu.
Odrobinę słodczy zjadamy za młodu,
Potem żujem zakalce, spaleniznę, śmiecie.

Wszystkie te światy, co fantazya tworzy,
W głowie poetów pisze palec Boży...

Chociażby dusza była spragniona i głodna,
Żadnej życia rokoszy nie dopijaj do dna,
Ażeby z upragnionej nie zrobić przeklętój,
Bo na dnie każdej czary jest gorycz i męty.

J. I. Kraszewski.

FILOMACI W WILNIE

1805-1808.

Znanany powszechnie jest przebieg sprawy Filomatów, Promienistych i Filaretów wileńskich w owych czasach, kiedy Tomasz Zan i Mickiewicz odbywali studja swoje akademickie, t. j. w latach 1818 i kilku następnych. Mało komu zato pewnie będzie wiadomem, że ów związek grona Filomatów w czasie co tylko wspomnionym, było to właściwie tylko wznowienie tradycyji dawniejszych; że towarzystwo filomatyczne czyli „przyjaciół nauk“ istniało w Wilnie pod tem imieniem już pod koniec r. 1807, a co do rzeczy, jakkolwiek w inne przyobleczonej nazwisko, sięgało ono początkiem swoim nawet aż w rok 1805. Dostarczają nam szczegółów co do tego przedmiotu głównie listy Joachima Lelewela w jego latach akademickich do rodzeństwa a mianowicie do brata Prota pisane. Korespondencyą tę, jak wiadomo, wydał niespełna 3 lata temu w Poznaniu *Żupański*. Według tych wzmianek urywkowych, rzuconych w różnych chwilach i listach mimochodem o zdarzeniach w gronie tamtoczesnej młodzieży wileńskiej, o ile takowe miały związek z poruszoną tu sprawą, zamierzam w artykuliku niniejszym pokrótce opowiedzieć przebieg dziejów tego stowarzyszenia.

Przedewszystkiem przypominam, że tamtoczesny uniwersytet wileński, w skutek swojej reorganizacyi przeprowadzonej w r. 1803 i 1804, obejmował tak jak i nasze wszechnice, cztery wydziały, takowych stosunek jednak wzajemny i podział opierał

się na zupełnie innych podstawach. Cztery fakultety wileńskie były następujące: Wydział fizyczno - matematyczny, właściwa siedziba „nauk“ (sciences), uchodził za pierwszy i miał najwięcej powagi. Drugim był wydział lekarski, z przeznaczeniem praktycznem. Trzeci, wydział nauk moralnych — obejmował w sobie prawo i administrację, teologią, historją powszechną i filozofją: był to więc niejako wydział nauk, tak zwanym „ścisłym“ przeciwstawionych czyli „umiejętności“ (lettres). Czwartemu fakultetowi dana była nazwa wydziału literatury i sztuk wyzwolonych (wymowa i poezya -- języki wraz z filologią klasyczną — architektura, rzeźbiarstwo, malarstwo itd.)

Owoż z tychto uniwersyteckich wydziałów wyszedł tam i związek odnośnych towarzystw naukowych. Pierwszy zaś krok w tym kierunku był zrobiony przez wydział fizyczno-matematyczny, najwięcej wtedy żywotny. Słuchacz tego wydziału Józef Twardowski, koroniarz wychowany w szkołach warszawskich, a i jako akademik wileński szczególnie celujący w matematyce, zawiązał w r. 1805 rodzaj stowarzyszenia z kolegów najzdolniejszych swojego fakultetu i dali oni temu nazwę towarzystwa fizyczno-matematycznego. Celem tego towarzystwa była wymiana myśli i pomoc wzajemna w obrębie oniej gałęzi nauk. Prezesem grona był Jan Pilecki, kolega Twardowskiego; sekretarzem on sam. Profesora matematyki, ks. kanonika Narwojsza, członka warszaw. Towarzystwa Przyjaciół nauk, zaprosili na członka honorowego, którą to godność on mile przyjął. Byli także w pewnych stosunkach z T. Czackim, który ich w liście pochwalnym do wytrwania na téj drodze zachęcał. Zawiązanie tego grona zaszło krótko przed wakacyami wielkimi, tak iż jedno tylko czy dwa posiedzenia w roku 1805 przed końcem kursów odbyto.

Ponieważ rzecz powyższa nie była bynajmniej w tajemnicy trzymana, a podobała się i młodzieży innych wydziałów, więc zaraz po powrocie z wakacyi, na początku roku szkolnego 1805/6, zawiązało się drugie, na podobnych warunkach grono: towarzystwo nauk moralnych, złożone z najcelniejszych uczniów fakultetu odnośnego (czyli n. mor.). Na honorowego prezesa uprosili sobie członkowie grona owego prof. Grodka, słynnego filologa i dziekana wydziału sztuk wyzwolonych; rzeczywistym zaś prezesem ich był akademik Krzywoszewski. Jednym z członków tego to grona był Joachim Lelewel, słuchacz wydziału nauk

moralnych już drugoletni w tym roku. Zaraz potem przyszło do skutku zorganizowanie się w towarzystwo podobne, ośmiu słuchaczy i z czwartego wydziału, t. j. sztuk wyzwolonych, czyli literackiego. Duszą tego ciała był niejaki Pęczkowski, umysł niespokojny, także ze szkół pochodzący warszawskich (jak Lelewel i Twardowski); właściwym założycielem zaś był słuchacz literackiego wydziału w uniwersytecie Moniuszko, „któremu się często powodziło w wierszach“ (słowa Lelewela).

Wydział więc tylko lekarski nie wytworzył takiego grona ze siebie, a to ponieważ słuchacze jego mając już i tak sposobność gromadzenia się około łóżek pacjentów w klinice, znajdowali tam dostateczną zręczność doskonalenia się w swoim zawodzie.

Zawiązek obydwóch tych ostatnich towarzystw odbywał się skrycie — nie przed władzą akademicką ani też przed rządem, gdyż politycznych dążeń nie było tam wcale*, ale w tajemnicy przed sobą. Chodziło bowiem każdemu z tych gron o pozyskanie sobie jak najrozgłośniejszych mężów tak w Wilnie, jak i w dalszych sferach, na członków honorowych. Stąd to więc jedno grono starało się drugie uprzedzić i działało potajemnie.

Rzecz jednak przedostawała się do wiadomości drugich wydziałów. Wtedy Twardowski, założyciel towarzystwa fizyczno-matematycznego, przy pomocy przyjaciela swego Lelewela, należącego do grona nauk moralnych, który się znowu ściśle przyjaźnił z Moniuszką, głównym filarem w towarzystwie sztuk wyzwolonych, postanowili sobie połączyć te trzy ciała w jeden organizm. Dało się to z początkiem r. 1806 dokonać, lecz tylko w części. Do wcielenia się bowiem całych tych późniejszych stowarzyszeń w Twardowskiego grono in gremio, dla opozycji większości w nich nie przyszło. Ale potrafili przynajmniej pojedynczo najcelniejszych właśnie członków tak jednego, jak i drugiego towarzystwa od nich oderwać, na rzecz swojego stowarzyszenia. Takowe zwać

* Ówczesna młodzież uniwersytecka podzielała z całym ogółem mieszkańców Litwy uwielbienie dla Aleksandra I. Jeden z najwybitniejszych tej młodzi przedstawicieli, właśnie Lelewel, kilkakrotnie w tym tonie w listach swoich do brata wspomina o tym cesarzu. Tak np. w liście z r. 1804 (T. I. str. 2): „Aleksander, sprawiedliwie mówiąc, jeden z największych monarchów.“ W r. 1806, podczas wojny z Napoleonem (str. 46): „Aleksander nieszczęśliwy, ów wzór panujących.“ W innym liście (str. 11): „Aleksander, dobry monarcha.“

się odtąd zaczęło „Tow. nauk i umiejętności,” zarzuciwszy dawniejsze miano.

Towarzystwo odrębne „sztuk wyzwolonych” niezadługo potem w skutek tego całkiem rozchwiało się. Towarzystwo zaś osobne „nauk moralnych” istniało przez rok 1806, przynajmniej w każdym razie przez jego pierwsze miesiące aż do maja, i odbywało z pewną świetnością nawet posiedzenia publiczne.* Jednakże w dalszym czasie i o niem w korespondencji Lelewela głucho — zapewne więc także upadło. Z tem większem zato powodzeniem rozwijało się połączone towarzystwo Twardowskiego i Lelewela i o niem to już więc tylko od tej chwili mówić tu będę.

Celem tego stowarzyszenia było: „aby każdy (jak się źródło moje wyraża) nawzajem sobie pomagając, pilniej pracował.” Podług statutu, który był ułożony przez Twardowskiego, Pileckiego i Lelewela, a na posiedzeniu pełnem jednomyślnie został przyjęty, miało to towarzystwo odbywać posiedzenia (nie publiczne, ale tylko dla samych jakiegokolwiek kategorii członków przystępne) zwyczajne, które miały być co miesięczne — i nadzwyczajne (dla zmiany statutu), ile razy zajdzie tego potrzeba, wreszcie „rządowe” t. j. sesye komitetu (prezesi, sekretarze i skarbnik). Na posiedzeniach zwyczajnych czytowane były prace członków, złożone w formie rozpraw naukowych, sprawozdań z rzeczy do ocenienia przez swoich autorów towarzystwu oddanych, i zawiadomienia o dziełach świeżych, o wynalazkach w świecie naukowym zrobionych i o innych sprawach bieżących, co było rzeczą sekretarzy (dwóch) towarzystwa. Zamierzono sobie najlepsze prace, w ten sposób doprowadzone do skutku, ogłaszać drukiem, bądź jako publikacye odrębne, bądź też — jeżeli okoliczności pozwolą — w peryodycznym stałym roczniku, w rodzaju warszawskich Roczników Towarz. Prz. Nauk. Członkowie towarzystwa byli albo honorowi (w liczbie nieoznaczonej), albo aktualni (takich najwięcej 30 być mogło), albo nakoniec towarzysze tudzież korespondenci — jedni i drudzy w ilości, jaka się zdarzy. Na członków honorowych powoływał tylko jednomyślny wybór; na aktualnych, $\frac{2}{3}$ głosów z liczby obecnych na posiedzeniu; na towarzyszy, zwyczajna większość głosów.

* Opisuje dwa takie posiedzenia Lelewel na str. 60 i 79 Tomu I.

Skład tego towarzystwa w r. 1806 i 1807, o ile z listów Lelewela utworzyć sobie można o nim wyobrażenie, był następujący:

Prezes honorowy: ks. kanonik Józef Mickiewicz, dziekan wydziału fizyczno-matematycznego, wysłużony prof. fizyki (stryj poety Adama). Ponieważ ksiądz dziekan ani razu nie raczył pojawić się na posiedzeniu, więc w miesiącu czerwcu (1806) obrano w jego miejsce prezesem dygnitarza młodszego wiekiem, członka honorowego Stubielewicz a, także uniwersyteckiego profesora fizyki. Tak zwanym „drugim“ (t. j. rzeczywistym) prezesem był ciągle ponownie (co kwartał) obierany członek aktualny towarzystwa ks. Franciszek Godlewski, ex-pijar i katecheta w gimn. wileńskim, znany autor kazań (później) wydanych i tłumacz kilku francuskich tragedij niezgorszym wierszem. Sekretarzami byli Józef Twardowski i Leon Borowski, „dobry poeta“ (słowa Lelewela) — późniejszy prof. literatury polskiej w uniwersytecie.

Członkami aktualnymi byli najzdolniejsi i najwięcej poważani akademicy, jakiegokolwiek wydziału, później nawet i lekarskiego (np. Mianowski Mikołaj, Kosowski Stanisław, Jan Bärkman, Krzysztof Grass czy Grasse); oprócz tego zaś i ci jeszcze z po za grona uniwersyteckiej młodzieży: prof. architektury w uniwers. Szule; ks. Chodani kaznodzieja akademicki; wspomniany już wyżej ks. Godlewski (prezes); prof. historii w gimn. wil. Chroński; młodzi uczeni, ale po ukończonych już wtedy będący studjach, A. Czeretowicz, Benedykt Paszkiewicz, Ignacy Baliński i Witalis Izbiński.

Członków honorowych mogę na podstawie moich źródeł wymienić następujących: ks. Woronicz, wtedy jeszcze kanonik warszawski (później biskup); ks. Husarzewski, wysłużony prof. historii w uniwers. wil. († w końcu r. 1807); ks. Jundziłł, prof. botaniki; ks. Narwojsz, prof. matem.; T. Czacki (?); Smuglewicz, prof. malarstwa w uniwers. († 1807); ks. Strojnowski, ówczesny rektor uniwers., później bisk. wil.; ks. Poczobut, znany astronom; Stubielewicz, wice-prof. fizyki; ks. Bystrzycki, pijar i prof. fizyki w warsz. collegium nobilium; Molski, znany wierszopis.

Członkowie honorowi mieli być tylko ilustracją towarzystwa („którym niby my czyniąc honor, sobie zaszczyt przynieść życzymy,“ jak się Lel. wyraża). Żadną pracą ni obowiązkiem

względem towarzystwa nieobarczeni, powinni oni byli tylko dać znać, że ofiarę i hołd poważania sobie złożony przyjmują (Listy, I. str. 58). Właściwy tedy ciężar polegał na aktualnych członkach, a w pierwszym planie na zarządzie stowarzyszenia.

Zwyczajne posiedzenia odbywały się, jak wyżej już powiedziano, co miesiąc — w dniach zresztą stale i raz na zawsze nie oznaczonych. Miejszem zebrania, o ile wnosić mogę, był tamtejszy klasztor Pijarów, w którym też mieszkał Twardowski (być może, że się w jego to nawet mieszkaniu zbierano, które było przestronne).

Nie zawadzi teraz zestawić tutaj tematów, w których obszarze były czytywane rozprawy i złożone pisma do Archiwu Towarz. w przeciągu lat 1806 i 1807 przez tegoż uczestników.

Lelewel: Ostatnie Scytów do Skandynawii przybycie. O zabytkach runickich. O wydany (po niem.) w kształcie tabeli przez Strassa „Potoku dziejów“ (Strom der Zeiten). Rzut oka na dzieje narodów przed czasokresem chrześcijańskim (kilka odczytów). O dumach i pieśniach skandynawskich.

Twardowski: Rzecz „o biegu jednostajnym.“ Jakaś kwestya z nauki o logarytmach. O Archimedesie. O rozsadzaniu skał prochem. Przekład jakiegoś pisma La Grangea (złożył do oceny, ponieważ chciał to drukować). Uwagi nad porządkiem prawd matematycznych, szczególnie Algebry, i nad sposobami ich wykładania.

Stanisław Dobrowolski („wielki metafizyk, tylko głowa mocno Kantem zawrócona“) odczytał d. 20. kwietnia 1806 „wcale piękną“ rozprawę o Prawdzie.

Józef Nieławicki: O groblach. Recenzja dzieła (w Krakowie po niemiecku wydanego matematycznej treści) Łęskiego.

Mikołaj Mianowski (późniejszy profesor medycyny w uniw. wil.): O chorobach zaraźliwych i sposobach ich ustrzeżenia się.

Jan Pilecki: O jakichś dwóch rozprawach pewnego kolegi starozakonnego, „który co tylko do Berlina się był przeniósł,“ treści matematycznej, złożonych towarzystwu. („Wytknięto mu grzecznie, że rzecz bez pomyłki przepisał z dzieł drukowanych“).

Ignacy Ablamowicz: Sprawozdanie o piśmie Twardowskiego o logarytmach.

Witalis Izicki: Rozbiór poematu Dyżyny Tomaszewskiego o rolnictwie.

Znaczną część czasu zajmowało odczytywanie prac poetyckich, bądź oryginalnych, bądź tłómaczonych z innych języków, a mianowicie:

Hołyński: Wyjątek z przekładu tragedyi francuskiej *Katylina*. „Sielanka“ jakaś („nadto górna“ zdaniem Lelewela). Własny wiersz „Wielki Sobieski“. — L. Borowski: Kilka scen z komedyi Moliera p. t. *Skępski*. Przekład pieśni „Selma“ Osyana (z niemieckiego dokonany tłómaczenia). — Godlewski: Przekład Tebaidy. Dwie satyry Boala. Tłómaczenie Cynny, trag. Corneilla. — Paszkiewicz: Wyjątek z przekładu *Semiramidy* Woltera.

Dołączam tu jeszcze spis rzeczy, odczytanych na dwóch posiedzeniach publicznych (w lutym i maju 1806 r. odbytych) Towarzystwa nauk moralnych:

Oldakowski: O edukacyi. O prawie cywilném. — Krzywoszewski: O potrzebach przyrodzonych. O gimnastyce jako części koniecznej wychowania. — Marcinowski Antoni: O gramatyce („rzecz pięknie ułożona, miło słuchać go było“). — Czytał tam raz coś także i prof. Grodek, podpora towarzystwa tego, jak się Lel. wyraża — „szkoda tylko, że tonem nieco pedagogicznym.“ — Wierszem odczytali: Sebastyan Żukowski, ustęp z przekładu I. pieśni *Iliady*. — Konarski: wyjątek z XII. pieśni poematu rosyjskiego *Rosyada*; tenże, przekład Sarbiewskiego ody o Przyjaźni. Prócz tego czytało i kilku innych jeszcze, nienazwanych z nazwiska poezye („wierszem niezłym“).

To tedy mimochodem o Towarzystwie nauk moralnych. Jako to zaś było wspierane przez Grodka, tak też i tamtemu towarzystwu dosyłał czasem profesorowie prace swoje do odczytania, a jeśliby okoliczności pozwoliły, i ogłoszenia. Tak np. sędziwy Husarzewski przysłał im swoje opracowanie *Sztuki myślenia* (logiki) Condillaca; Jundziłł krytykę dzieła treści mineralogicznej Symonowicza, świeżo powołanego do wykładu tego przedmiotu w uniwersytecie.

Przywiodłem te wszystkie tytuły rozpraw, ponieważ to rzuca światło na kierunek tak studyów naukowych, jak i zajęć poetyckich tamtoczesnej młodzieży. Widzimy w pierwszych przewagę po stronie nauk ścisłych — w drugich smak francusko-klasyczny.

Teraz słów jeszcze kilka o powodzeniu dalszem towarzystwa i nazwach, jakie z kolei przybierało. Nadmieniliśmy już wyżej, że po reformie przeprowadzonej w początku r. 1806, zwało się

ono „Tow. nauk i umiejętności“ i zostawało pod honorową prezydencją dziekana Mickiewicza. W miesiącu czerwcu zajął jego miejsce profesor Stubielewicz. Ten chcąc stowarzyszeniu dać większy rozgłos, postanowił po raz pierwszy odbyć posiedzenie publicznie, zwłaszcza że w ową właśnie chwilę wizytował uniwersytet z ramienia rządu senator Ludwik Plater, a znajdował się także w Wilnie już wtedy i Jan Śniadecki, dezygnowany na rok przyszedł rektor wszechnicy. Ci obydwaj, a prócz nich i wszyscy profesorowie, zostali zaproszeni na owo posiedzenie, jakoż zaszczycili je obecnością. Wszystkie przedmioty, czytane na posiedzeniu rzeczonym, poczynawszy od uroczystego zagajenia Prezesa aż do drugiej, w samym już końcu przemowy jego „na zamknięcie“, miały tym razem być ogłoszone drukiem, i właśnie przeto musiały przechodzić przez cenzurę rektora ówczesnego (Strojnowskiego). Tytuł publikacyi owój: „Posiedzenie półroczne Towarzystwa nauk i umiejętności“, nie zdawał się rektorowi stósownym: zażądał, żeby to zmienić na „Towarzystwo doskonalącej się młodzieży w naukach i umiejętnościach przy uniwersytecie wileńskim.“ Młodzież w prośby, aby tego nie wymagał — rektor obstawał jednak przy swoim. Po długich targach stanęło na tém, że im rektor to „przy uniwersytecie wileńskim“ darował, a oni znowu za tę cenę przyjęli klauzulę „doskonalącej się młodzieży“. Wyszła zatem owa publikacya p. t. „Posiedzenie półroczne Towarzystwa doskonalącej się młodzieży w naukach i umiejętnościach, pod prezydencją Stefana Stubielewicza.“ I téjto odtąd nazwy nadal miało to stowarzyszenie używać; jakoż było tak rzeczywiście aż do objęcia rektoratu uniwersyteckiego przez Jana Śniadeckiego, co nastąpiło w lutym 1807.

Od tego czasu zaczęło to towarzystwo upadać, a złożyły się na to dwie różne, od siebie niezawisłe przyczyny, choć działające współcześnie: z jednej strony niezręczne, gadatliwe i nieporządne kierownictwo prezesa Stubielewicza, z drugiej strony zasadnicza niechęć — nie umiem powiedzieć, czy przeciw istnieniu towarzystwa w ogóle, czy tylko przeciw takiemu jego kierunkowi, jaki ono właśnie przybrało — niechęć mówię Śniadeckiego, wszechwładnego choć nigdy téj władzy swojej nie nadużywającego i moralnymi tylko środkami działającego rektora. Stubielewicz projektował był jeszcze w czerwcu r. 1806, więc zaraz po objęciu zwierzchnictwa, aby po każdej odczytanej rozprawie była

przeprowadzana na następnej posiedzeniu „séance du débat“, t. j. ustna dyskusja. Nie zaraz to pewnie weszło w praktykę, ale już od pierwszej chwili wyraził się o tem Lelewel (w liście z d. 11 czerwca, Tom I str. 81), że „jest to pole do częstych sporów, może i kłótni, a urząd prezydenta stanie się mocno ambarrasowny“. Otóż zdaje się, że w ciągu roku 1807 rzeczywiście wprowadzony został w życie ów projekt Stubielewicz, a wtedy przymioty jego, jako przewodniczącego posiedzeniom tak ożywionym, okazały się najzupełniej przeciwnymi zadaniu. Wnosić należy, że szanowny prezes sam najwięcej perorował, przynajmniej słowa Lelewela (str. 108) *ὁ εὖ καὶ πολὺ λωσσοῦ ἀρχός*, „wielo i piękno-mowny prezydent, ale nieczynny“, pewnie na to właśnie wskazują. Już tedy w lipcu 1807 wyraża się Joachim do brata, że „towarzystwo nasze en décadence“; że „żadnej satisfakcyi z niego przynajmniej w dzisiejszym stanie rzeczy mieć nie można; że mu już wszystkie roboty i nauki brzydą zacząć“ i t. d. (str. 100). W końcu roku przywiódł Stubielewicz młodzież do takiego zniecierpliwienia, że cały statut towarzystwa zmieniono i prezydentwo, dotychczas dożywotnie, na rok tylko jeden ograniczone zostało. Po skończonym swoim roku, złożyć on musiał swój urząd, poczem było czas jakiś, jak się źródło moje wyraża, bezkrólewie, aż wreszcie został wybrany na to miejsce ks. Sebastyan Żukowski, nauczyciel (adjunkt) języka greckiego i hebrajskiego w uniwersytecie, a obok tego i profesor w gimnazjum wil. Pod rządami Żukowskiego dopiero przybrało towarzystwo nazwę Filomatycznego czyli „przyjaciół nauk“ i było to już czynem dokonanym w dniu 2. stycznia 1808 (Listów T. I str. 108 i nast.). Kiedy jednak i z jakiego bezpośrednio powodu zaszła ta zmiana nazwy? nie jest mi wiadomem. W przybraniu tej nazwy greckiej widzieć można inicjatywę właśnie hellenisty, powołanego do steru *.

O dalszych losach towarzystwa nie ma już żadnej wzmianki w korespondencji historyka naszego. Zdaje się zatem, że i Żukowski nie zdołał upadku jego powstrzymać. Niezadowolenie Śniadeckiego, że młodzież, zamiast z porządną i metodyczną nauką w uniwersytecie z wyłączną usilnością korzystać, w autodydaktyzm,

* Porównać z tém Tom I Bibliografii Jochera, str. 325.

dysputy i stowarzyszenia się bawi, tak zawsze ślizkie i łatwe do przejścia po za karby właściwe, niewątpliwie mocno się przy-
czynić musiało do takiego rzeczy obrotu. A że on tak tę sprawę
oceniał – o to go winić ani mu się téż dziwić sprawiedliwie nie
można, jeżeli ona takim szła torem, że to nawet i samemu
Lelewelowi obrzydzało roboty.

Antoni Małeckie.

ŻYD WIECZNY I DZIENNIKARSTWO.

Pprzed laty kilkudziesięciu widywano żyda wiecznego po raz ostatni w Paryżu. Uchodził on wtedy za kupca z Amsterdamu, przesiadywał po kawiarniach, czytywał mnóstwo dzienników w najrozmaitszych językach i zdradzał niezwykłą podeszłemu wiekowi ruchliwość i brak cierpliwości, do tego stopnia, że go posądzano o lekką alteracją mózgu. Uspособienie to, niezgodne z długich lat doświadczeniem, było wszakże tylko chwilowem i miało bardzo ważne powody.

Żyd wieczny, przyzwyczajony do zmian w ludzkości, był człowiekiem, który, ściśle rzeczy biorąc, nie stał w sprzeczności z postępem i cywilizacją; widział dobrze, że życie ludzkości przybiera na zewnątrz rozmaite kształty, że raz rządzą światem Aureliusze i zasady sprawiedliwości, drugi raz Maraty i gilotyna — wyrobił też sobie pewien spokój duszy i przyjmował rzeczy jak są, wiedząc dobrze, że jutro świat swą postać zmieni. Wiek dziewiętnasty zainteresował go wszakże więcej aniżeli by się spodziewać można, osobliwie dziennikarstwo i w ogóle to mnóstwo druków, które widział wokoło siebie — zdawało mu się objawem godnym zastanowienia. Będąc człowiekiem nie pogardzającym filozofią, chciał zbadać przyczynę téj nadzwyczajnej literackiej, a jakby się zdawało i umysłowej produkcji. Tak podeszłemu jak on człowiekowi trzeba darować pewne przyzwyczajenia, pewne sympatyje. Otóż, był on wielkim przyjacielem

Benedyktynów żmudnie pracujących w swych celach, wysoko cenili Medyceuszów i chwalił im to, że każą odpisywać rękopisy dawnych autorów — i w ogóle każde społeczeństwo, które piśmem się przyczyniało do pomnożenia zasobów wiedzy, w miłej zachowywał pamięci.

Z niezwykle podeszłemu wiekowi namiętnością rzucił się do czytania dzienników, broszur i przeglądał przez jakiś czas prawie wszystkie dzieła zdobiące wystawy księgarskie. Wyrozmował sobie, że ten nowy objaw życia społecznego: publicystyka, musi nadzwyczaj dobrze wpływać na ustalenie się powszechnej opinii, na jej moralność i zaczynał nawet po troszę przypuszczać, że tak ożywiona, tak różnorodna dyskusja nad tem, co człowieka obchodzić może — musi doprowadzić do stałych zasad, na których ludzkość spocznie po długich umysłowych walkach i sporach. Sądził, że jeżeli prądy opinii publicznej zmieniały się dawniej co lat kilkadziesiąt, a nawet czasami zaledwie co wieku, to obecnie musi ludzkość dojść na podstawie wyczerpujących dziennikarskich rozpraw do prawd, które przynajmniej kilka przetrwają wieków. Żyd wieczny cieszył się, że w ten sposób będzie mógł spocząć przez czas dłuższy i nie zajmować się ideami, które ludzkość poruszają i że mu tem samem na inne czynności więcej pozostanie czasu. Co więcej, przypuszczał loicznie, że to ustalenie się opinii o prawdach, które zajmują ludzkość i człowieka, wpłynie korzystnie na ludzkie charaktery, że znów będzie spotykał owych Karolów wielkich, Ryszardów, a nawet jeszcze Karola V, których tak lubił i považał za stałość zasad i niezmiennosc woli. To piękne zadanie publicystyki tak rozmarzyło starowinę, że chciał wejść na jakiś czas do redakcyi któregoś z wielkich dzienników, aby mózdz brać udział w tej duchowej pracy, która na pozór tak olbrzymią mu się zdawała. Niewiadomo mi już z jakich powodów do tego nie przyszło, dość, że żyd wieczny z całą właściwą jego rasie zacięłością oddawał się przez lat kilkanaście czytaniu dzienników. Im dłużej się jednak zajmował europejską prasą, im głębiej się nad nią zastanawiał, im więcej porównywał ze sobą książek i broszur, tem dziwniejsze robił spostrzeżenia. Zdawało mu się np. że dawniej, za dobrych czasów Al Raszida można się było niekiedy dowiedzieć o jakimś fakcie czy to politycznego, czy społecznego znaczenia, który nie był przekreślony, ale rzeczywiście przedstawiony zgodnie

z prawdą. Tymczasem obecnie przychodziło mu do głowy, że dziennikarstwo na to tylko istnieje, aby pewne zdarzenia w różnorodnem przedstawiać świetle: to zielono, to czerwono, to czarno, stosownie do narodowości lub do interesów redaktorów albo akcyonaryuszów dziennika. Nie na tem koniec; zdawało mu się dalej, że jeden i ten sam dziennik zmienia bardzo często sposób widzenia rzeczy — i że ludzie zamiast stawać się jak mniemał niewzruszonymi charakterami, zmieniają opinie jak kameleony. Uważał przytem, że to mnóstwo dzienników, broszur i książek jest niesłychanem marnotrawstwem czasu i sił społeczeństwa, gdyż wszystkie piszą jedno i to samo, nawzajem ze siebie odpiśują i nader mało nowych podają myśli.

Dobrego serca i życzliwy ludzkości staruszek zaczął się tem martwić, a sądząc że się uprzedził do wielkiego ruchu umysłowego XIX wieku, że może do lepszego przyjdzie z czasem przekonania, jeszcze więcej czytał jak dotąd. Dziwnie wskutek tego zaczęło się zmieniać poważne jego usposobienie; bardzo stały dotąd w swych zasadach spostrzegał po raz pierwszy w długiem swem życiu, że czasami stawał się chwiejnym. Mniejsza już o to, że raz przechylał się bardziej do republikańców, drugi raz do idei monarchicznej, że raz demokracja zdawała mu się sympatyczną, drugi raz wstrętną; że raz byłby był poszedł z wolnomularzami, drugi raz *horribile dictu* — z rzymskim kościołem: ale co najgorsza, że w stosunkach z ludźmi ta chwiejność opinii, ten brak nawet zasad stawał mu się nadzwyczaj przykrym. Zdarzało mu się, że przed laty kilkunastu znał kogoś jako zwolennika talmudu, po niejakiś czasie zaczyna z nim mówić o hebrajskich uczonych — a ów znajomy się obraża, gdyż jest już materyalistą; albo znów się zdarzało, że jakimś przyjacielowi z czasów rewolucyi lipcowej chciał wielką zrobić przyjemność wspominając mu o jego bohaterskich, ulicznych czynach, a przyjaciel odwrócił się z niesmakiem, mówiąc, że z wiekiem przychodzi się do rozumu. Cóż to za wiek, mój Boże! — pomyślał stary — gdyby w stu latach zmienił swe wyobrażenia, to mniejsza, ale w latach kilkunastu!

Wszystkie te spostrzeżenia i doświadczenia źle wpływały na wiecznego żyda: stawał się niepewnym siebie, zmiennym, nerwowym, chciał coraz więcej czytać, aby coraz to więcej znajdować dowodów na poparcie chwilowych swych wyobrażeń,

słowem nie mógł poznać siebie. Stan umysłowy oddziaływał na zdrowie: nie mógł biedak sypiać, stracił zupełnie apetyt. Poszedł się zatem poradzić znajomego lekarza, blisko stuletniego starca, pamiętającego czasy przed rewolucją francuską. Ostatnim razem radził się jeszcze Avicenny.

— Pijasz dużo kawy, herbaty — pytał lekarz — może opium zażywasz?

— Gdzieżtam, żyję jak najskromniej, począwszy od trzech wieków, kiedy po raz pierwszy na zdrowiu zapadłem.

— Czytujesz może dużo, hołdujesz dziennikarstwu, skupujesz nowe książki, nie sypiasz z tego powodu?

— Tak, odrzekł żyd wieczny.

— Oszalejesz mój drogi jak oni wszyscy, a z czasem nawet umrzesz...

Przestraszony żyd wieczny popłynął nazajutrz na jedną z wysp oceanu spokojnego — i dla tego o nim od dawna nie słychać...

Kazimierz Chłędowski.

NĘDZA NAJOBITSZÉM ŹRÓDŁEM DOCHODU.

SZKIC.

Walka pracy z kapitałem nie grozi społeczeństwu pożarem. Wprawdzie nader trudnem jest oznaczenie — jakiemu w przedsiębiorstwie kapitałowi równoważy praca intelektualna i ręczna, i jaka skutkiem tego część zysku jój przynależy, przecież konkurencya, jako najnaturalniejszy, a zatém i najlepszy ku temu środek, różnice te z wolna wyrównać zdoła.

II. Stąd téż kapitał, ułatwiający produkcyę, jest rzeczywistą dźwignią postępu ludzkości — a ujęty ręką, kierowany myślą ludzką, powinien się stać użytecznym dla postępu ludzkiego.

III. Że kapitał szuka jak największego dochodu czyli zysku, dziwić się nie można — lecz zbrodniczym się staje ten kapitał, gdy wyłącznie a przynajmniej przeważnie wciska się, gdzie zysk znajduje dla siebie większy, a spustoszenie pozostawia po sobie straszniejsze; zbrodniczym się staje ten kapitał, gdy z zamięłowaniem szuka zachwianych stosunków ekonomicznych, aby tém większą zapewnić sobie korzyść, a bezpieczeństwa dla swojej całości nie szuka w rzeczywistym zapasie mienia, ale w konieczności swych ofiar utrzymania się przy bycie; — zbrodniczym staje się ten kapitał, gdy wyłącznie lub przeważnie i to z zamięłowaniem żyje — z nędzy ludzkiej.

IV. Ta straszna nędza ludzka żywi miliardy kapitałów i sprzyja nadmiernemu, ogarnąć się nie dającemu ich wzrostowi. Na pierwszy rzut oka zadziwić każdego musi, że nieporównanie

znakomitsza większość kapitałów szuka pomieszczenia w papierach państwowych, listach zastawnych, akcyach przedsiębiorstw eskontowych i giełdowych — a tylko maluczka ich część szuka ziemi, kopalni, fabryki lub handlu. Jak lichwiarz nasz zwykły poszukuje pensjonistów i wdowy, zarobników i bankrutów, aby im „przyjść w pomoc“ i resztę zabrać im zarobku lub dochodu — dla zabezpieczenia zaś swego wkładu zniewala ich wstydem i strachem do przedłużania swoich nienaturalnych egzystencji — tak i wielki kapitał korzysta przeważnie z ambarasu chwilowego bogatych, aby ich z czasem zamienić w nędzarzy i uczynić fałszywego wstydu i swojej chciwości niewolnikami. Zazwyczaj kapitał ruchomy zapewnia sobie zyski i bezpieczeństwo, a pozostawia obok trudu i znoju ryzyko właścicielowi ziemi, posiadaczowi sztuki twórczej w przemyśle i handlu, wykonawcy pracy intelektualnej i ręcznej — i z tej nędzy rośnie do potęgi, przed którą nawet potęga ducha słabieje!...

V. Gdy państwa przed wiekiem jeszcze składały się tylko z kroci obywateli — składają się dziś z dziesiątek milionów i troszczyć się mają zamiast — jak do niedawna — o potrzeby narodowe, polityczne i społeczne tylko kroci obywateli — dziś o także potrzeby dziesiątek milionów. Stąd wzrost armii, organów administracyjnych i w ogóle potrzeb państwowych — wzrost szalony, który uwidoczniają budżety państwowe! Lecz te miliony, domagające się opieki państwowej, nie tylko nie przysporzyły w równej mierze dochodu państwu, ale spowodowały, jako przeważnie mniej wykształcone, a dla siły swojej fizycznej w danym razie straszne dla państwa, znacznie większe wydatki państwu, niż siła produkcyjna ich na to zezwala. Pomimo więc zwiększania nieproporcjonalnego ciężarów dla dawnych obywateli i pomimo nałożenia na nowych możliwych najwyższych ciężarów, stał się niedobór państw europejskich prawie ogólnym, a wzrost długów stałym, dziś już dochodzącym prawie zenitu wysokości. Lecz kto z tej nędzy państwowej korzysta? kto zeń największy ma dochód?... Kapitał!... Kapitał pokrywa niedobór państw i zagrabia na ubezpieczenie swoje jego dochody, które uszczuplone o zaprzędaną część, nowe rodzą niedobory ku dalszemu kapitalizowaniu i oprocentowaniu odstąpionych dochodów na rzecz wzbogacającego się w dług państwowe kapitału. Do spłacenia długu przeszłości potrzeba jednak, aby to, co ubyło, niemal w dziesięćkroć

już się odżywiło. O przykłady nie trudno. — Bierzemy najbliższy. — Dochód Austrii, budżetem na rok 1881. objęty, wynosi 400 milionów. Ponieważ zaś majątek narodowy wraz ze skapitalizowaną pracą ludzką nie przynosi w przecięciu nad 5% dochodu, a więc jak $\frac{1}{5}$ części, t. j. 20% dochodu państwu oddawać nie można, więc chcąc siłę państwową w cyfrze pieniężnej wyrazić, należy dochód roczny przy 1% skapitalizować. Wartość więc pieniężna siły państwowej w Austrii wynosi 40 miliardów. Państwo ma długów 4 miliardy i opłaca od tego kapitalistom rocznie $\frac{2}{7}$ części swego dochodu, z 400 milionów płaci bowiem Austria na dług państwa 114 milionów. Kapitaliści więc, którzy nabyli na własność około $\frac{1}{10}$ część siły państwowej, zabierają $\frac{2}{7}$ części jego dochodu. Nawet więc przy równowadze budżetu niemożliwe spłacić kapitalistów, a dopiero przy znacznej zwwyżce w budżecie, przewyższającej dzisiejszy niedobór, możnaby się po bardzo wielu latach uwolnić od tego ciężaru. Stąd też kapitał długo jeszcze żyć będzie z nędzy naszej. A nie wydobył on się ze ziemi i przyrodzonych jej bogactw, nie wzrósł przez podniesienie wartości dzielną pracą ducha i ręki ludzkiej, ale wzrósł i wzrasta z niedoborów, z nędzy naszej państwowej... To, czego nam co roku nie dostaje, jest źródłem jego dochodu i wzrostu, gdy ogromnego dochodu swego nie jest w stanie spożyć, więc czyni z haraczu naszego oszczędności, aby niemożność naszą opłacania mu się kapitalizować — w nieskończoność. Za drobne stosunkowo niedobory nasze z krótkiego również okresu czasu zaprzędano kapitałowi, na nas wzbogaconemu, blisko trzecią część naszej siły państwowej. Tą drogą idąc, musi przyjść czas, że cała nasza siła państwowa, reprezentująca dziesiątki miliardów, zaprzęda się kilku miliardom, które powstały z drobnych milionów!...

VI. Przed kilku dziesiątkami lat setki, czasem tysiące obrabiały ziemię dla jednostek — dziś każdy obrabia ziemię dla siebie. Z ożywieniem ruchu komunikacyjnego, ze wzrostem ludności, ze wzmocnieniem się jej wymogów, okazała się potrzeba większej produkcji rolniej. Lecz do podniesienia jej potrzeba było kapitałów, a dochód nie odpowiadał wkładom, bo ceny produktów nie podniosły się w stosunku do tych czynników. Że zaś się nie podniosły, zasługa lub wina kapitału, który ułatwia komunikacje, wyszukuje nowe szpichlerze dla zgłodniałej ludzkości, a mając

od wkładu do zbioru czas krótki, obrót więc szybszy niż rolnik, zadowalnia się pozornie mniejszym zyskiem i deprecjonuje wartość produktów. Rolnik widział się w bycie swym zagrożonym, a często brakło mu na utrzymanie tego bytu. Usłużny kapitał podał mu rękę — lecz zyskiem małym nie chciał się zadowolić, dyktował warunki trudne, zabierał więcej niż mu się w stosunku do jego wkładu należało, i korzystając z ambarasu rolnika lub z jego nieporadności, a nawet lekkomyślności, korzystając z jego materyalnej lub moralnej nędzy, tuczył się jego sokami, jego pracą, jego czcią, jego bytem, a teraz przygniótł ziemię, że już dychać nie może. Nędza dochodzi do rozpacz, a kapitał kosztem i wzrostem téj nędzy wzmaga się ciągle z narosłych odsetek i zysków!...

VII. Również przed kilku dziesiątkami lat przemysł był rękodzielnym, dziś stał się fabrycznym, skutkiem czego zdeprecjonował w pierwszej linii wyroby rękodzielnicze. Stąd też rękodzielnik popadł w niedobór, który zrodził długi — a długi dalsze niedobory i tak dalej w nieustającym kół ogniwie. Kapitał krył pierwsze niedobory, a narosłym od wkładu swego dochodem powiększał się i powiększa niepomierne. Gdzie zaś przemysł szukał fabrycznych zakładów, tam okazała się zaraz potrzeba pomocy kapitału, który warował sobie wyższe dochody, niż mu się w stosunku do swéj siły produkcyjnej należało, a tak i przemysł fabryczny poszedł drogą rękodziela, tworząc z niedoborów kapitał, a z haraczu dla kapitału dalsze ogniwo łączącego się i potęgującego niedoboru i kapitalizujących się długów!...

VIII. I handel od lat nie wielu przez nadzwyczajne w ostatnich czasach ułatwienia komunikacyjne z gruntu się zmienił i zdecentralizował się do ostatnich granic. Lecz to rozdrobienie, ta decentralizacja pociągła za sobą ogromne koszta utrzymania i stworzyła nienaturalną, wzajemnie rujnącą się konkurencją, dla podtrzymania zaś swego bytu zapotrzebował handel coraz większych kapitałów, które z czasem zrujnowały go, jak zrujnowały przemysł, rolnictwo i państwo, a tucząc się nędzą jego, wzrastają w wyższej progresji niż siła jego odtwórcza.

IX. Dopiero wiek nasz wytworzył zarobkującą inteligencją. Przed wiekiem nie ważyła ona jeszcze na szali stosunków społecznych. Lecz masy nie podnoszą się w oświacie w tym stosunku, w jakim się wzmaga pod względem liczby i jakości za-

robkująca inteligencja; stąd społeczeństwo nie jest w stanie jęj utrzymać, jak tego wymagania jęj słuszne, czy niesłuszne żądają. Więc znowu okazały się w gospodarstwie niedobory i rosnące stąd długi — a kapitał i na tęg najnędzniejszęg nędy bogacił się i bogaci...

X. Równie wiek nasz dopiero wytworzył, jako odrębną warstwę społeczną, klasę robotników, których dostatecznie zająć i opłacić nie umiał i nie mógł. Musiała więc ta klasa, niestosunkowo w liczbę, wymagania i potrzeby wzrastająca, popaść w niedobory, jak inne warstwy społeczne, a na nędy jęj wzrasta i kształci się drobny kapitał, aby potęg w wyższych organizacjach społecznych bogacić się w nieskończoność...

XI. Nie winić nam gorączkowego ludzkości postępu, nie kazać na temat „oszczędności i gospodarności“, nie karcić nawet kapitału, że zyski zbiera, na jakie w pochodzie swym naturalnym natrafia, ale potępić go, że szuka jedynie lub przynajmniej przeważnie zysków tam, gdzie praca tylko niedobory zbiera, gdzie duch i ręka ludzka tylko nędzę sieje!... Robotnik ręczny i umysłowy rujnuje swą nędzą handel i przemysł, tenże rolnika, a wszyscy rujnują państwo, które na odwrót znów ich wszystkich niszczy. Na tych zaś zgłiszczach, na tęg smętarzysku nędy wzmaga się w siłę i potęgę, moralnie i materialnie rujnujący ludzkość — kapitał! Ten kapitał, którego zadaniem i obowiązkiem bezpośrednio jąc się w roli, handlu i przemyśle — produkcji, aby ją podnieść i wzmocnić, a przez to zapewnić ludzkości potrzebny jęj dobrobyt, ten kapitał tylko przez alembik bankierskich i giełdziarskich spekulacji zbliża się ku producentowi i robotnikowi i pod pozorem pomocy wyssysa ich ostatnie soki. A ludzkość, choć to widzi i czuje, nie ma siły odwrócić się od tego kapitału, ani nie ma odwagi podać mu gardła do ostatecznej i wszystko kończącej śmierci, lecz przenosi wolne wśród mąk konanie. Jest to nie moralna wprawdzie, ale również tragiczna, bo społeczna konieczność!...

XII. Wyjścia tu nie ma — ni kapitał poddać się jest zdolien przepisom moralności społecznej, ni nędz pójdzie za prawami rozsądku i rozważgi. Jak dwa kolosy z niesłychanej pochylłości pędzą tuż obok siebie, grożąc, że jeden drugiego ciężarem swym przewali i — zgruchocze!... Straszne to będzie wstrząśnienie, a jak się wywalczy ta walka gigantów: nędy,

spłodzonej i przez kapitał podtrzymywanej — z kapitałem, zrodzonym z nędzy i nią się tuczącym — okaże niedaleka już przyszłość...

Oto! kwestya najbliższych czasów — walka w skutkach straszna, w wstrząśnienia bogata, a strachem ludzkość napawająca: walka nędzy państwowej i społecznej, nędzy ogólnej — z kapitałem!...

Alfred Zgórski.

NOWE HASŁO.

W ostatnich piętnastu latach w pojęciach naszego narodu dokonał się zwrot, bardzo ważny: romantyzm panujący w poezyi, nauce i polityce, z jednej strony pod wpływem krwawych doświadczeń, z drugiej pod wpływem nowych prądów naukowych, wiejących na nas z Zachodu, ściągnął na siebie surową krytykę rozsądku, i ideałom jego odjęto prawo przewodniczenia życiu naszego społeczeństwa. Uczuliśmy potrzebę zmiany kierunku, wjeżdżamy na nowe tory. Jakież hasło teraz bieży przed nami i wytyka kierunek nowój drodze?

W epoce romantycznej, której świeża mogiła jeszcze trawą nie obrosła, uczucie było wyłącznym przewodnikiem, gorliwym, zawziętym ale ślepym. Nie licząc się z rzeczywistością, pogardzając cyfrą, miarą i materią najwspanialszych duchów naszej poezyi zaprowadziło w otchłań mistycyzmu, najlepsze siły młodzieńcze narodu wydało na zaturę i wygnanie. Zastanawiając się nad tymi rezultatami, przyszliśmy do przekonania, że tak dłużej być nie powinno, że jeśli chcemy dojechać do lepszej przyszłości, musimy innego obrać sobie kierownika, mianowicie takiego, któryby się liczył z rzeczywistością i choć powoli, ale skutecznie prowadził do celu. Tym przewodnikiem, kierownikiem, mógł być naturalnie tylko rozum, wolny od aberacji uczucia, przedstawiający wszystko w białem oświeceniu dnia, obliczający zamiary według sił, a nie siły według zamiarów i nie liczący nic na grę hazardowną a wszystko na wytrwałą i powolną pracę.

Ze zmianą przewodnika musiała nastąpić zmiana ideałów. To, co w wyłącznym świetle uczucia przedstawiało się wielkim, pięknym i dobrą, w świetle rozumu okazało się ułomnym. I w poezji, i w historii, i w polityce wielbiliśmy wyłącznie porzeczne poświęcenie się, ognisty rzut uczucia, składający jednostkę jako całopalmą ofiarę na ołtarzu narodowym. Sama romantyczna akcja tego szlachetnego czynu tak nas zachwycała, żeśmy wcale nie zwracali uwagi na jego praktyczność, na jego zgodność z warunkami rzeczywistości, i dla tego winy niepowodzeń nigdyśmy w nas samych nie szukali, lub jeśliśmy w sobie szukali, to nie tam gdzie należało.

Wina leżała w tem, że upojeni uczuciem kroczyliśmy jak senni, ciągle potykając się o przeszkody, których nie widzieliśmy, ciągle padając, krwawiąc się i dziwiąc się temu, żeśmy upadli.

Otrzeźwiając się z tego upojenia, poznaliśmy, że co nie ma prawdy w podstawie nie może mieć trwałego bytu, że niezbędnym warunkiem powodzenia w każdym przedsięwzięciu jest chłodne zbadanie i ocenienie sił własnych w stosunku do sił przeciwdziałających, że zapal jakkolwiek pięknym jest kwiatem na drzewie życia ludzkiego gorzkie wydaje owoce, jeśli mu nie towarzyszy i nie kieruje nim doświadczenie, umiejętność, przeczorność, ostrożność, zapobiegliwość, zalety obce bohaterom romantycznej poezji, historii i polityki. Więc nowe hasło rozbrzmiało na wszystkich drogach naszego życia: *prawda!*

Zaczęliśmy tedy szukać prawdy w historii, a nie tego, coby schlebialo naszej przeszłości, bo tylko prawda, chociażby najbardziej gorzka, może nas oświecić, dać przestrożę i wskazówkę na przyszłość. Zaczęliśmy szukać prawdy w poezji, a nie wizji romantycznych, unoszących się w obłokach wysoko nad gruntem realnym, bo tylko to, co wzięte z łona rzeczywistego życia i odlane w kształt harmonijny, pozostanie wiecznym posagiem w poezji. Prawda w filozofii kazała nam nie budować wniosków na ruchomym gruncie wyobrażeń, a priori, ale na twardej podstawie dokładnie zbadanych i sprawdzonych faktów. Prawda w polityce kazała nam poznać słabość sił własnych i zastosować do nich zadanie chwili, bo tylko tym sposobem, jakkolwiek powoli ale za to nieustannie, możemy posuwać się naprzód.

Jednakże źleby było, gdybyśmy w skutek reakcji, która właściwą jest naturze ludzkiej, pogardzili tem, co było dawniej

przewodnikiem i wyrzekli się go zupełnie. Zyskawszy światło, stracilibyśmy ciepło, tę siłę, bez której żadna twórczość niemożliwa. Bez dobrego konduktora jakim jest rozum praktyczny, bez światła, które daje wiedza, wagony nasze często się wykolejały, ale bez siły ognia wzmagającego prężność pary, to jest bez potęgi uczucia zagrzewającego wolę, nie ruszyłyby wcale z miejsca. Niech tylko wszystko będzie na swoim miejscu: ogień w piecu, para w kotle, konduktor w swojej budce, szyny na ziemi, słońce na niebie.

Józef Tretiak.



MÓJ KWIATEK.

W pączku róży tyś poczęta,
Jak jej cudny kwiat;
Rankiem, na Zielone święta,
Przyszłaś na ten świat.

Przyszłaś rankiem, Boży cudzie,
Gdy świat leżał snem;
Nim go owionęli ludzie
Ziemię tchnieniem swem.

Chrzest ci dała Boża ręka,
Rosa chrzcila cię;
Błękit, gwiazdy i jutrenka —
Były kumy tve.

I dlategoś taka czysta,
Jak błękitu szczyt;
Jak gwiazdeczka promienista,
Jak jutrenki świt.

I dlatego, choć tak mały —
Tyś na ziemi kwiat,
Jabym ciebie za ten cały,
Wielki nie dał świat;

Nie dał ciebie za me tchnienie,
Ni za wieczny raj;
A ty za to mi spojrzenie
Tylko jedno daj!

Mikołaj Bołoz Antoniewicz.

CZARTOWIEC A HARTOWIEC.

Roku 1338 przyszło pomiędzy W. mistrzem zakonu niemieckiego Dytrykiem z Aldenburgu, a Ottonem, biskupem chełmińskim, do porozumienia, które ostatecznie uregulowało posiadłości tak zakonne jako też biskupie w ziemi lubawskiej. W dokumencie * na ten cel wystawionym podano dokładnie granice, dzielące wschodnią t. z. biskupią część ziemi lubawskiej tak od ziemi carskiej jako też od wójtostwa bratyańskiego. Na pograniczu bratyańsko-lubawskim wymienia wspomniany dokument „Iacus Czertofer“, który badaczom, mianowicie niemieckim, sprawia nie małe trudności, bo mapy oznaczają właśnie na tem miejscu wieś Hartowiec (Hartowitz). W skutek tego przypuszczają, jakoby Czartowiec (Czertofer) było formą zepsutą zamiast nazwy Hartowiec. ** Tak jednak nie jest; wskazują na to już same nazwy, z których starsza zanadto dobitne, młodsza zaś zanadto blade ma znaczenie, jakżeby tutaj mogła zachodzić pomyłka. Pomimo to miejscowość wspomniana nazywa się dziś rzeczywiście Hartowiec a nie Czartowiec; przemiana zaś nazwisk miała następującą przyczynę: Dobra biskupie Czartowiec, obejmujące 40 włók ziemi i położone nad jeziorem co dopiero wspomnianem, w wojnie pomiędzy Polską a W. mistrzem krzyżackim * Olbrachtem uległy

* Voigt: Cod. dipl. Prussiae III, nr. 7.

** Töppen: Historisch-comparative Geographie von Preussen, pag. 121.
Lothar Weber: Preussen vor 500 Jahren, stawia bez skrupułu Hartowitz na miejscu owego Czertofer.

spustoszeniu i pozostały w takim stanie przez lat kilkanaście. Aby złemu zaradzić i kasie biskupiej przysporzyć dochodu, sprzedał r. 1535 ówczesny biskup chełmiński, znany zaszczytnie u nas humanista Jan Dantyszek, tę wieś szlachetnemu Wawrzyńcowi de Curiis czyli von Höfen, swemu bratankowi, za 600 grzywien dziedzicznie na prawie chełmińskim.* Ponieważ zaś nazwa wsi Czartowiec, jak biskup zauważył, w polskim języku brzmi źle i nieprzyjemnie, dlatego postanowił, aby wieś ta odtąd nie Czartowiec, lecz Hartowiec się nazywała, oraz aby bratanek Wawrzyńiec i jego potomkowie nosili nazwisko „Hartowieccy“, a po niemiecku „von Hartowiec“. Postanowienie Dantyszka przyjęło się, a nazwa Hartowiec wyrugowała Czartowiec, tak iż ostatnie nazwisko dziś zupełnie poszło w zapomnienie.

* Przekład niemiecki przywileju Jana Dantyszka znajduje się w archiwum regencyi kwidzyńskiej w księdze, której tytuł jest taki: Grundbuch des Amtsdistricts Löbau. Vol. III, 48.

Wojciech Kętrzyński.

S A M O W A R.

HUMORESKA.

Samowar!... Ileż to wspomnień wiążemy z tym wyrazem; ileż to razy wzdychaliśmy do samowara, nibyto do utęsknionej kochanki, a jego ciepły oddech witali z uniesieniem!... Rozmaicie to bywało — a więc czy to syczący potwór, który majestatycznie wyrzuca strugi ukropu do wazy napełnionej esencją ponczową, czy to mały, kulawy kopcuszek, cicho mruczący w śniegiem zawianej chatce: wiele, bardzo wiele one widziały i słyszały. Podniecały wesołość, kojarzyły małżeństwa, zsyłały natchnienie, koły troski i cierpienia. Ba! nawet niniejsza humoreska nie byłaby nigdy ujrzała światła Bożego, gdyby nie... samowar! I to jeszcze jaki samowar! Tandetna lichota, z którym Marcelko rady dać sobie nie umiał.

Musisz wiedzieć czytelniku, że Marcelko wcale nie był tak drobnym chłopczykiem, jakby się jego zdrobniałe imię domyślać nakazywało. Przeciwnie. Był on jak na kawalera, już w dość podeszłym wieku, chudy, niepomrotnie wysoki i z góry na wszystko sceptycznym spoglądający okiem. Marcelkiem nazywano go li tylko dla kontrastu, a może dla jego wielu prawdziwie dziecinnych uprzedzeń. I tak np. najzabawniejszą wadą Marcelka była bezgraniczna mizantropia i spokrewniona z nią nienawiść do płci pięknej. Nie dziwmyż się zatem, że chociaż w odległym zaułku odnajmował pokoik od wcale nie starzej, a wcale, wcale nie szpetnej wdówki, nie starał się bynajmniej

o zawarciu z nią znajomości. Tak jest. Nie troszczył się on ani wdówką, ani polityką, ani całym w ogóle światem, bo i cóż go mogły obchodzić te wszystkie marności ziemskie, skoro miał — samowar! Spędził on już długie lata w samotności z tym jedynym, wiernym towarzyszem; w końcu Marcelko się postarzał, samowar pokrzywił się i zczerniał; Marcelko bywał w coraz gorszym humorze, samowar ciągnął coraz gorzej; mimo to jednak tak przywykli do obopólnych niedostatków, że trudno im było się rozłączyć. A przecież raz przyszło do zajścia między nimi, które dla obu niespodziewane za sobą pociągnęło następstwa.

Było to z początkiem grudnia. Mroźny wicher północny miódł po ulicach tumany miałkiego śniegu. Skrzęple igiełki tak niedyskretnie wciskały się za podniesiony kołnierz wytartego paltota, że zmusiły nawet Marcelka, aczkolwiek lubiącego sobie przez całe życie robić na przekór, do powrotu z samotnej przechadzki. Zły i zziębnięty, przekroczywszy próg swój ponurą izdebką, zaczął swoim zwyczajem zgryźliwie coś mruczeć przez zęby. Wcale się temu dziwić nie będziemy, skoro rozważymy niepokojące wyglądanie izdebiny Marcelka. Powietrze przesyczone wilgocią i kwasem dymu fajeczanego, po kątach kupki śmiecia, mebelki grubą warstwą pyłu powleczone, nie zapowiadały bynajmniej tego Eldorado, jakiego człowiek szuka wśród grudniowej zamieci. Dopiero wtenczas rozjaśniło się nieco Marcelka chmurne oblicze, skoro przy świetle zapalanej świeczki ujrzał na półce swego niemniej stęranego i zziębniętego towarzysza. Wspólna niedola dodaje otuchy. Uśmiechnął się więc Marcelko do swego samowarka i życzliwe ku niemu wyciągnął dłonie. Rozpoczęła się codzienna, żmudna manipulacja. Nalawszy wody, wydobyl Marcelko z pod stołu garnek z węglami, a nadpalając je nad świeczką, rzucał do samowara. Praca ta atoli nie szła mu sporo, chociaż poparzył skostniałe od zimna palce i rozdymał sobie płuca. Daremnie Marcelko wyczekiwał, kiedy samowarek rozpocznie swój codzienny z nim rozhovor, tak miły dla jego ucha; daremnie nadśluchiwał, kiedy po przejściu całej gamy od *pianissimo* i *staccato* do *allegro vivace* zabrzmi pośród gęstych pary obłoków tryumfalny finał z opancerzonej samowarka piersi. Nic nie pomagało; samowarek milczał dziś jak zaklęty. Szucznie podniecona iskierka, tłumiona coraz natarczywiej dorzucanym czarnym węglem, coraz mdliej przyświecała, aż w końcu zgasła

doszczętnie; podobnie jak w sercu Marcelka dawno już wygasły wszystkie szlachetniejsze uczucia, tłumione bezcelowo przez długie lata, coraz czarniejszemi urojeniami. Marcelko był wściekły; gotował się już nawet do uczynienia jakiego kroku rozpaczliwego, gdy wtém — jak Faust, który porzucił samobójcze zamiary, usłyszawszy w chwili zwątpienia melodyjne „Alleluja!“ ocknął się i Marcelko, usłyszawszy w przyległym pokoiku swój gospodi dźwięczną piosenkę. Podumał chwilę, a w końcu zrobił gest, jak gdyby był powziął jakiś plan stanowczy. Widocznie nie chciał dać za wygrane; upór na upór! W drżącą od zimna i wzruszenia rękę pochwycił niesforny samowarek i — poszedł po ogień do młodej wdówki.

Jak olbrzymi Goliat niepokąznego Dawida, tak zmierzył Marcelko lekceważącym wzrokiem małą, fertyczną Kordusię. Jednakże nie ulękła się ona tego wzroku, bo nasz Goliat dzierżył w prawicy tylko dymiący samowarek, a Kordusia strzelała oczkami lepiej niż z procy. Owszem, pierwsza się odezwała, ratując Marcelka z kłopotu:

— Cóż to za gość rzadki!... Ale jak to zaraz poznać samoluba! Jak widzę, pana tylko interes do mnie sprowadza; rady dać sobie pan nie możesz?

— Niestety! — jęknął swym zwykłym zgryźliwym tonem Marcelko, choć łatwo było można poznać z jego twarzy, że woń oddechu Kordusi, ożywcze ciepło kominka i ład wzorowy, z każdego uśmiechający się kącika, doraźnie a bardzo kalmująco zadziały na zgryźliwość mizantropa.

— Zasłużona to kara — słodko mówiła tymczasem Kordusia. Kto kobiet się lęka jak upiorów, drugich unika, sądząc, że w doli czy niedoli sam sobie wystarczyć potrafi, ten nie opędzi się niezliczonym drobnym przykrostkom, które mu w końcu życia zatrują.

Marcelko przypomniał sobie w tej chwili mimowolnie tyśiączne dolegliwości kawalerskiego żywota; porównał to uroczne gniazdko z ponurą swoją spelunką, a zawstydzony, spuszczaając oczy, mimochodem spojrzał na swe wystrzępione manszety — i westchnął. Pierwszy to raz w życiu, dzięki chwilowej słabości ducha, spowodowanej niesfornością samowarka, przyznał w głębi serca słuszność uwagom kobiety.

Kordusia zrobiła mu już tymczasem obok siebie miejsce przy kominku i biorąc w swą opiekę kapryśny samowarek, tak dalej ciągnęła z wyrzutem:

— Jakże można iskierkę na dnie tlejącą tłumić tak nieogłędnie?

Roztargniony Marcelko, pobudziwszy raz swój mózg do wcale niezwykłej czynności, t. j. do zastanawiania się nad własnym sercem, zapomniał na chwilę o samowarku i stosując do siebie słowa Kordusi, odezwał się nieśmiało:

— Przypuszczasz więc pani, że w moim sercu...

— Broń Boże! — przerwała figlarnie Kordusia, pokazując dwa rzędy prześlicznych ząbków — myślałam o samowarze!

W język ukąsił się Marcelko, ale już było za późno, bo Kordusia, z ukosa spoglądając na niego przenikliwymi oczkami, trzepała dalej:

— A, sameś się pan zdradził!... Budzisz pan we mnie słuszne podejrzenie, żeś pan istotnie zmarnował tę iskierkę, którą Wszechmocny składa na dnie naszego serca, abyśmy z nią, uchroniwszy ją szczęśliwie od zatury, tyle wytworzyli ciepła, iżby ono nie tylko nas samych, ale i nasze otoczenie ochronić mogło od moralnego skostnienia. Trzeba strząsać...

— Natychmiast! — przerwał Marcelko, porywając się z miejsca.

— Co pan zamierzasz? — zapytała zdziwiona Kordusia.

— Strząsać nadmiar tych czarnych węgli, tłumiących żar w samowarku.

— Przepraszam! Tym razem myślałam istotnie o panu — zauważała z uśmiechem niebezpieczna wdówka, a wytrząsając sama popiół z samowarka, kończyła swój moral:

— Tak jest! Trzeba strząsać z duszy ten nadmiar czarnych uprzedzeń; nie tłumić bezcelowo wrodzonych popędów, a świat w jaśniejszych przedstawi nam się barwach...

Powtórnie zbity z tropu Marcelko słuchał uważnie, wpatrując się w piękne liczko Kordusi, opromienione luną bijącą z kominka, i świat mu się w tej chwili istotnie w jaśniejszych przedstawił barwach. Czuł, że i jemu twarz się rozjaśnia, że krew szybciej po żyłach krążyć zaczyna; jakieś błogie ciepło rozlało się po wszystkich nerwach...

— Już się rozgrzewa — zauważała równocześnie piękna gospoia.

— Samowar... — dorzucił Marcelko półgłosem z obawy, aby znów nie powiedzieć niedorzeczności.

-- Oczywiście! — zadźwięczał śmiechem drgający głosik z pięknych usteczek. — Tu przecież niepodobna już przypuszczać omyłki co do przedmiotu rozmowy!

— A... a... to prawda! — szepnął nasz bohater, czerwieniąc się równocześnie, jak gdyby go kto pochwycił na gorącym uczynku.

Tonący czepia się brzytwy. Toż i Marcelko chcąc w tak fatalném położeniu gwałtem udawać obojętność, zaczął przez zęby nucić jakąś powszednią aryjkę.

— O, już mruczy! — zawołała radośnie Kordusia, wskazując samowarek. — To dobry znak!

— Szatan, nie kobieta! — pomyślał Marcelko, upatrując w jej słowach jak najniesłuszniej aluzye do siebie. — Jak ona mię na wskrós przenika; czuję, że się nie oprę, czuję, że mój wstręt...

— Już się ulatnia! — ciągnęła tryumfującym tonem nieubłagana towarzyszka.

— Otóż nie! nigdy! — syknął rozgorączkowany Marcelko.

— Zabawnym pan jesteś... Jak to nie? Patrz pan, jak gwałtownie ulatnia się woda w tych kłębach pary... Nie traćmy czasu!

— To zręczny wybieg! — wmawiał w siebie biedny mizantrop. — Przysiągłbym, ona czyta w méj duszy... Niezwykła istota!... Nie, nie!... ani chwili dłużej tu nie zostanę, bo...

— Przekipi!... Uważaj pan! — krzyknęła Kordusia, widząc, że Marcelko energicznym ruchem, mającym być, jak się zdawało, wyrazem właśnie powziętego postanowienia, omal nie obalił samowarka.

— Własną winą — kończyła, grożąc filuternie paluszkami — byłbyś pan unicestwił to, nad czémeśmy tak długo wspólnie pracowali. W pańskim życiu byłby to jednak podobno nie piérwszy wypadek. Zdaje mi się, należysz pan do istot, które z pewną rokoszą same zadają sobie przykrości, aby mieć potém upragnioną sposobność do utyskiwania na świat i ludzi.

— Przeszło to już u mnie w drugą naturę — zauważył niechętnie głęboko zadumany i ukradkiem wzdychający Marcelko.

— Nie wierz pan temu! Dobrą myśl!... Oto już się gotuje... Wygrana!... — zawołała ucieszona Kordusia, równocześnie odpowiadając Marcelkowi i robiąc spostrzeżenia nad samowarem.

Marcelkiem tak zachwiał ten krzyżowy ogień, spowodowany przypadkową assocyacją całkiem odrębnych myśli, że sądząc się nielitościwie zdemaskowanym, znów zaczął myśleć o odwrocie.

— O, teraz pana nie puszczę! — odezwała się Kordusia, przytrzymując go pulchną rączką, skoro ujrzała jego strategiczne zamiary do skoncentrowania się w swój własnej izdebce. — Skorośmy tak daleko doprowadzili, nie możemy sobie odmówić przyjemności...

Marcelkiem trzęsła gorączka, jak ukrop samowarem.

— Napicia się razem filiżanki herbaty — konkludowała Kordusia. — Wszak mi pan nie odmówisz?

Rzekłszy to, z gracyą poniosła samowarek do drugiego pokoju, a za drobną tryumfatorką podążyła gigantyczna zdobywcza w postaci wielce skonfundowanego, ale nie mniej rozanielonego Marcelka.

Co dalej zaszło, nie wiem... Przypominam sobie jednak, że nazajutrz dowodził mi Marcelko ku memu największemu zdziwieniu, iż nie ma jak kobiety, jeśli chodzi o rozdmuchanie popieladź iskierek; że herbata, podana rączką pięknej kobiety, ma całkiem inny aromat... i inne podobne niedorzeczności.

Wkrótce potem wyjechałem z miasta, w którym przemieszkiwał Marcelko. Powróciłem dopiero po całorocznej przeszłości, i to w interesach pana Z., mającego tamże handel towarów żelaznych. Udałem się prosto do sklepu... i kogóż tam spotykam?... Marcelka! — Jak to, samego? — zapytacie. — Broń Boże!... Na jego ramieniu spierała się śliczna, piękniejsza niż przed rokiem Kordusia.

Państwo Marcelowie kupowali właśnie samowar rodzinny!

O ironio losu! Mędrców ze Wschodu prowadziła niepospolitą światłem gorejąca gwiazda do poznania prawdy przedwiecznej: naszego Marcelka do poznania równie odwiecznej prawdy, wskazującej w miłości źródło odrodzenia, doprowadził zakopcony samowarek... i to jaki?... Tandetny! który w końcu musiał pójść na pensyę za swoje usługi.

Romuald Starker.

Z ZAPLEŚNIAŁÉJ TEKI.

I.

MUCHA I ŚWIĘTOJANEK.

B A J K A.

Nadęta mucha pożąłotą promienną,
Kąpiąc się w świetle wiosennego ranka,
Z wzdargą patrzyła na świętojanka,
Że był tak mały — miał barwę tak ciemną.
A że rój muszek koło niej się kręcił,
I brzęk pochwalny w cześć pani swój świecił —
Biorąc pochlebstwa za istne zalety,
Głośno zeń szydzić poczęła, niestety!

Na to się ozwał skromny świętojanek:
„Nie chęć się siostró twą postacią jasną,
Nim dzień przeminie, twe wdzięki pogasną —
I będziesz brzydką, ciemną — jak ja w ranek;
Ja zaś zabłysnę światłem meteora,
O mucho, siostró! czekajmy wieczora!”

To rzekłszy, umilkł — i w lilji kielichu
Utonął na dnie. — A mucha wśród śmiechu
Nad lilją krążyła,
Z robaczka szydziła.

Wtém wieczór nadszedł. — Mucha okazała
Znikła gdzieś w zmroku — ciemność ją zalała;
A świętojanek zajaśniał z daleka!

*

Czém ranek dla muchy, tém młodość dla człeka —
Starość wieczorem — uroda poźłotą —
A owa jasność, co świeci z daleka,
W ludzkim języku nazywa się cnotą.

Owoż wśród ludzi much wiele znajdziecie —
Lecz świętojanków jakże mało w świecie!

II.

ŁZA MATKI.

Kiedym opuszczał dom matki przed laty,
Czysty na sercu, w nadzieje bogaty,
W świat — w życie — w przyszłość serce mi się rwało,
O! bom nie wiedział, co mnie czekać miało.

Lecz matka moja snąć przyszłość odgadła,
Bo patrząc na mnie, straszliwie pobladła;
A gdym ją pytał — nic mi nie odrzekła,
Tylko z jej oczu gorzka łza pociekła.

I długo — długo — gdym się rozstał z matką,
Był dla mnie jeszcze jej smutek zagadką...

Aż gdy mi zapal świat śmiechem wystudził,
Nadzieje zdeptał, czyste serce zbrudził —

Treść życia sama gadkę rozwiązała...
Teraz wiem, matko, czemuś ty płakała!

Józef Greliński.

WYZWANIE NA POJEDYNEK W XV. WIEKU.

Śroga była walka pod Koronowem w r. 1410. Zwycięstwo polskiej załogi wprawdzie mniejsze było aniżeli wygrana pod Grunwaldem; można było wszelako wyżej je kłaść nad „wielkie pobicie“ ze względu na niebezpieczeństwo, wytrwałość i zapal walczących, jak to słusznie podncsi historyk téj epoki, Jan Długosz. Chwałą okryci dwaj Toporczykowie, przywiedli królowi Jagielle mnóstwo jeńców, pomiędzy innymi Michała Kochmeistra późniejszego mistrza zakonu a dowódcę przeważnych sił krzyżackich i Konrada Niemca, sławnego rycerza szląskiego dworzana króla Zygmunta Luksemburczyka. Konrad Niemiec, czyli Niempech, jak go współcześni także nazywali, był rycerzem, podobny wielu innym ze Szląska, wynajmującym się z drużyną na usługi Krzyżaków, za poprzednią ugodą o sowity żółd, nęcący zarówno jak wojenne awantury rycerstwo całego świata pod chorągwie zakonu. Przed bitwą pod Koronowem spotkał owego rycerza despekt niemały i wnosiłoby należało, że ten właśnie był może głównym powodem, dla którego Niemiec pozostał zawsze wrogiem Polaków.

Było zwyczajem owych wieków, że przed stoczeniem boju pomiędzy stojącymi w zwartych szeregach przeciwnikami, każdy ze znakomitszych rycerzy mógł zażądać osobistej walki z jednym z rycerzy obozu przeciwnego. Konrad wystąpił z szeregu i zażądał przeciwnika. Z pomiędzy Polaków wystąpił Jan Szczycki

herbu Doliwa. Przeciwnicy natarli na się długimi kopiami. Niemiec niewytrzymał pierwszego a strasznego ciosu i powalił się z konia. Upadek jego był hasłem do strasnej walki, jaka po chwili z obu stron zawrzała, dla jednej strony wróżbą zwycięstwa, dla drugiej odwetem za upadek i srom sławnego rycerza. Szala zwycięstwa przechyliła się na stronę walecznej garstki Polaków. Niemiec wraz z wielu innymi rycerzami dostał się do niewoli.

Konrada Niemca internowano początkowo w Tucholi, skąd go później wzięto do Polski, a po pokoju toruńskim puszczone na wolność na tak zwane słowo rycerskie. To „słowo“ było zobowiązaniem się na honor rycerski, że rycerz jeniec, dopóki nie spłaci pewnej a zwykle wysokiej sumy nałożonej na jego wykup, musi stawiać się na każde zawołanie a nadto i w oznaczonym czasie u tego, który go obdarza drogą wolnością. A że rycerz zwykle pieniędzy nie posiadał, stawał się poniekąd niewolnikiem zwycięzcy. Gdy nadto każdy w niewolę pobrany Szlachak, których chciano uważać za odpadłych od korony Polaków, musiał przed uzyskaniem wolności składać przysięgę, że nigdy nie poważy się wieść wojny przeciw Jego Kr. MCI królowi Jagielle, lub służyć w obozie wrogów Korony, łatwo z tego wywnioskować, że dola Konrada Niemca nie była wcale do pozazdroszczenia.

Biedny Niemiec był przeto przez czas jakiś sługą danego słowa. Gdy atoli żyłka awanturnicza wśród nadarzających się sposobności pociągała go do wojennych zapasów, stawał nieraz na rozdrożu, nie wiedząc, co by mu uczynić należało. Zwyciężyła nareszcie namiętność rycerska i chęć zarobku i w r. 1422 widzimy Niemca znowu w obozie Krzyżaków walczących z królem Jagiellą. Obecności jego w obozie mistrza zakonu możeby i nie dostrzeżono ze strony Polskiej, gdyby nie pewien wybitny fakt, o którym wnet powszechnie mówiono. Gdy bowiem król z armią szedł ku Lubowu nad Drwęcą a Krzyżacy chcieli wyjść na spotkanie, odradził im Niemiec przyjęcia walki, zwracając uwagę marszałka zakonu na widoczne niebezpieczeństwo z powodu przeważającej liczby wojsk polskich. A gdy marszałek niedowierzał, Niemiec dosiadłszy rączego konia, wezwał go, aby mu towarzyszył na mały wzgórek. Stamtąd dopiero zobaczył zdumiony dowódca wojsk krzyżackich olbrzymią potęgę wojsk

polsko-litewskich i nakazał swoim, by się cofnęli w pochodzie. Polacy niebawem dowiedzieli się, kto udaremnił prawie pewną wygraną.

Jeszcze przed zawarciem pokoju Melneńskiego postanowiono zażądać od Niemca satysfakcyi za haniebne złamanie rycerskiego słowa, a gdy Jan Głowacz z Oleśnicy, późniejszy marszałek królestwa, odebrał był dawniej od Niemca rycerską przysięgę, jemu téż wypadło skarcić rycerza za nieszlachetny postępek. Z tego to czasu datuje się ciekawy dokument zawierający wyzwanie na pojedynek turniejowy.

„Ja Jan Głowacz z Oleśnicy, ślę tobie Konradowi, zwanemu Niemcem pozdrowienie przyjacielskie, na jakie się tylko zdobyć można w obecnej chwili i wśród takich okoliczności. Przyjacielu! Przypominam Ci, jako pod Koronowem zostałeś pojmany i wzięty do niewoli wśród bitwy, którą zwycięzko stoczyliśmy z Krzyżakami. A chociaż potem zacni rycerze polscy w imieniu króla odebrali od Ciebie rycerskie słowo, na mocy którego przyrzekłeś, że nie będziesz nigdy Krzyżakom w walce z JMCIA, królem naszym nieść pomocy lub ofiarowywać im posług rycerskich, — które to słowo rycerskie niemniejszej wagi być uważamy, jakby na dokumencie pismem wyrażone było, — jednakowoż Ty niepomny jego, nierozsądnie postąpiwszy, służysz obecnie w wojsku Krzyżackiem, radą i orężem ich wspierasz przeciwko majestatowi naszego króla. Niewchodząc w to, w jakim zamiarze tak sobie postąpiłeś, na mocy tego oto pisma wyzywam Cię i wywołuję, abyś zechciał w przystojnem otoczeniu stu lub dwustu świty rycerskiej, pewny bezpieczeństwa, które ci glejtem chrześcijańskim poręczamy, stawić się na którymkolwiek bądź dworze z najmiłościwszych książąt i panów, jako to króla Polski lub Wielkiego księcia Litwy Witolda, albo téż na dworze książąt Mazowieckich Janusza lub Ziemowita. Wybór jednego z tych dworów pozostawiam Ci do woli i wyzywam do pojedynku na ostre rohatyny, aby który z nas, któremu by może szczęśliwy los miał się uśmiechnąć wśród rycerskiej walki, nie został potępiony w obliczu swój kochanki, gdyby się niestawił do turnieju. A gdybyś jakimkolwiek wybiegiem lub wymówką chciał się ociągać od pojedynku, wiedz o tém, iż będę wszędy o tém mówić w sposób, jak się tego możesz spodziewać. Lecz nie sądzę, abyś miał nie odpowiedzieć na żądanie, gdyż nie przy-

puszczam nawet, abyś tak niepomnym był obyczaju rycerskiego lub by owładnąć miała Tobą bojaźń, albo też wiek podeszły siły Twe do tyła stępił, iżbyś obawiał się stanąć do rycerskiej rozprawy. Pomnij, że jesteś sługą dam i dziewic i że uważasz się za ich bojownika! Nie wątpię też, że masz obowiązek pracować w celu szerzenia sławy ich imienia, jak długo Ci stanie żywota. I my także (tu następują imiona innych rycerzy) chcąc się zabawić rycerską ochotą, wzywamy cię, abyś zechciał nam wskazać imiona twych towarzyszy, z którymi moglibyśmy zetrzeć się ostremi kopijami na turnieju, którego termin i miejsce zechciej nam wskazać. Dan w Krakowie 1422.“

* * *

Nie umiemy powiedzieć, jak i o ile poskutkowało to wyzwanie, to tylko pewna, że wiele później po nim spotykamy Niemca i Oleśnickiego w wojnach Polski z Krzyżakami w przeciwnych obozach. Należałoby się domyślać, że Konrad nie uwzględnił głosu Oleśnickiego i odpowiedział nań podobną odezwą, jak się to stało rycerzom polskim pod Tucholą. Wyzwani przez nich rycerze krzyżaccy przeznaczyli im jako plac boju: dwory królów Francyi, Hiszpanii lub Anglii!

Antoni Prochaska.

ZNACZENIE LUDNOŚCI

DLA PAŃSTWA.

Wszystko cokolwiek dzieje się na ziemi po zewnątrz surowych sił przyrody, dzieje się przez człowieka i dla człowieka. Człowiek jest panem ziemi, uczynił on niewolnikami swoimi liczne stworzenia, zaprzągnął je do swego wozu i pług, inne hoduje dla swego użytku, opanował siły natury i poznając je coraz lepiej, coraz też umiejętniej potrafi je zastosować i coraz więcej ich używa. Przeistacza on przy ich pomocy stosunki naturalne, zdobywa coraz większą niezależność w przyrodzie; umie przebywać pod każdym klimatem, gdyż zna sposoby zabezpieczenia się od surowości temperatury, a chociaż niestale, żyć jednak może nawet w krainie lodów. Góry nieurodzajne umie użyźnić, osusza błota, aby je zużytkować, lub sprowadza wodę tam, gdzie jej brak nie pozwala mu na wygodną siedzibę. Człowiek nic wprowadzić nie stwarza, ale przetwarza dla swoich celów całą stworzoną naturę. Wszelka organizacja publiczna, wszystkie urządzenia społeczne czy państwowe mają na celu człowieka, jego dobro, zaspokojenie jego potrzeb czy to fizycznych czy moralnych.

Nietylko jednak dla człowieka, ale i przez człowieka wszystko się dzieje, to też człowiek ma znaczenie przez to, czem jest i co może uczynić. Jest człowiek podstawą potęgi państwa, on też wszelkie siły w obrębie państwa pobudza do działania. Formy i zasady urządzeń społecznych są zależne od natury człowieka. Siła fizyczna, odwaga ludności, jej poświęcenie, zapał, chęć sławy,

stanowią przeważnie o rozwoju potęgi państwowej i zdolne są przezwyciężyć trudności pochodzące z niedostatków położenia geograficznego, lub z braku innych warunków, zapewniając byt niepodległy i stanowisko polityczne w stosunkach międzynarodowych. Moralne przymioty ludności, zamięłowanie porządku, prawa, wolności dają rękojmię bezpieczeństwa na wewnątrz, a pozwalają rozwinąć samodzielność osobistą i polityczną.

Nietylko jednak polityczna potęga państwa zawisła od ludności, jeszcze w większym stopniu wywiera ludność wpływ na stosunki ekonomiczne, a przez nie znowu oddziaływa na całe polityczne życie, na byt i znaczenie państwa. Zdrowie, zręczność i siła fizyczna, zdolności umysłowe, oszczędność i pracowitość są większymi podstawami ekonomicznego rozwoju państw, aniżeli bogactwa przyrody. Hojnie od natury wyposażone kraje mogą być zupełnie zaniedbane, nie rozwiną zasobów i skarbów posiadanych, jeżeli ludność gnuśna, lubiąca używać bez pracy i niedbała o przyszłość, jak to widzimy w krajach gorącego klimatu, gdzie nużąca temperatura zdaje się odbierać wszelką dzielność charakterem. To samo spotykamy i u narodów położonych w korzystniejszych warunkach klimatycznych, u których brak wytrwałości i pracy czyni próżnemi usiłowania około rozwoju i utrwalenia dobrobytu. Natomiast wytrwałość i energia pozwoliły Holendrom z trzęsawisk morskich uczynić przybytek bogactwa i swobody, dały Anglikom panowanie na morzu i nad znaczną częścią świata, Szwajcarom pozwalają z gór swoich uczynić wolną ojczyznę, budzącą zazdrość innych narodów.

Przykłady te wskazują jak przymioty ludności wywierają wpływ na rozwój publicznych stosunków. Państwa nie można brać abstrakcyjnie, w oderwaniu od warunków naturalnych, do jakich obok własności ziemi należą ludzie w skład państwa wchodzący. To też przymioty ludności stanowią o znaczeniu i potędze państwa i nadają temu zbiorowemu ciału stanowisko wśród innych narodów. Ten więc mąż stanu buduje trwałe podstawy szczęścia narodu, który opiera jego przyszłość na rozwoju sił moralnych i zdolności umysłowych ludności, przeciwnie przeszkadza temu rozwojowi, gdy schlebia przywarom i uprzedzeniom społeczeństwa.

Niema tak trudnego zadania politycznego, którego by nie można osiągnąć przy wytrwałej a roztropnej dążności do celu.

Skuteczność usiłowań zależy tu jak w każdym innym razie od przymiotów ludności. Najpierwej waży na szali zdolność do ode-
rwanego pojęć, gdyż przy ich pomocy wytwarzają się silne zasady
moralne, one stanowią pobudkę do szukania wyższych celów
życia, tak dla jednostki oddzielnej, jak dla jednostki zbiorowej.
Wytrwałość znowu daje konsekwencję w działaniu, stałość w prze-
ciwnościach i tę pewność siebie, jaką posiada każda stanowcza
chęć powzięta z silną wolą i postanowieniem. Roztropność wre-
szcie wskazuje środki zastosowane do sił i zasobów, uczy umiejęt-
nie korzystać z okoliczności, sił nie nadużywać, ale ich także
ostrożnie używać a nie marnować w gnuśnem niedołęstwie. Praca
więc w każdej chwili równie czynna, chociaż zawsze odmienna
względnie do położenia, praca mająca zawsze cel przed sobą
i oznaczony kierunek, oto co zapewnia powodzenie przeważnie
już w życiu jednostki, a tem pewniej w życiu narodu, którego
śmierć nie zaskoczy w pół drogi i który może zwolna gromadzić
podstawy przyszłego szczęścia i wielkości.

Siły moralne tam jednak istnieć mogą, gdzie są siły fizyczne,
a zdrowie ludności idzie zawsze w parze z potęgą jej ducha.
Upadło państwo rzymskie w skutek rozwolnienia obyczajów.
Osłabło znaczenie niegdyś zwycięskich mahometańskich ludów,
których rozmięczyło wielożęństwo i serajowe życie. Trwonienie
sił fizycznych jest trwonieniem zasobów państwowych a jak wła-
dza publiczna nie powinna obojętnie patrzeć na marnowanie na-
wet prywatnych fortun, jak taż władza czuje potrzebę zachęcania
do pracy i oszczędności, tak samo leży w interesie publicznym
staranie o zdrowie i siły fizyczne. Na nich polega w znacznej
mierze powodzenie wszelkich przedsięwzięć. Zdrowie daje ener-
gię, stanowczość i pewność siebie żołnierzowi; wytrwałość mo-
ralna w przeciwnościach czy prześladowaniach przeważnie polega
na przeświadczeniu o zasobach posiadanej siły do ich przetrwa-
nia, jak nieufność w siebie najczęściej pochodzi z braku istotnych
fizycznych podstaw życia.

Jeżeli przymioty moralne i fizyczne ludności stanowią pod-
stawę rozwoju i znaczenia państwa, a obowiązkiem mężów stanu
jest dążyć do wzmocnienia dodatnich a osłabienia ujemnych stron
natury ludzkiej; to naturalnie będzie ich zadaniem znać dokła-
dnie stosunki i usposobienie ludności. Tylko w takim razie można
budować na trwałej podstawie, jeżeli znamy stan ludności, jej

skład, zajęcia, stosunki społeczne, przekonania, prace, gdyż te wszystkie względy pozwalają oceniać środki politycznego działania. To też statystyka ludności badając te wszystkie szczegóły jest nauką nieodzowną dla ludzi czynu — nie stwarza ona wprawdzie idei, ale daje możność wprowadzenia w życie stworzonej. Jako nauka przyczyn i skutków w życiu ludzkim jest w polityce podstawą nauki o środkach, uczy statystyka znać to, czem człowiek objawia się na zewnątrz, oblicza wpływy na niego działające, przewiduje możliwe następstwa i sposoby ich unikania lub osiągnięcia. W ten sposób statystyka w polityce państwowej zachowuje znaczenie wprawdzie pierwszorzędne, ale zawsze tylko pomocnicze, nie zasadnicze.

Bez ludzi niema państwa, a chociaż ludzie sami państwa nie stanowią, to przecież państwa są takimi, jakimi są ludzie w ich skład wchodzący.

Józef Kleczyński.

PANI STAROŚCINA RAWSKA.

(Z ALBUMU PANI ***).

Złe kobiety od stworzenia świata odgrywały niemałą rolę w społeczeństwie, że wodziły częstokroć rej w sprawach, nie wchodzących w zakres właściwej im działalności, wiadomo każdemu, kto choćby najpowierzchniniej zna dzieje powszechne. Począwszy od zamierzchłych czasów starożytności, w żadnej epoce nie brakło między słabą płcią indywidualności niezwyklego umysłu, ba, krzepkiej nieraz dłoni, które zamiast pilnować kądzieli i domowego ogniska, pragnieniami i dążeniami swemi wybiegały daleko po za wskazaną kobiecie sferę, pewną i silną ręką dzierżyły ster państwa, dyktowały prawa potężnym narodom i dreszczem trwogi przejmowały nieprzyjaciół, które wreszcie na polu literatury, sztuki lub w jakikolwiek inny sposób rozślawiły swe imię, a nie wolne od ludzkich przywar i błędów, już to dodatnio, już też ujemnie upamiętniły się na kartach kronik. Na tle wszystkich wieków rysują się takie postacie, jak Judyty, Safony, Zenobie, Kleopatry, Joanny, Elżbiety, Marye, Izabelle, Katarzyny i niezliczone mnóstwo innych.

Ale nie ich pamięć pragnę uczcić w skromnym zakątku tej księgi, w której uprzejma właścicielka raczyła mi gościnności udzielić. Mam zamiar podać krótką wiadomość o kobiecie nie tak sławnej, jak tamte, nie tak znakomitą i wielką, lecz o tyle godniejszą naszej uwagi, że po żywocie wcale ciekawym i głośnym nietylko w pobliżu Rawy, lecz i w dalszych okolicach Rzpłtj, sława jej (o marności i znikomości rzeczy ludzkich!)

zamiast iść z pokolenia w pokolenie, utonęła w niepamięci piasku, i mnie dopiero — co sobie liczę za osobliwy zaszczyt i szczęście — danem było z jęj pięknego (jak przypuszczam) oblicza zdjąć wiekowy pył i ukazać je choć tylko w najogólniejszych konturach wszystkim tym, co niniejsze karty przeglądać zechcą.

Gdyby prawdą było, co mawiali starzy Rzymianie, że pociecha to dla nieszczęśliwych i zapomnianych, mieć towarzyszków niedoli, mogłaby sobie osłodzić swój los starościna, widząc jak mało szczęśliwszymi od nięj były w tęg mierze współczesne jęj damy, które na drabinie społecznej nierównie wyższe zajmowały miejsce a na bieg spraw publicznych czynnie wpływały, że tylko wymienię panią hetmanową Elż. z Lubomirskich Sieniawską, jedną z najniepospolitszych i najbardziej wpływowych kobiet w Polsce, a zaszczyconą tylko nielicznemi wzmiankami współczesników — albo mniej jeszcze znane panie: Rudzińską, kasztelanową czerską i Czapską, wojewodzinę malborską.

Czarna niewdzięczność względem tych znakomitych białogłów — mylne przekonanie, jakoby wpływ i rządy kobiet w Polsce datowały się głównie z drugiej połowy XVIII wieku, są naturalnem tylko następstwem nieznanomości tęg epoki; miejmy więc nadzieję, że im troskliwiej badać ją będziemy, tęg więcej ciekawych postaci kobiecych uda nam się wydrzeć zapomnieniu.

A teraz pomnąc na szczupłość ram albumu, wracajmy do naszej bohaterki. Co prawda nie wiele o nięj powiedzieć umiem; na szczęście to, co wiem, dostatecznie już charakteryzuje tęg panią. Nie znam wprawdzie jęj chrzestnego imienia, ale się pocieszam, że to nie wielka strata; wiem natomiast, jak się nazywała — wiem dalej (co jest rzeczą bez porównania ważniejszą), jakiego to była usposobienia i temperamentu osoba; wiem, że się z mężem rozwiodła i że jęj współcześni nadali miano „filozofki polskiej.“

Wiadomości powyższe czynią już z pani Rostworowskiej wcale interesującą figurę; z tych okruców przechowanych dotąd szczegółów możnaby złożyć dość wdzięczną sylwetkę, możnaby wtrącić zajmujący ustęp o stosunku filozoficzności w kobiecie do pożycia małżeńskiego i dać czytelnikowi niejaki wyobrażenie o stosunkach, wśród jakich rozstał się pan starosta z panią starościna, czego bym tęg nie omieszkiał uczynić, gdy bym pisał powieść a nie historię...

Nie wiem, kiedy się urodziła i kiedy umarła pani Rostowska, wiem przecież, że w dniu 28. lipca 1735 r. przebywała w Kamieńcu Podolskim, że zajmowała się żywo sprawami publicznymi, mianowicie zaś przebiegiem walki pomiędzy Leszczyńskim a Augustem III. Zapalona zwolenniczka i wielbicielka pierwszego, płonie ogniem świętego gniewu i oburzenia, słysząc o licznych nadużyciach i gwałtach Sasów. Pozwolę sobie przytoczyć kilka wyjątków z jęj listu, bo niczem nie potrafiłbym scharakteryzować tak trafnie pani starościny, jak jęj własnymi słowy, w których jak w zwierciadle przebija się śmiały, energiczny, prawdziwie męski charakter tęg kobiety.

Rozpoczyna się list wyrazem zaprawnego gorzkim szyderstwem żalu nad oplakanyin stanem nieszczęśliwego kraju. „Utrapienia naszego — czytamy w nim — ani wymówić, ani wypisać niepodobna. Moskwa dotąd ciężkie wybiera prowianty; polskie chorągwie tu okolicznie pogłównie za cztery raty razem egzekwują, jakby nieprzyjacielskie wojska pokonawszy, laurami zwyciężskimi uwieńczeni, męztwem i odwagą to królestwo od insultów zasłoniwszy, z dostatków i obfitości swojej tęg przyszli szukać konsolacyi i nagrody.“ Zuchwałość żołnierza w obec zrujnowanych wojną mieszkańców wydobywa z gorącego serca starościny okrzyk indygnacyi, przybrany jednak w szatę coraz częstszęj odtąd w Polsce francuzczyzny: *Quelle effronterie après une honteuse défaite, causée par leur lache poltronerie, venir encore nous braver et augmenter la calamité publique! Voilà des généreux exploits de nos soldats!*

A całe nieszczęście, wszystkie obecne klęski, spłynęły na kraj głównie przez plemię niewdzięcznych Germanów, przez Sasów; na nich zatem niech spada kara. „*Helas!* czyliż tacy byli Polacy, gdy im Polak panował; zginęliby byli Niemcy dawno i nosiliby u poganów jarzmo (przypomnienie wiedeńskiej potrzeby), które teraz przyszli kłaść na karki swoim liberatorom — bo taka to niemiecka wdzięczność.“ Mniejsza już o materyalne straty i ciosy; „to najcięższa, że tyranizują sumnienia ludzkie, Boga samego z serc im wydzierając i przymuszając na stronę swoje.“

Z dalszych wynurzeń pani starościny widać, że gdy mężczyznom z ogniem „remonstrowała ten bezecny proceder,“ gdy lubo kobieta, żywięj jednak od nich czując, wzywała ich, aby nie cierpieli dłużej sromotnej niewoli, lecz raczęg wszystko

poświęcili, aby tylko skruszyć ciężkie jarzmo obcej przemocy, odpowiadano jej małoduszną wymówką, świadczącą, jak dalece owczesne pokolenie zniewieściało i wyrodziło się od przodków: „alboż to o wiarę idzie, aby się dać zabijać, niszczyć, rujnować?” „Ale ja odpowiadam — prawi dalej z właściwą sobie siłą — zapewne nie inaczej, idzie o wiarę; niech szukają jakich chcą, nadętych ambicyą i interesem pseudo-teologów, nie wyglądzają wykrętne ich racye tego, co Bóg zakazał, i co na sercu każdego wyrysował.” Aluzya do „pseudo-teologów” dotyka kilku biskupów stojących po saskiej stronie, a mianowicie krakowskiego, Lipskiego. „Miły Boże! — woła autorka, obruszona niegodnym postępowaniem tych, co sobie za nie ważyli przysięgę złożoną królowi Stanisławowi — człowiek człowiekowi dawszy słowo, dotrzymać go powinien, a nowa nauka nowych apostołów Bogu go dotrzymać nie każe, i o to dręczą, jakby żart czynić z Boga godziło się!”

Gniewa i oburza starościnną apatya mężkiej płci w Polsce, której świętym obowiązkiem jest bronić ojczyzny przeciw najazdowi; sama daje do poznania, że innąby była, gdyby się urodziła mężczyzną. „Dziwię się — mówi — tym, którzy mogąc temu zabieżeć, nie chcą przynajmniej powiedzieć, że się gwałt dzieje, i że na obrady pod nieprzyjacielskim orężem nie pozwalają.” Nie wszyscy wprawdzie są źli, ale pozbawieni cywilnej odwagi, nie śmieją jawnie wystąpić. „Jest tu jeszcze garstka ludzi, co do tego przekłętą Babilonu ni prośbą, ni groźbą przeciągnąć się nie dają, ale cóż, cicho siedząc, zdają się aprobować ich *consilia*, bo kto milczy — pozwala.”

Tu się niestety urywa list, a zarazem jedyne niemal źródło, z którego czerpaliśmy materyał do niniejszego urywku *. Co się z nią stało później i czy jeszcze raz wstąpiła w progi Hymenu — czy wytrwała do końca w swęj sympatyi do Leszczyńskiego i

* Przypisek dla poważnych molów bibliotecznych i uczonych komputerek, niemniej dla wszystkich tych, co by mnie o podrabianie dokumentów i fingowanie postaci historycznych posądzać chcieli: kopia zacytowanego powyżej listu wraz z komentarzem przepisywacza znajduje się w przeszowiecznym rękopiśmie Biblioteki Jagiellońskiej, nr. 104. Niesiecki wymienia jako współczesną sobie, bez podania jednak bliżej daty i imienia, Rostworowską, która wyszła najprzód za Godlewskiego, później zaś za Józefa Żałuskiego, starostę rawskiego, „ale się to małżeństwo rozeszło”; zowie ją panią pobożną i mądrą. Nie sądzimy, aby to była nasza „filozofka”, boby jej współcześni po rozwodzie z drugim już mężem, nie byli nadawali panińskiego nazwiska.

w nienawiści do Sasów — czy dalej uczestniczyła w sprawach publicznych, czy też wyrzekłszy się polityki, powróciła do zajęć, odpowiedniejszych dla kobiety, (co nie bardzo do prawdy podobne), to wszystko nieprzeniknioną mgłą tajemnicy pokryte. Żywimy jednak, oby niepłonną, nadzieję, że przyszłość, ta pełna tajemnic piastuna wielkich odkryć i zdobyczy w świecie nauki, i dla pani Rostworowskiej nie będzie macochą, że nagradzając jej poprzednie zapomnienie, dostarczy nam nowych wiadomości, aby je kiedyś jako *postscriptum* można było wciągnąć do sztambucha. Mogłoby to nastąpić, gdyby jeden z tych szlachciców epoki saskiej, co to wedle przysłowia jedli, pili i popuszczali pasa, powstał z grobu i zagrzany do opowiadania węgrzynem, rozgadał się o „filozofce polskiej“; albo — że się odwołamy do bardziej ziemskiego przypuszczenia — gdyby sama bohaterka nasza, pragnąc chwałę swego imienia przekazać potomności, u schyłku dni swoich napisała była pamiętnik, kryjący się może w ręku którego z potomków, jeśli miała potomków...

Tą pełną otuchy hipotezą kończę niniejszą fraszkę, przepraszając za nadużycie cierpliwości szanowną właścicielkę tej książki, jak niemniej łaskawych ciekawych nieznajomych, którzy kiedykolwiek słowa powyższe czytać będą.

Klemens Kantecki.

BRAVISSIMO!

Posłuchaj: ryzykowałem;
I tak mi na wszystkie strony
Wiodło się w szczęściu zuchwałem,
Żem w rok zarobił miliony...

Bravissimo! szedłeś śmiało,
To też ci się i udało.
Odwaga — rzecz znakomita!
Jasiu! masz rozum i kwita.

Poczekaj, daj skończyć bracie,
To był początek — a dalej,
Strata mnie biła po stracie,
I wszystko dyabli porwali.

Najumiżenięj dziękuję!
Kto to dzisiaj ryzykuje?
Na takim zawsze się skrupi.
Jasiu! wiesz co — jesteś głupi.

M. Rodóć.

O TEMPERAMENTACH.

Mikołaj Rej w dziele swém „Żywot poczciwego człowieka“ podaje wyborną charakterystykę czterech znanych temperamentów. Powiada on: „pospolicie w pijanym najrychlej to poznać bywa (jakiego kto jest usposobienia). Bo koleryk wnet chce być hetmanem, a choć nic nie masz, przedsię się sobie panem zda. Krewnik zasię wesół, skacze, miłuje, ściska, dałby bardzo rad każdemu, by jedno co miał. Melankolik zasię lamentuje, wszystko mu niewczas, wszystko się mu krzywdą widzi. A flegmatyk zasię chrapie, a na brzuch pluje, a przedsię i omacnie kufła podle siebie maca.“

Charakterystyka ta, nakreślona podług wzoru, jaki zostawił w swych dziełach sławny Galen, wiernie przedstawia indywidualne różnice, napotymane w pojedynczych ludziach pod względem ich przyrodzonych usposobień. Dla tego téż przechowała się ona do naszych czasów w nieskażonej postaci, przetrwawszy wszystkie zmiany, przekształcenia, jakim uległa Galenowska doktryna o temperamentach w innych swych częściach, w tych mianowicie, w których usiłuje cechy pojedynczych temperamentów oprzeć na różnicach fizycznej organizacyi. Wszystkie te bowiem indywidualne różnice, które obejmujemy wyrazem temperament, będąc różnicami przyrodzonymi, usposobieniem wrodzonym, nie zaś nabytym, muszą mieć swe źródło we właściwościach cielesnej organizacyi. Tém właśnie różnią się one od innych właściwości indywidualnych, które wytwarzają się w dalszym ciągu życia

pod wpływem wychowania, codziennego zajęcia i różnorodnych przygód, pośrednio lub bezpośrednio działających na człowieka i nadających pewien stanowczy kierunek wszystkim jego umysłowym czynnościom. A jakkolwiek te ostatnie zależą do pewnego stopnia od pierwszych tak w swym rozwoju, jak i w ustaleniu się, mając je za podkład naturalny, za grunt, w którym zapuszczają swe korzenie; nie mniej różnią się od nich tém, że we wszystkich fazach swego ukształtowania się są one raczej dziełem samego człowieka, dziełem jego woli i rozumu, niż natury działającej bezwiednie mocą tkwiących w niej pierwiastków. Różnice indywidualne nabyte różnią się jeszcze i tém od przyrodzonych, że są mniejszego zakresu, że zamykają się wyłącznie w sferze spraw psychicznych, stanowiąc charakterystykę uczuć, myśli i woli człowieka; gdy tymczasem różnice przyrodzone, będąc własnościami spraw fizyologicznych, takich, jak czynność odżywiania, działalność nerwowego systemu, wyciskają swe piętno i na wszystkich sprawach umysłowego życia, nadając pewien, że tak powiem, ton uczuciom, myślom i popędowi człowieka. Różnice czysto psychicznej natury, polegające bardziej na jakości, niż ilości, która znowu stanowi cechę różnic temperamentu — będąc treścią tego, co nazywamy zwykle charakterem, tłumaczą się jak najdokładniej warunkami życia, zewnętrznymi wpływami, pod jakimi człowiek urabiał się, kształcił swe uczucia, rozwijał myśl i wyrabiał w sobie moc panowania nad sobą.

Zupełnie inaczej ma się rzecz z różnicami, które stanowią podstawę temperamentów. Genezy ich nie wytłumaczają żadne wpływy zewnętrzne, żadne przygody życia. Przyczyny ich potrzeba szukać w samychże warunkach cielesnej organizacyi. Z zadania tego jasno zdawał sobie sprawę Galen, twórca teoryi o temperamentach; medycyna atoli za jego czasów znajdowała się w takim stanie, że o należytem rozwiązaniu tego zadania mowy nawet być nie mogło. Panowała w niej wtedy Empedoklesowa doktryna o czterech żywiołach, którą przyjął Hippokrates i uświęcił ją swą powagą. To też Galen, dla wytłumaczenia typowych różnic, do jakich dadzą się sprowadzić wszystkie odmiany temperamentów, napotykanne w pojedynczych ludziach, uciekł się do owych czterech żywiołów, które u niego występują w postaci soków, zawartych w ciele ludzkim. Są niemi: krew, flegma, żółć, czyli cholera i melancholia. Późniejszy postęp nauki wyka-

zał, że tak flegma jak i melancholia są czystém urojeniem, że żółć, jakkolwiek się znajduje w organizmie, to tylko, jako wydzielina, i działanie jęj na organizm nie zdoła wywołać takich następstw, jakie są przypuszczane w Galenowskiej charakterystyce żółciowego temperamentu. Ze wszystkich więc płynów, jakie Galen przypuszczał w ciele ludzkim, pozostaje sama krew tylko, która jest istotną przyczyną usposobienia, zwanego sangwinicznym. Gdzież szukać źródła innych temperamentów? W tym kierunku przedsiębrane były liczne badania przez takich uczonych, jak Stahl, Haller, Cabanis i wielu innych, którzy do różnych dochodzili wypadków, nie mogąc się zgodzić ani na to, co należy uważać za przyczynę temperamentów, ani na to, ile ma być głównych ich rodzajów.

W tym stanie, w jakim teoria temperamentów dzisiaj się przedstawia, znajduje się w niej tyle niepewności, tyle sprzecznych mniemań i twierdzeń, najczęściej dowolnych, że wielu uczonych, nie umiając sobie z nią dać rady, wręcz ją odrzuca i odmawia wyrazowi temperament wszelkiego znaczenia, albo, idąc za ogółem, ortodoksalnie posługują się doktryną Galenowską co do charakterystyki temperamentów, wcale się nie troszcząc o naukowe jęj uzasadnienie i bacząc tylko na praktyczną jęj wartość.

Z tęp wszystkím, rozpatrzywszy się pilniej we wszystkich tych sprzecznych wywodach, twierdzeniach i rozumowaniach, któremi każdy z pracujących w tym kierunku uczonych stara się uzasadnić swe mniemanie — nie trudno dostrzedz pewnych wskazówek, które muszą się uważać za wytyczne punkty dla dalszych badań. Przeważnie starają się dziś opierać różnice temperamentów na różnicach, jakie zachodzą w pojedynczych ludziach pod względem wzajemnego do siebie stosunku trzech głównych układów organicznego życia: krwionośnego, limfatycznego i nerwowego. Anatomia uczy nas, że trzy te układy nie u wszystkich w jednakięj mierze są rozwinięte; a następnie fizjologia i patologia wykazują, że organizmy, w których system krwionośny i limfatyczny znajduje się w stanie prawidłowym, odznaczają się zdrowiem i wesołym usposobieniem; przeciwnie organizmy, w których limfatyczne naczynia słabo są rozwinięte, noszą na sobie wszystkie te cechy, jakie Galen przypisuje temperamentowi flegmatycznemu. Jakoż pod względem uzasadnienia dwóch tych temperamentów — sangwinicznego i limfatycznego — prawie

zupełna panuje zgoda między dzisiejszymi uczonymi. Przedmiotem sporów są głównie temperamenty żółciowy i melancholijny.

Gdy jedni uważają je za dwa oddzielne temperamenty, to inni widzą w nich tylko odmiany jednego i tego samego; gdy jedni tłumaczą je pewnemi zboczeniami w sprawach żołądkowych, inni szukają ich przyczyny w nerwowym systemie. Nie wchodząc w rozstrzyganie tak zawilędz kwestyi, pozwalam sobie zwrócić uwagę na to tylko, że rozumowania tych, którzy usposobienie żółciowe i melancholijne opierają na właściwościach nerwowego systemu, dają się do pewnego stopnia pogodzić z argumentami, jakie przytaczają na swą obronę ci, co w nich upatrują następstwa zboczeń w czynnościach żołądka i wątroby. Widoczném jest, że w usposobieniu tak żółciowém, jak i melancholijném, główną odgrywa rolę system nerwowy, z tą różnicą, że gdy w jednym uwydatnia się silna reakcja na zewnętrzne bodźce, energia niespożyta; to w drugim — więcej bierne poddawanie się pod zewnętrzne wpływy, zupełny prawie brak oddziaływania na nie. Oba te zatem temperamenty należy uważać za odmiany jednego — temperamentu nerwowego, którego główną cechą stanowi siła moralna, energia woli lub uczucia. Temperament ten będąc bezpośredniem następstwem przewagi nerwowego układu nad krwionośnym i limfatycznym, bardzo często łączy się z pewnemi zboczeniami w żołądkowych sprawach, wynikającemi stąd, że absorbująca żywotne siły działalność nerwowa utrudnia odżywianie się organizmu, zamąca prawidłowy bieg fizyologicznych funkcji, które oddziaływając ze swjej strony na nerwowy układ, stają się powodem owęj zgryźliwości, jaka cechuje żółciowe usposobienie. Usposobienia więc tego, które jest prostą tylko przypadłością nerwowego temperamentu, za temperament osobny brać nie można, co najwięcej można go uważać za to, co zwykle nazywają idiosynkrazją, czyli usposobieniem opartem na zboczeniach częściowych organicznego układu, albo na nieprawidłowém działaniu pojedynczego organu. Takie same stanowisko przyznają także i usposobieniu melancholijnemu, który jest tylko szczególnym objawem temperamentu nerwowego. Sławny niemiecki anatom, Henle, tłumaczy melancholijne usposobienie tém, że w odznaczających się niém jednostkach układ nerwowy dotknięty jest nierównomiernym rozwojem wrażliwości w nerwach czuciowych, i pobudzalności w nerwach ruchowych. Skutkiem nadzwyczajnej

wrażliwości nerwów czuciowych nagromadza się w ośrodkach nerwowych, przede wszystkim w mózgu, ogromny zasób wyzwolonej siły, która pozostaje w organizmie nieużyta z powodu małej pobudliwości nerwów ruchowych; siła ta, niespotrzebowana na dowolne ruchy, wywierać ma na umysłowe sprawy wpływ, który się wypowiada owém usposobieniem, jakie znaném jest powszechnie pod imieniem melancholii. Jestto tłómaczenie, które bardzo wiele ma za sobą, a przede wszystkim to, że ze wszystkich, jakie dotąd były, jest najlepszem.

Na zakończenie dodać wypada, że żaden z temperamentów nie przesądza o władzach umysłowych. Geniusz tak dobrze może mieć swe siedzisko w organizmie, dotkniętym temperamentem limfatycznym, który nie bez pewnej słuszności zaliczają niektórzy do patologicznych objawów, jak i w organizmie, obdarzonym temperamentem nerwowym. A następnie, że jakkolwiek nauka ustanawia kilka głównych i podrzędnych typów temperamentu, nie znaczy to, jakoby te typy mogły się znajdować w rzeczywistości, jakoby byli ludzie, których by uważać należało za ich dokładne wcielenie. Typy te są dziełem abstrakcyi, są klasyfikacją pokrewnych sobie cech, które, chociaż znajdują się istotnie w pojedynczych ludziach i są przeto rzeczą konkretną; ale w każdym z nich znajdują się w połączeniu z innymi cechami, nie zostającami z poprzednimi w bezpośrednim stosunku. W rzeczywistości nie masz temperamentów, któreby ściśle odpowiadały ustanowionym przez naukę wzorom, gdyż każdy człowiek, chociaż w głównych cechach swojego usposobienia należy do jednego jakiegoś temperamentu, w cechach podrzędnych należy zarazem i do innych. Słowem, w rzeczywistości są tylko temperamenty mieszane. Człowiek, który posiada silnie rozwinięty system nerwowy w połączeniu ze słabo rozwiniętym i nieczynnym systemem limfatycznych naczyń, będzie miał temperament limfatyczno-nerwowy; ten zaś, kto jest obdarzony dzielnym systemem nerwowym i dobrze rozwiniętym układem krwionośnym, będzie się odznaczał temperamentem sangwiniczno-nerwowym i t. d. Istotną cechą właściwości, które składają się na wytworzenie temperamentów, stanowią, jak to już nadmienilem, nie jakościowe różnice, dotyczące natury uczuć, myśli i woli, ale ilościowe, t. j. takie, które oznaczają stopień ich żywości, energii. Różnice te, cechujące zarówno sprawy fizyologiczne i umysłowe, pochodzą głównie stąd,

że w skutek przewagi jednego z trzech układów organicznych, przemiana materji w organizmie dokonywa się z mniejszą lub większą siłą i żywością, że w jednym razie sprawa odżywiania się skierowana jest do tkanek mięsnych i tłuszczowych, w innym znowu do tkanki nerwowej. Sangwiniczne usposobienie odznacza się żywością i zmiennością, limfatyczne — powolnością i obojętnością, nerwowe — energią i gwałtownością, melancholijne głębokością i słabą na zewnątrz odpornością.

Władysław Kozłowski.

S Z A C H Y.

Pewnego razu, gdy na szachownicy,
W bojowym szyku dzielni wojownicy
Stali, czekając swoich wodzów znaku,
By przeciw sobie ruszyć do ataku,
W czarnych szeregach powstał niespodzianie
Szmer, zgiełk i wrzawa, wreszcie zamieszanie.
Darmo wodzowie do ładu wzywają,
Daremnie krzyczą, płazują, latają,
Wszystko napróżno — wśród czarnych rycerzy
Hałas się wzmaga, zgiełk się coraz szerzy.
Aż Król nareszcie nad planem uśpiony,
Niemylą wrzaskiem został przebudzony,
I grzmiącym głosem zapytać się raczy:
„Cóż, u stu dyabłów! cóż to znowu znaczy?“
Na to pion stary, przed królem na straży,
W tych śmiałych słowach odezwać się waży:
„Jeśli chcesz wiedzieć, Najjaśniejszy panie,
Co znaczy twego narodu szemranie,
To, że dość długo po tej szachownicy
Ślepo chodzimy jakby niewolnicy,
Jak kroczą tylko w powiciu narody,
Bez głosu w rządzie, ni ruchów swobody,
Wolnych wyborów, ni wolności prasy.
Inne nastały, inne dzisiaj czasy,
Nowym pragniemy odtąd chodzić torem,
Dla potomności stać się chlubnym wzorem;
Niechaj nie rządzi nami jedna kasta,
Nil sine nobis de nobis i basta.“

Gdy tak przemówił dość ostro i sucho,
Król chrząknął, splunął, poskrobał się w ucho,
Lecz że był dobrym, spokojnym człowiekiem,
Rzekł: „Mniejsza o to, idźmy z naszym wiekiem.“

Zaledwie wieść ta w obozie gruchnęła,
Szalona radość piony ogarnęła;
Wnet się złamały już splątane szyki,
Nuż płasać, skakać, wydawać okrzyki;
Ten jak Koń skacze, ów jak Błazen leci,
Poważną Wieżę udaje znów trzeci,
Kręci się cały ten zastęp szczęśliwy;
A że szal każdy zawsze zaraźliwy,
Więc sobie szaleć starszyzna zaczęła:
Błaznów przez pola skakać chętka wzięła,
Konik długimi sunął szlichtadami,
Wieżę stanęły do góry nogami.
Królowa widząc, że Król po oddaniu
Rządów, coś myśli znowu o chrapaniu,
Wdzięcznym uśmiechem przywabia Konika
I gdzieś za Wieżę z nim cichaczem znika.

Tymczasem w szyku zwartym, w jakim stali,
Naprzód w porządku postępują biali;
Skoro się czarny szalenięc nawinie,
Wzięty w niewolę, lub na placu ginie.
Aż wreszcie któryś z nich tchórzem podszyty,
Jak krzyknie: „Zdrada!“ — bity czy nie bity
Každy ucieka, nogi za pas bierze,
Pokąd ich grube nie wstrzymały Wieże;
Inaczej ery nowęj zwolennicy
Byliby zrazu pierzchli z szachownicy;
Wszakże gdy z strachu nieco ochłonęli,
Razem jak jeden rozprawiać zaczęli:
Ten radzi protest, tamten barykady...
Cudne tam były i rady i swady;
Každy się chwali, jak dzielnie był czynny,
Zaś klęsce całej jedynie Król winny.
Więc wszyscy wrzeszczą: „Precz z królem do kata!
Sto dyabłów zjedzą, co dadzą nam mata!“

I tak się stało, przy Boskiej pomocy,
Biedny Królisko wyleciał jak z procy;
By zaś Ojczyznę dzielnym dźwignąć ruchem,
Rzeczpospolitą obwołano duchem.
Każdy, co służyć krajowi jest skory,
Łapczywie chwyta urzęda, honory,
Nie szczędzi intryg, przekupstwa, mitregi,
Byle się dostał do szczytu potęgi;
Każdy jest gotów, chociażby ze wstrętem,
Dla dobra kraju zostać prezydentem.
Nie jeden k'temu ciche zwraca modły...
Lecz nie jednego nadzieje zawiodły:
Na zgromadzeniu walném i zaciętém —
Z urny wyskoczył Błazen prezydentem.
Nim ogłosili ten wybór pachołki,
Już drugi Błazen pod nim kopał dołki.

Gdy nad zbawieniem Ojczyzny tak radzą,
Wściekle się szarpią i gryzą nad władzą,
Adjutant leci i Radzie melduje,
Że nieprzyjaciół naprzód postępuje.
Cicho jak mak siał... Wnet umilkły krzyki,
Poblądły twarze, skostniały języki,
Jak żona Lota — chwilę skamieniali,
Nie długo jednak dygnitarze stali.
Im bardziej który był w mowie zawzięty,
Tém szybciej teraz pokazuje pięty;
Wraz z prezydentem pędzą w różne strony,
By w kątach szukać skutecznej obrony,
Byle gdzieś znaleźć bezpieczne ukrycie,
I dla Ojczyzny zachować swe życie.
Lecz nieprzyjaciół zewsząd ich otoczył,
Potém bez strzału do obozu wkroczył,
I gdy morduje, rąbie, kłuje, płąta,
Ostatni jęknął: „Przecie nie dał mata!”

J. Ał. Fredro.

AFORYZMY DZIENNIKARSKIE.

Gdzie nie ma opinii publicznej, tam nie ma dziennikarstwa.
Opinia publiczna może jednak istnieć tylko w tych krajach, gdzie, jeżeli nie cała ludność, to przynajmniej liczne jej warstwy myślą o sprawach ogólnych.

Gdzie przeto liczne warstwy ludności nie myślą o sprawach ogólnych, tam nie istnieje opinia publiczna, t. j. nie istnieje sąd powszechny o bieżących sprawach — i tam też dziennikarstwo istnieć nie może.

Do istnienia swojego potrzebuje więc dziennikarstwo publiczności, której wolno, która chce i która umie sądzić samodzielnie o bieżących wypadkach; dziennikarstwo streszcza poglądy i uczucia swojego koła czytelników, zapisuje ono wszystko, co czytelników jego w jakikolwiekby sposób zająć może.

Więc jest dziennikarstwo w zupełności zależnem od opinii publicznej. Dzienniki nie tworzą opinii publicznej, lecz ona jest matką i żywicielką dziennikarstwa.

Pismo poważne zbankrutuje przeto tam, gdzie publiczność tylko lekkie pożywienie umysłowe strawić może; pisma zaś wójujące frazesami, goniące za jaskrawościami, nie będą czytane w kołach, przyzwyczajonych do samodzielnych i głębszych sądów, do poglądów szerokich, do formy wytwornej. Jaką więc jest publiczność, takie posiada ona dziennikarstwo. Liche dziennikarstwo źle świadczy o czytelnikach jego. Społeczeństwo jest odpowiedzialnem za dziennikarstwo swoje.

Spółeczeństwo odpowiada jednak tylko za całe dziennikarstwo, nie za pojedyncze pisma. Każdy dziennik z osobna jest bowiem wyrazem wartości umysłowej swojego koła czytelników. Więc czém większa rozmaitość i rozległość pojęć panuje w którymś społeczeństwie, w tém różnorodniejszych kierunkach będzie się rozwijało dziennikarstwo jego.

Celem jest dziennikarstwa dostarczać czytelnikom codziennęj strawy umysłowej. Więc każdy z czytelników dobiera sobie to, co mu najlepiej smakuje. Powodzenie przedsiębiorstwa dziennikarskiego zależy przeto od tego, ażeby dziennik jak najlepiej trafić umiał w gust tego koła czytelników, dla którego jest przeznaczony. To prawidło stanowi warunek bytu materialnego dla każdego dziennika z osobna.

Pojedyncze dzienniki są zależne od ogólnych prawideł konkurencyi, gdyż w miarę tego, o ile który z nich wierniej i zrzętniej dogadzać umie gustowi i poglądom publiczności, w miarę tego, o ile które z czasopism potrafi stać się organem panujących warstw ludności, o tyle będzie się powiększała jego wziętość i wpływ, o tyle będzie mu przybywało czytelników. Skoro zaś redakcyja albo sprzeniewierzy się intencyom swoich czytelników, albo też sprzeniewierzy się smakowi ich, powstaje inne przedsiębiorstwo, które ją wypiera z dawnego stanowiska wpływowego.

Suma zaś, czyli ogół dziennikarstwa pewnego kraju, nie da się jednak powodować wpływami konkurencyi. Ono musi być niezmiennie takim, jakim jest ogół społeczeństwa.

Dziennikarstwo nie kształci społeczeństwa, tylko przeciwnie społeczność sama doskonali lub psuje publicystykę. Gdy bowiem dla dziennikarstwa jest to prawem bytu, być wiernym wyrazem usposobień i dążeń swojego społeczeństwa, więc też będzie się ono przetwarzało krok za krokiem, z dnia na dzień, niewidocznie i niemal bezświadcem w miarę, o ile będą ulegały zmianie poglądy i przekonania społeczeństwa, w pośród którego ono istnieje.

Jak zawsze bywało, tak i dziś historia jest nauczycielką ludów. Dzienniki zaś historii nie robią, więc też nie należy ich poczytywać za nauczycieli narodów. Jak ludzie pojedynczy, tak i narody całe kształcą się doświadczeniem życia rzeczywistego, logiką wypadków dokonanych. Dzienniki zapisują tylko historję, rejestrują zmienne dzieje dnia i chwili. Sądy ich o przesuwających się wypadkach, są same dla siebie także faktami, lecz dla

historyka pewnego okresu dziejowego nie mogą one innéj mieć wartości, jak tylko jako jeden z licznych objawów ducha czasu.

Sądy dzienników o bieżących wypadkach zawdzięczają swoje znaczenie tylko poparciu, na jakie liczyć mogą w narodzie. Same przez się są one tylko wyrazem opinii piszących, i jako takie, równą mają doniosłość, jak zdania jednostek w jakikolwiekby sposób publicznie objawione, np. w przemówieniu na zgromadzeniach, aluzyą, wykrzykiem, strojem i t. d., to jest, że doniosłość opinii dziennika stoi w prostym stosunku do liczby i znaczenia tych osobistości, co do których można przypuszczać, iż ze zdaniem tém zsolidaryzują się. Paradoksalne zdanie najbardziej wpływowego dziennika przebrzmi bez echa, równie jak oderwany okrzyk ulicznika; jak znowu tam, gdzie dziennikarstwo wypowiada wiernie przekonania ogółu, zdanie jego stanowi istotnie potęgę nieprzeciętną. Lecz punkt ciężkości téj siły jego nie w niem samém spoczywa, lecz w masie, która za dziennikami stoi.

Mylném jest przeto i niewłaściwém brać dziennik jako instytucję. Nawet przy najściślejszej organizacyi redakcyjnej, indywidualność piszących nie zatrze się w dzienniku. Jeżeli jednak dziennikarz przyzwyczai się osłaniać to co pisze charakterem i dążnościami „dziennika“ (niby jako odrębnego indywiduum), to z czasem wyzuje się on ze swojego osobistego charakteru. Dzienniki zaś, redagowane przez ludzi bez charakteru, także muszą utracić charakter swój, t. j. przestaną liczyć się z zasadami.

Dlatego to bezimiennosc najbardziej demoralizująco wpływa na dziennikarstwo. Bezimiennosc dozwala bowiem kłamać uczucia i przekonania, których się nie podziela, dozwala uderzać pokrywom na przeciwnika, któremu nie śmiałoby się spojrzeć oko w oko, chroniąc piszącego od osobistej odpowiedzialności, kusi ona go do kompromisów z pojęciami, do których otwarcie przyznać się nie miałby odwagi. Jeżeli otwarte wystąpienia publiczne nadają czasem czyjemuś nazwisko niezasłużonego rozgłosu, to na to tylko, ażeby narazić go następnie na tém bezwzględniejszą krytykę — i ta właśnie okoliczność najbardziej odstrasza lękliwsze charaktery od otwartego udziału w dziennikarstwie. Odpowiedzialność osobista piszącego jest najlepszym dla niego bodźcem do roztropnego miarkowania się w sądach swoich, do staranności pod względem treści i formy artykułów, gdyż wszelkie zaniedbanie się — tak pod względem moralnym

jak i ze stanowiska literackiego — pociąga w takim razie dla niego bezpośrednio nader dotkliwe następstwa.

O ile przeto bezmiennność demoralizuje dziennikarstwo, o tyle odpowiedzialność piszących wobec czytelników stanowi najpewniejsze palladium godności i wewnętrznej wartości dziennikarstwa.

Spółczeństwo, które z bieżących dziejów niczego uczyć się nie chce i niczego nie zapomina, zły grunt stanowi dla rozwoju dziennikarstwa. W takim kraju publicystyka musi biedować moralnie i materyalnie.

Przeciwnie zaś, gdzie wartkim prądem życie publiczne płynie, gdzie każda myśl, każda sprawa ważniejsza, w milionach serc echem się odbija i miliony głów do myślenia pobudza, tam dziennikarstwo rozrasta się i kwitnie.

Dzienniki i dziennikarze mijają się i giną w zapomnieniu, jak wrażenia muzyki lub oratorstwa, jak ministrowie, jak trybunowie ludu, albo wreszcie jak moda, lub jak — dekoracye teatralne. Pozostaje jednak publicystyka jako jeden z potężnych objawów życia społecznego narodów cywilizowanych — pozostaje dziennikarstwo w każdej chwili takie, jakim jest jego społeczeństwo. Więc naród poruszony ideami szlachetnymi i rozumnymi, przechodzi do porządku dziennego nad płytkiem i banalnem dziennikarstwem, a społeczność leniwa w myśleniu, lichem téż musi zadawałać się dziennikarstwem — tak długo, dokąd nie ocuci się z zastoju umysłowego...

Teofil Merunowicz.

CZEGO CHEMII POTRZEBA?

(U R Y W E K).

Celem chemii umiejętniej jest poznanie praw ruchu chemicznego czyli tak zwanego powinowactwa chemicznego. Zadanie to jest bardzo zawiłym i trudnym do rozwiązania, raz dla tego, że ruch ten właściwym jest najmniejszym cząstkom materialnym niedostępnym dla naszych zmysłów, powtóre, że dla objawu swego potrzebuje równoczesnego działania co najmniej dwóch takich cząstek czyli atomów, a nareszcie że na rezultat otrzymany wpływają w wysokiej mierze różne warunki fizycznej natury. To jest powodem, że chemia umiejętna jest jeszcze daleką od chwili, w której z całą świadomością przystąpi do rozwiązania głównego swego zadania. To co dotychczas w tym kierunku zrobiono, jest tylko usiłowaniem, usiłowaniem bezowocnym. Berzeliusz sądził, że zadanie chemii znacznie się uprości, skoro zidentyfikujemy ruch chemiczny z elektrycznością. Hypoteza ta, ujęta przez Berzeliusza w ściśle zorganizowany system elektrochemiczny, zyskała początkowo licznych zwolenników, lubo istota elektryczności była równie nieznana jak i istota powinowactwa chemicznego. Zawsze jednak wydawało się to wielką wygraną, że dwa zagadnienia sprowadzono do jednego i że przeto odtąd zarówno fizycy jak i chemicy wspólnie pracować będą nad jego rozwiązaniem. Żłudzenie to jednak wkrótce zniknęło. Jeszcze za życia Berzeliusza, układ elektrochemiczny i oparty na nim dualizm doznał silnej porażki ze strony teorii podstawień i

wypływającej z niej teorii typów, coraz więcej bowiem mnożyły się fakta, których elektrochemia ani przewidzieć, ani też wytłumaczyć nie mogła. Pod ciosami tych faktów gmach Berzeliusza runął, i dziś, pomimo próby Blomstranda wskrzeszenia go pod odświeżoną formą nikt się nie łudzi, owszem, każdy żywi to przekonanie, że co innego jest elektryczność a co innego powinowactwo chemiczne, chociaż te dwa rodzaje ruchu częstokroć sobie towarzyszą i wzajem w siebie przekształcać się mogą.

Usunięcie na boczny plan systemu tak dokładnie wykończonego, jakim był dualizm i podpierająca go elektrochemia, spowodowało chwilowe zamieszanie w systematyce i w kierunku badań chemicznych. Stało się jednak tutaj toż samo, co zwykle się dzieje w podobnych razach: chemicy przestawszy oglądać się na pomoc fizyki, zwrócili się tém skwapliwiej do dokładniejszego poznania zjawisk chemicznych, słusznie mniemając, że one same zdolają dostarczyć punktu oparcia dla teoretycznych poglądów. Taki punkt oparcia znaleziono w teorii typów, z której się następnie wyłoniła doktryna o wartościowości atomów. Nowy ten kierunek okazał się w następstwach nadzwyczajnie płodnym — a lubo ci, którzy zdala tylko śledzą postępy nowoczesnej chemii, niekiedy z ironiczném zdziwieniem zapytują, do czego właściwie może służyć ten ogrom różnorodnych połączeń chemicznych, otrzymywanych najczęściej wedle znanych szematycznych wzorów, to jednak przecież nietrudno jest sobie zdać sprawę z téj niekiedy do namietności posuniętej energii z jaką chemicy pracują nad odkryciem nowych ciał i ich pochodnych. Myślą przewodnią tych badań, myślą, którą, wyznajmy to szczerze, może nie wszyscy chemicy dokładnie chcą zrozumieć, jest niewątpliwie dążność skierowana do poznania praw statyki chemicznej. Nie znając bowiem zgoła istoty ruchu chemicznego, prawa jego równowagi można tylko poznać za pomocą przeglądu bardzo licznych związków ściśle określonych, oraz poznania warunków, w jakich one powstają, istnieją lub ulegają przemianom. Poznanie względnej trwałości systemów atomistycznych stanowiących połączenia chemiczne doprowadziło, przy współudziale doktryny o wartościowości, do pojęcia budowy chemicznej, która jest symbolicznym obrazem równowagi chemicznej. Ani jednak tak zrozumiana statyka ani też témbardziej dynamika chemiczna nie mogą zasługiwać na te nazwy, dopóki nie zostaną podciągnięte

pod zasadnicze prawa mechaniki teoretycznej. Dopiero kierunek mechaniczny, właściwy nowoczesnemu pojmowaniu przyrody, zapanowawszy w chemii, pozwoli ją przenieść do dziedziny teorii, gdzie panuje matematyka z nieubłaganą logiką swoją. Przyznać należy, iż do epoki tej zdążamy dość rączym krokiem. Zdobytcze uczynione na polu termochemii przez J. Thomsena i M. Berthelota dały nam już poznać w grubych zarysach pewne prawa rządzące ruchem chemicznym, prawa, które zasadniczo nie różnią się wcale od tych, na których się opiera mechanika teoretyczna. Aby jednak z tych praw można było odnieść należytą korzyść w kierunku omawianym, potrzeba jest jeszcze wynaleść jednostkę miary ruchu chemicznego. Brak tej jednostki jest najsłabszą stroną chemii umiejętniej a przeto téż i jej najnagłębszą potrzebą. Dopóki ta jednostka miary nie będzie znalezioną, czy to pod postacią równoważnika termicznego czyli téż pod inną formą, dopóty zawsze jeszcze dalecy będziemy od tej chwili, w której chemia od matematyki domagać się będzie dalszego teoretycznego rozwoju.

Bronisław Radziszewski.

ETNOGRAFICZNE I JĘZYKOWE STANOWISKO KROATÓW.

Antiquam exquirite matrem!

Virgilius.

Kroat nazywa się we własnym języku *Hr-wat*, — dwuzgłoskowo, w pierwszej zgłosce jest bowiem *r* samogłoską. Trafia się też pełniejsza forma pierwotna *Chorwat* lub *Horwat*, w Węgrzech jako nazwisko familijne dość pospolita. Lokalna nazwa wiedeńska *Krawat*, wymawiana prawie jakby *Krowot*, otrzymała pogardliwe znaczenie, jak to się okazuje ze znanej wiedeńskiej piosenki „*Der Mensch ist ka Krowot.*“ — Taż sama postać uzyskała jednakże największe rozpowszechnienie przez pewną część ubrania, znaną w całym cywilizowanym świecie jako *krawat* (*cravatte*). Lud kroacki używa takiejzawiazki na szyi. W czasie wojen XVII. i XVIII. wieku zanosły pułki kroackie tę modę do Wiednia i Niemiec. Z czasem stał się „krawat“ integralną częścią europejskiego ubioru.

Początek narodowej nazwy Kroatów gubi się w zamierzchłej przeszłości. Przyniósł ją naród ze sobą już w VII. wieku po Chr. w swe dzisiejsze siedziby. Tém też trudniej wytlómaczyć etymologiczne pochodzenie i przyczynę nazwiska.

Kronika ruska z XII. wieku, znana pod imieniem Nestora, wymienia niejednokrotnie Chorwatów, nie próbując nigdzie wytlómaczenia téj nazwy. Snać już wówczas etymologiczny związek imienia Chorwatów był ciemny. Najprawdopodobniejszym

wydaje mi się wywód tego słowa od pierwiastku, występującego w polskich wyrazach *garb*, *grzbiet*, który w niektórych słowiańskich językach w przenośniach, w innych wprost służy na oznaczenie gór lub pagórków. Imię Chorwatów oznaczałoby w ten sposób mieszkańców okolicy górzystej lub pagórkowatej.

Przeciwno identyczności imienia dzisiejszych Horwatów, Hrwatów czyli Kroatów z nazwą dawnych Chorwatów żaden głos się nie podniósł. Śledząc tedy początków narodu kroackiego musimy mimowoli, w trop za przyniesioném z dawniejszej ojczyzny imieniem, zwrócić się w tę stronę, która w zaraniu dziejów Słowiańszczyzny była siedliskiem Chorwatów i otrzymała u historyków nazwę Chrobacyi. Gdzie zaś wypada szukać tej Chrobacyi, to należy do najzawilszych pytań geografii historycznej, jak to słusznie zauważył Palacký. Prawdopodobnie obejmowała ona okolice górzyste po obu bokach głównego pasma Karpat t. j. kraj Słowaków w północnych Węgrzech i część późniejszej Małopolski, a może także niektóre części Moraw, Górnego Szląska i Rusi Czerwonej.

Tak zwany Nestor zawiera dwukrotne wzmianki o wojnach Warego-Rusów z Chorwatami. Ci Chorwatowie nie mogli gdzieindziej mieszkać, jak w dzisiejszej Galicyi, prawdopodobnie wschodniej. Z drugiej strony występuje nazwa Chorwatów także w zapiskach i registrach geograficznych ówczesnych Niemców w sąsiedztwie Czech, a kto wie, czy może nawet część mieszkańców Czech samych tak się nie nazywała.

Trudno też dociec, czy imię Chorwatów i Chrobacyi nie stoi w jakim związku z naszą książkową nazwą Karpat i z narodem Karpów, który je u schyłku wieków starożytnych w części zamieszkiwał. Lud ten należał, jak wiadomo do tych plemion barbarzyńskich, przed których napadami Rzymianie za czasów Decjusza i Aureliana Dacyą swą zaślaniać musieli. To jedno nie ulega wątpliwości, że pierwotnych siedzib chorwackiego plemienia należy szukać w pobliżu tej krainy, którą Szafarzyk poczytuje za wspólne gniazdo wszystkich plemion słowiańskich, a w której już Tacytowska „*Germania*“ zna Słowian pod nadawaniem im przez Niemców mianem *Winidów*, t. j. w pobliżu późniejszych dziejowych granic Polski.

Bizantyńcy mówią, że Kroaci przybyli na południe za cesarza Herakliusza z krainy *Boiki* w pobliżu *Bagibarei*. Obie te

nazwy próbowano łączyć z imieniem wschodnio-karpackich „Bojków,” i z „Babiagórą.” Atoli pomijając już znaczne oddalenie krainy Bojków (w Stryjskiem) od Babiejgóry, nie wystarcza omyłne i bardzo dalekie podobieństwo brzmień do wyprowadzenia tak stanowczych wniosków.

Prawdopodobniejszym jest wykład téj „*Bagibarei*” jako bizantyńsko-greckiej transskrypcyi „*Bajowaryi*” (Bawaryi). Geografowie bizantyńscy mieli o jój granicach prawdopodobnie dość mgliste wyobrażenie i obejmowali tém mianem zapewne także znaczne obszary krain sąsiednich. Że zaś z Bawaryą bezpośrednio stykają się Czechy, przeto wynikałoby z tego wykładu, że Kroaci przybyli z Czech lub z okolic, sąsiadujących z Czechami. Wyraz „*Boiki*” byłby przekręconą reminiscencją imienia *Bojohaemii*, które Czechy od swych pierwotnych mieszkańców, celtyckich Bojów, otrzymały.

Językowe badania przemawiają za tém przypuszczeniem. W najnowszém opracowaniu swój głosowni starosłoweńskiego języka dzieli Miklosich w wielu wypadkach języki słowiańskie na 3 gromady czyli „zony,” z których pierwsza obejmuje Słoweńców, (właściwych i t. zw. Bulgarów), Chorwatów, Serbów i Czechów, druga języki Słowian wschodnich (Rusinów, Rosyan i Białorusinów), trzecia Polaków, Kaszubów, szczątki pozostałe po Słowianach nadelbiańskich i Sorbów (Łużyczan). Widać tedy często podobieństwa między językami południowo-słowiańskimi a czeskim, świadczące o dłuższej wspólplemienności.

Pozostaje nam tedy oznaczyć jeszcze stosunek Kroatów do reszty plemion południowo-słowiańskich.

Plemion tych jest, jak wiadomo, cztery: Słoweńcy na zachodzie, Kroaci i Serbowie w środku, Bulgarowie na południowym-wschodzie. Dowiedziona jest rzeczą, że Bulgarowie ze Słoweńcami stanowią jedną językową, a prawdopodobnie i plemienną grupę. Wspólny ich język pierwotny, starosłoweński, przechowany w poważnej skarbnicy cerkiewno-liturgijnych ksiąg wschodniego obrządku, doznał u Bulgarów znacznego przeinaczenia pod wpływem obcych plemion uralskiego szczepu, pod których panowaniem zostawali i od których imię swe dzisiejsze przyjęli.

Związek Słoweńców wschodnich czyli Bulgarów i zachodnich przerwali klinem jako późniejsi przybysze Serbowie i Chor-

watowie, różniący się nazwą, ale pokrewni sobie językiem. O ich wzajemnym stosunku wyraża się Miklosich w przedmowie do I. wydania swój głosowni porównawczej języków słowiańskich w ten sposób:

„W świecie uczonym jasną jest rzeczą, co należy rozumieć „przez miano Serbów; co do Chorwatów ma się rzecz wcale „inaczej. My rozumiemy przez ten wyraz mieszkańców wysp „i części wschodniego wybrzeża morza adryatyckiego, począwszy „od Istrii, zamieszkaną wspólnie przez Słoweńców i Chorwatów, „aż ku Raguzie, zaludnioną przez Serbów.“

Różnice obu narzeczy są według Miklosicza tak nieznaczne, że nie poświęcając językowi tych Chorwatów osobnego rozdziału, traktuje go wspólnie z językiem serbskim, który kosztem narzecza chorwackiego coraz dalej swe granice rozszerza. To też angielskie towarzystwo biblijne, publikuje i dla Serbów i dla tych Chorwatów ten sam przekład pisma świętego, dokonany przez Wuka Stefanowicza Karadźicza, używając wedle potrzeby graždanki z pisownią uproszczoną przez Karadźicza, lub pisma łacińskiego.

Mieszkańców tak zwanego królestwa Kroacyi i części kroackiego Pogranicza Wojskowego zalicza Miklosich natomiast co do języka wprost do Słoweńców, zamieszkujących dalej na zachód Krainę i części Gorycyi, Istrii, Karyntyi, Styryi i południowo-zachodnich Węgier. Wprawdzie i ich narzecze uległo, mianowicie po miastach, wpływowi serbszczyzny. Gdy jednakże język tych okolic jeszcze pisarze XVII wieku wprost słoweńskim nazywają, przeto połączył Miklosich ten, dzisiaj tak zwany język chorwacki w swych badaniach z językiem nowosłoweńskim.

Przeobrażenie narzecza słoweńskiego na dzisiejsze kroackie przypisują głównie napływowi ludności serbsko-chorwackiej w wiekach XVI, XVII i XVIII z okolic, które w ówczas podlegały panowaniu tureckiemu, to jest, z tak zwaną turecką Kroacyi w Bośni, nie mającej dokładnie określonych granic.

Inni etnografowie zaliczają Chorwatów Miklosicza wprost do Serbów, a nazywają Kroatami właśnie tylko mieszkańców królestwa kroackiego, kroackiego Pogranicza Wojskowego i sąsiednich okolic Węgier i Istrii, dzieląc ich jeno podług większego zbliżenia narzecza na Słoweno-Kroatów na północnym

zachodzie i na Serbo-Kroatów na południowym wschodzie. Tak postępują np. Czoernig i Ficker.

Dla zupełności tylko dodam jeszcze, że pojedyncze osady kroackie sięgają na północ przez Austryą dolną aż do Morawii.

Tworząc tedy pośrednie ogniwo między właściwymi Słowenami i właściwymi Serbami stanowią Kroaci część tego szczepu słowiańskiego, który główną swą masą zajmuje siedziby od wysp dalmatyńskich po Żelazną Bramę Dunaju i od Drawy po Sko-darskie jezioro. Nazwiemy go serbsko-kroackim podług dwóch plemion, reprezentujących dwa główne a sprzeczne kierunki w historycznym rozwoju tej odrośli słowiańskiego rodu.

Serbów związał obrządek wschodni i wspólność doli pod panowaniem tureckim z ludami bałkańskimi, ze Wschodem. W nowszych czasach zrywali się niejednokrotnie do odegrania samodzielnej roli politycznej.

Kroaci zetknęli się wcześniej z Zachodem, przyjęli obrządek i pismo łacińskie, a dostawszy się wraz z Węgrami pod panowanie domu Habsburskiego, stanowili od czasów Wallensteina aż do najnowszych wypadków jeden z głównych filarów militarnej potęgi austriackiej.

W ten sposób jest słoweńsko-kroacki Zagrzeb odrębnym od serbskiego Belgradu ogniskiem dążeń, zmierzających do skupienia Słowian południowych. Dążenia te znalazły swój wyraz pod względem naukowym w nazwie zagrzebskiej akademii nauk, która się nie tytułuje kroacką lecz południowo-słowiańską, a pod względem politycznym w nazwie trójjedynego królestwa, do którego Kroaci prócz Kroacyi i zamieszkałej przez Serbów Sławonii wliczają teoretycznie i Dalmacyą, należącą faktycznie do przedlitawskiej grupy krajów austriackich.

Bolesław Baranowski.

KAPITAŁ AKCYJNY WIEDEŃSKICH INSTYTUCYI FINANSOWYCH.

Siedm lat minęło od pamiętnego roku 1873, kiedy w jedną chwilę runął gmach sztucznego rozkwitu ekonomicznego, kiedy przesilenie, z początku czysto giełdowe, objęło następnie świat finansowy, przemysłowy a nawet rolniczy, tamując wszelki rozwój tych stosunków. W ciągu tych siedmiu lat kilkakrotnie wprowadzie dawały się słyszeć głosy wysoko stojących osób, że stosunki finansowe, przemysłowe i rolnicze muszą się zmienić na lepsze; pamiętne mianowicie sę słowa wyrzeczone przez austriackiego ministra finansów de Pretisa na posiedzeniu izby deputowanych wiedeńskiej rady państwa „*es muss besser werden.*“ Zmiana ta jednak nie następowała, zastój we wszelkich kierunkach życia ekonomicznego coraz się wzmaczał, przedsiębiorczość wszelka spoczywała, a strwożony i nieufny kapitał zadawała się małym stosunkowo dochodem z lokacyi w kasach oszczędności.

Dopiero w drugiej połowie bieżącego roku widocznym się staje pewien zwrot ku lepszemu; zagraniczni szczególnież kapitałiści zaczynają nabierać zaufania do stosunków austriackich i nie wahają się znaczne fundusze przenieść do Austrii, by za ich pomocą ożywić przemysł i handel. W pierwszym rządzie zasługuje pod tym względem na uwagę nowo założony w Wiedniu, kapitałami wyłącznie francuskimi „bank dla krajów koronnych“ (*Länderbank*) z kapitałem zakładowym 100 milionów franków czyli 47 milionów zł. w. a.

Dotychczas czynności tego banku ujawniły się na zewnątrz jednym tylko interesem, mianowicie udzieleniem Wydziałowi krajowemu pożyczki 600.000 zaciągniętej przez reprezentację kraju na częściowe umorzenie niedoborów z lat 1877, 1878 i 1879. Pożyczka ta udzieloną została na $4\frac{9}{10}\%$ ze spłatą kapitału w 25 latach, w półrocznych ratach po 12000, co według obliczenia czyni $6\frac{48}{100}\%$ wraz z amortyzacją w 25 latach.

Ten jeden interes nie może nam naturalnie dać dostatecznej podstawy do ocenienia dalszej działalności tego banku i do orzeczenia, czy i o ile są usprawiedliwione nadzieje, jakie przez jego założenie w naszym szczególniej kraju obudzone zostały.

Pod jednym względem „bank dla krajów koronnych“ wywarł już wpływ niepośledni, mianowicie pod względem wysokości kapitału zakładowego innych banków wiedeńskich. Ogromny kapitał zakładowy, na podstawie którego założony został świeżo „bank dla krajów koronnych“, wzniecił i w innych zakładach finansowych chęć powiększenia swojego kapitału zakładowego, aby w ten sposób być lepiej przygotowanym do wytrzymania konkurencyi, jaka w najbliższym czasie między nimi wywiązać się musi. Pierwszy krok na tej drodze zrobiły: wiedeński związek bankowy (*Bankverein*) i wied. towarzystwo bankowe (*Bankgesellschaft*) a za tym przykładem usiłuje obecnie bank anglo-austriacki podwoić swój kapitał akcyjny.

Z końcem r. 1879 ilość akcyi wiedeńskich banków i wysokość ich kapitału akcyjnego przedstawiały się w następujących cyfrach:

	ilość akcyi	kapitał akcyjny.
bank anglo-austriacki	150.000	złr. 18.000.000.
wied. związek bankowy	80.000	„ 8.000.000.
zakład kredytowy ziemski	120.000	„ 9.600.000.
austr. zakład kredytowy	250.000	„ 40.000.000.
bank depozytowy	25.000	„ 5.000.000.
niż. austr. towarz. eskontowe	14.000	„ 7.000.000.
wied. towarzystwo bankowe	6.000	„ 1.200.000.
bank związkowy (union)	150.000	„ 15.000.000.
bank obrotowy	40.000	„ 5.000.000.
ogółem	835.000	złr. 109.000.000.

Cyfry te z początkiem roku 1881 dość znacznej ulegną zmianie i przedstawiają nam się jak następuje:

	ilość akcyi	kapitał akcyjny.
bank anglo-austryacki	250.000	złr. 30.000.000.
wied. związek bankowy	250.000	„ 25.000.000.
zakład kredytowy ziemski	120.000	„ 9.600.000.
austr. zakład kredytowy	250.000	„ 40.000.000.
bank depozytowy	25.000	„ 5.000.000.
niż. austr. towarz. eskontowe	14.000	„ 7.000.000.
bank dla krajów koronnych	200.000	„ 47.900.000.
wied. towarzystwo bankowe	30.000	„ 6.000.000.
bank związkowy	150.000	„ 15.000.000.
bank obrotowy	40.000	„ 5.000.000.
ogółem	1.320.000	złr. 189.600.000.

Z tego zestawienia okazuje się, że w najbliższym czasie wysokość kapitału akcyjnego istniejących już obecnie banków wiedeńskich wzrośnie o zł. 80 milionów, ilość zaś akcyi powiększy się o 469.000 sztuk.

W r. 1879 wyszczególnione powyżej banki wykazały złr. 11.300.000 zysku z bieżącego interesu bankowego, że zaś wydatki ogólne wynosiły złr. 5.400.000, czysty więc zysk wynosił nie całych złr. 6 milionów, która to kwota odpowiada oprocentowaniu po $5\frac{1}{2}\%$ od kapitału akcyjnego w wysokości 109 milionów.

Ażeby zaś dochód z bieżącego interesu taki sam wydał rezultat w r. 1881 przy kapitale akcyjnym powiększonym o 80 milionów, musiałby on wynosić po potrąceniu ogólnych wydatków $10\frac{1}{2}$ miliona, czyli innemi słowy, dochód z bieżącego interesu bankowego musiałby się powiększyć o 80%, co jest rzeczą niemożliwą, tém więcéj, że dochód ten w ostatnich kilku latach nieznacznie wprawdzie, ale stale się zmniejszał.

Jeżeli pomimo to banki mają nadzieję, że będą w możności należycie oprocentowywać zwiększone kapitały zakładowe, to opierają tę nadzieję na przyszłych zyskach nadzwyczajnych.

Nadzwyczajne te zyski wynosiły w r. 1879 siedm milionów, które jednak w znacznej części były wynikiem pomyślniejszej konstelacji giełdy, prowadzącej za sobą podniesienie kursu papierów wartościowych, będących w posiadaniu banków; zyski te jednak póki nie zrealizowane, są natury wątpliwéj, a raz zrealizowane z natury rzeczy powtórzyć się nie mogą.

W odpowiedzi więc na pytanie: jakiego rodzaju interesa będą banki uprawiać, aby być w możności należytego oprocentowania zwiększonych kapitałów akcyjnych, leży trudność i niebezpieczeństwo stworzonego w ten sposób położenia.

Zysków bowiem tych zakłady finansowe szukać mogą w grze giełdowej, tworząc przez zakładanie coraz nowych towarzystw akcyjnych idealne wartości, nie mające rzeczywistej podstawy a służące jedynie do omaniania łatwowiernej publiczności, albo też zwrócić one swe fundusze ku rzeczywistym potrzebom tych szczególnie krajów koronnych, które dotychczas pod tym względem zaniedbywane, nie mogły u siebie należycie rozwinąć przemysłu i handlu, nie były w możności wyzyskania skarbów w łonie ziemi ukrytych.

Miejmy nadzieję, że doświadczenie niedawno minionej epoki t. zw. „rozkwitu ekonomicznego“ skieruje usiłowania instytucji kredytowych ku rzeczywistym potrzebom krajów i ludów monarchii.

Dla uzupełnienia pozwalam sobie dodać, że we Lwowie istnieją dwa banki z zakładowym kapitałem akcyjnym: Galicyjski bank hipoteczny z kapitałem 3 milionów, podzielonym na 15.000 akcyi, i Galicyjski bank kredytowy z kapitałem 1. miliona, podzielonym na 5000 akcyi.

Bernard Goldman.

CZEŚĆ CUDZOZIEMCÓW DLA MICKIEWICZA.

Nie mamy zamiaru na tych kilku stronach mówić o wpływie dzieł Adama Mickiewicza na literatury zagraniczne, bo sam spis tłumaczeń i recenzji zagranicznych w 14-tu językach o dziełach tego poety zawiera stron 40, lecz raczej chcemy zebrać niepowiązane dotąd w jedną całość wspomnienia o osobistym wpływie Mickiewicza na cudzoziemców.

Objawił się on naprzód w Moskwie, gdzie Mickiewicz był skwapliwie poszukiwany przez wszystkie prawie znakomitości literackie i towarzyskie. Poeci rosyjscy nie tylko tłumaczyli Mickiewicza, lecz zwracali do niego samego swoje wiersze jak Puszkina, J. Kirejewski i E. Bariatyński.

Puszkina słysząc improwizującego Mickiewicza zawołał: „*quel génie! quel feu sacré! que suis-je auprès de lui?*“ i rzuciwszy się na szyję Adama ścisnął go i całował jak brata. Prosił go następnie o wskazówki dla swoich prac literackich i Mickiewicz radził mu, by się uczył po angielsku i czytał naprzód Miltona, Popego, potem Moora, Byrona a na koniec dopiero Szekspira.

Kiedy Mickiewicz opuszczał Moskwę wyprawiono mu tam ucztę (a nie w Petersburgu, jak podaje Odyniec), i ofiarowano puhar srebrny z wyrytymi imionami Rosyan. Wiersz przy tej sposobności przez Kirejewskiego wypowiedziany, zachował się w papierach Mickiewicza i wydany został przez syna jego Władysława po rosyjsku i po francusku. Poeta Kozłowa, jak pisze

Odyniec, miał egzaltowane przywiązanie i prawie cześć dla Adama a Puszkina utrzymywał, że większego od Adama człowieka nie mógłby spotkać na świecie. Kosmopolityczny Goethe dał się Mickiewiczowi przekonać, że poezja i literatura w ogólności cech odrębnych narodowych nigdy nie tracą. Przysłał mu swego malarza, prosząc o portret a Dawidowi d'Angers, który biust Mickiewicza robił, powiedział o nim: „to jest geniusz!”

Znany pisarz Karol Montalembert nauczył się po polsku, aby móżdż czytać i tłómaczyć Mickiewicza; w prywatnych swoich listach, dotąd niedrukowanych, pisze wiele o Adamie z uniesieniem, z jakim się zwykle mówi tylko o nadzwyczajnych ludziach. Podobnie i filolog Burgaud des Marets, spotkawszy raz Mickiewicza u Bogdana Jańskiego, postanowił zaraz uczyć się po polsku i przetłómaczył Dziady, a ta praca czytana przez Panią Georges Sand, pobudziła ją do napisania sławnego artykułu w *Revue des Deux Mondes* (z 1. Grudnia 1839), który znowu przyczynił się najwięcej do powierzenia autorowi Dziadów katedry Literatury ludów słowiańskich w Paryżu. Pani Sand przeczytawszy trzecią część Dziadów poznała odrazu w poecie mistrza téj samej miary co Goethe i Byron. Rozprawę swoją poświęciła pani Sand Faustowi Goethego, Manfredowi Byrona i Dziadom Mickiewicza. Jest to jój arcydzieło, niestety dotąd na język nasz nie tłómaczone, chociaż więcej by się podobało i lepiej byłoby zrozumianem, niż broszura Cybulskiego o Dziadach.

Lamenais (autor dzieła „*Sur l'indifférence en matière de religion*“) nazywa Mickiewicza „le plus grand poète moderne“ i na wzór ksiąg Pielgrzymstwa napisał swoje: *Le livre du peuple*. W trzecim tomie Korespondencyi Mickiewicza znajduje się wiele listów pisanych przez znakomitych cudzoziemców, jako to: Hanki Wacława, Lafayette'a, księcia Napoleona, Daniela Stern, Dawida, Micheleta, Alfreda de Vigny, Georges Sand i innych, które mniej lub więcej świadczą o wpływie, jaki wywierał nasz poeta na cudzoziemców. Ograniczymy się na Edgarze Quinet, który zanim został kolegą Adama w Collège de France, dobijał się o jego przyjaźń.

List Quineta z r. 1838 (III. str. 257) jest namiętném oświadczeniem przyjaźni dozgonnej meża, który od kilkunastu lat znany był z licznych swoich dzieł i artykułów w *Revue des Deux Mondes*. Oto słów kilka z tego listu. „Twoja wiara, którą chciał-

bym dzielić, pociąga mnie. Przez nią masz znakomitą wyższość nademną. Twoje rady mogą mi być nader pożyteczne i proszę też o nie w całej szczerości mej duszy. W zamian oddam ci serce chciwe prawdy i sympatii. Pragnę przyjaźni i myśli poważnych. Czas mija a ja nie wiem z tego, co by wiedzieć należało. Kochany przyjacielu, pomóż mi wyjść z tej niewiadomości lub naucz mnie ją znosić.“

Zachodzi pytanie, jakiego rodzaju był ten wpływ Mickiewicza? Kiedy ów *mens divinior* improwizował -- jak mówi Odyniec, krew i oddech się zatrzymywały, a entuzjazmem, jaki wywierał, przewyższał wszelkie oczekiwanie. Lecz z Francuzów nikt prawie nie słyszał go improwizującego, więc chcielibyśmy wiedzieć, jakim był wobec nich w zwyczajnym, codziennym usposobieniu?

Farysa — farys niech wytłómaczy. „Onby pewnie okiem nie mrugnął, żeby sobie kogokolwiek zholdować i nic go tak nie nudzi jak hołdy. Ale duch wielki w prostocie i prawdzie, to talizman, co cześć obudza, to magnes, który serca przyciąga.“ (Odyniec, I str. 131).

Zygmunt Krasiński, podobnie jak autor Felicyty utrzymują zgodnie, że Mickiewicz był większy jeszcze jako człowiek niż jako poeta. To przytoczywszy, łatwo zrozumieć sympatią, miłość, cześć i uwielbienie, które wywoływał u swoich i u cudzoziemców, za życia i po śmierci. „Pamięć twojego wielkiego ojca, jest mi drogą i świętą“ (*sacré*) — pisze Daniel Stern w dwaście lat po śmierci Adama do jego syna.

Brak miejsca wyznaczonego dla autorów w tém dziele nie pozwala nam na dłuższe cytaty. W obszerniej za to biografii Adama Mickiewicza, którą przygotowujemy do druku, będziemy mieli sposobność mówić szczegółowo o jego stosunkach z cudzoziemcami. Trudno jednak nie wspomnieć o wpływie, jaki wywarł na arcybiskupa Paryża Mgr. d'Affre, do którego mówił jak św. Bernard do Eugeniusza IV. Mimo tych przestróg, jakich książęta kościoła nie zwykli przyjmować od świeckich, arcybiskup Paryża stanął w obronie Mickiewicza w obec księży polskich, niepokojących się o messyanizm poety. Ks. Kajsiewicz, nawrócony do Boga i modlitwy przez Mickiewicza, pisze sam w swoich pamiętnikach (tom III), że arcybiskup paryzki pod wpływem słów

Mickiewicza wyszedł w r. 1848 na ulice Paryża, aby powstrzymać rozlew krwi bratniej.

Za życia wieszcz poeci francuzcy podawali sobie z rąk do rąk jego dzieła, a głośny Guérin, piewca natury, tak wysoko ceniony, pisze: „Je n'ai jamais vu plus surprenante poésie.“ Po śmierci wspominają o nim cudzoziemcy z większym jeszcze zapalem: „Święte szczątki — pisze Michelet — które mówią do nas i nie przestaną mówić: niezapominaj! Dzień otwarcia jego kursu stanowi dla mnie niewygasłe, silne, nieśmiertelne o nim wspomnienie! Krwią zaszele oczy jego sypały cudowne iskry, a my Francuzi zalewaliśmy się łzami. Nigdy w życiu nie widział podobnych błyskawic oka, zawsze mi one tkwić będą w pamięci.“

Książkę oddzielną można by napisać o życiu pogrobowém Mickiewicza w świecie cywilizowanym, o tych obchodach w rocznicę jego śmierci, kultywowanych wszędzie z wielkim pietyzmem, lecz musimy podążać ku końcowi. We Włoszech, gdzie już Cavour w parlamencie głosił sławę Mickiewicza, miłość dla polskiego wieszca jest równie wielka jak we Francyi. Moglibyśmy tu zacytować wielu sławnych Włochów, którzy podobnie jak Francuzi, uważali Mickiewicza za dobroczynnego geniusza całej ludzkości.

Hr. Mamiani, b. minister Piusa IX., mówił na Kapitolu: „Nlekróć słyszałem Mickiewicza w Collège de France żywym przyjmowanego oklaskami, wracałem do siebie wzmocniony na siłach i władzach duszy.“

Atilio Begey, ubolewając za innymi nad upadkiem religii dopełniającym się we Włoszech, w zamiarze wspierania postępu i cywilizacyi pisze, że zamiar ten mógłby być zupełnie innym sposobem do skutku doprowadzonym i że każda stronnica Mickiewicza jest wzorem tego innego sposobu.

W Rzymie w sali teatru Argentina bywały prelekye publiczne o Mickiewiczu, w czasie których wystawiono jego popiersie dłuta Wiktora Brodzkiego. — Junta Muncypalna Rzymu kazała umieścić tablicę pamiątkową na domu, w którym Mickiewicz mieszkał w r. 1848, Via del Pozzetto Nr. 114, co dokonaniem zostało z wielką uroczystością i z mowami mianem na Kapitolu i przed domem w d. 29. Marca 1877. Stowarzyszenie Uniwersyteckie w Bolonii urządzające prelekye o Słowianach, nosi nazwę Mickiewicza.

Dnia 3. Maja 1879 na uczcie międzynarodowego Towarzystwa literackiego w Paryżu mówiono o wdzięczności ludów dla wielkich mężów, a Ludwik Ratisbonne tłumacz Danta wniósł toast: „na chwałę i wieczną pamiątkę Adama Mickiewicza.“

Uroczyściej jeszcze głoszony był w r. 1848 wpływ Mickiewicza na zagranicę w wielkiej sali Sorbony, w obecności ministra oświecenia i profesorów Collège de France. Na wzniesieniu stało próżne krzesło Mickiewicza, podówczas nieobecnego w Paryżu a którego spodziewano się znowu ujrzeć na katedrze. Michelet wytłómaczył ten symbol, mówiąc: „To próżne krzesło jest krzesłem naszego drogiego i wielkiego Mickiewicza, którego słowo, co tu odbrzmiewało, zdawało się być przymierzem całego świata i sojuszem wschodu z zachodem.“

Ks. Jan Siemieński.

O PROJEKTACH KODYFIKACYI PRAWA WOJNY.

Prawo wojny — to na pierwszy rzut oka paradoks. A jednak w zestawieniu tych dwóch wyrazów tkwi myśl głęboka, która jest chlubą nowożytniej cywilizacji i zapowiedzią szczęśliwszego okresu w przyszłym rozwoju ludzkości. Wojna jest rzeczą nieuniknioną, a wieczny pokój pozostanie prawdopodobnie na zawsze marzeniem; jeżeli zaś nie da się zaprzeczyć, że wojna sprowadza nieraz dla bytu państw i ludów dobre w przyszłości następstwa, to z drugiej strony zawsze są od niej nieodłączne klęski i nieszczęścia, dotyczące przedewszystkiem pojedyncze jednostki.

Usunąć całkowicie wojnę nie ma możliwości, ale natomiast należy przynajmniej złagodzić jej klęski w duchu cywilizacji, miłosierdzia i interesów publicznych i prywatnych; najskuteczniejszym zaś środkiem, prowadzącym do celu tego, jest wskazanie prawideł dla jej prowadzenia i orzeczenie: co wolno na wojnie, a co nie; słowem, ujęcie czynności wojennych w pewne granice, według ściśle określonych zasad, jest najpewniejszą rekompensatą złagodzenia klęsk towarzyszących z konieczności samej wojnie.

Już przed laty dwiestu zaczęły się pojawiać pierwsze umowy państw wojujących, dotyczące przyjęcia pewnych zasad prowadzenia wojny i mające głównie na celu zabezpieczenie losu rannych, jeńców wojennych i t. p. Były to jednak tylko zdarzające

się tu i ówdzie i obowiązujące na czas trwania jednej wojny układy, które dotyczyły wyłącznie tylko pewnych stosunków, wywołanych przez tę wojnę. Dopiero w bieżącym XIX. stuleciu humanitarna dążność złagodzenia klęsk połączonych nierozzerwalnie z każdą wojną, dojrzała należycie i przybrała właściwy kierunek, a pierwsze próby kodyfikacyi prawa wojny dopiero w naszych pojawiają się czasach. Przykład dała nam pod tym względem Ameryka, gdzie w r. 1863 z inicjatywy prezydenta Lincolna ułożony został przez profesora Liebera zbiór prawnych zasad prowadzenia wojny, który uzyskał sankcyę kongresu Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki, jako instrukcyja polowa dla armii państwa tego.

W Europie przykład dany przez Amerykę znalazł odgłos dopiero po ostatniej wojnie włoskiej, i w r. 1864 mocarstwa europejskie podpisały pierwszą międzynarodową ugodę, mającą na celu zabezpieczenie losu rannych i chorych podczas wojny, znaną pod nazwą Konwencyi Genewskiej.

Ponieważ pierwsza ta umowa dotyczyła tylko wojny lądowej, uzupełniono więc ją w r. 1868 projektem nowej ugody, zapewniającym takżę opiekę dla rannych i chorych na wojnie morskiej; projekt ten nie został jednak zamieniony w konwencyę.

Natomiast tegoż roku (1868) reprezentanci mocarstw zebrani w Petersburgu zawarli umowę, mocą której uznano za niedozwolone używanie na wojnie kul eksplodujących, nabojęw piorunujących i innych podobnych środków, zrzadzających zbyteczne cierpienia; następnie zaś zawiazano w Paryżu towarzystwo pod nazwą *Société pour l'amélioration du sort des prisonniers de guerre*, które ułożyło i rozesłało gabinetom europejskim do zbadania projekt konwencyi, zabezpieczającęj los jeńców wojennych, zapraszając je przytem, aby przysłały swych delegatów na zjazd, mający się odbyć w Brukselli.

Projekt ten nie przyszedł nawet pod obrady zjazdu, gdyż na parę miesięcy przedtęm Rossya przedłożyła gabinetom projekt całego prawa wojny, zawierający takżę ustęo o jeńcach wojennych, wobec którego konwencya proponowana przez towarzystwo paryskie okazała się zbyteczną. Ale i projekt rosyjski nie doprowadził do żadnego praktycznego rezultatu, gdy bowiem przystąpiono do bliższego zbadania jego na konferencyi, która się odbyła w tym celu w Brukselli w roku 1874, powstała między

obradującymi reprezentantami mocarstw tak rażąca różnica zdań że nie było możliwości pogodzenia sprzecznych ze sobą opinii. Głównym powodem odrzucenia projektu rosyjskiego były te punkta jego, które dotyczyły okupacji kraju pewnego przez armię nieprzyjacielską, oraz określenia, komu mają przysługiwać prawa strony walczącej, wykonywania prawa odwetu (*droit de répressailles*) i t. p.

Rosya pragnęła mianowicie, aby armia zwycięska przy zajęciu pewnego kraju weszła od razu we wszystkie prawa rządu legalnego i wykonywała je tak, jak gdyby kraj ten był już ostatecznie wcielonym do posiadłości mocarstwa zwycięskiego, wówczas, gdy według pojęć przyjętych dziś w prawie międzynarodowym, okupacja nieprzyjacielska uważaną jest tylko za fakt przejściowy i tymczasowy, nie naruszający w niczem praw rządu legalnego i ustaw kraju, zajętego przez nieprzyjaciela, a zwycięzca staje się panem kraju zajętego dopiero wtedy, gdy mu on przyznany zostanie na mocy traktatu pokojowego.

Daléj, według projektu rosyjskiego prawo strony walczącej zależném być miało od pewnych z góry określonych warunków, wówczas, gdy inne mocarstwa obstawały przy tém, aby wszyscy walczący z bronią w ręku w obronie kraju swego, w równéj mierze z prawa tego korzystali, co jest rzeczą wielce ważną, gdyż komu nie przysługuje prawo strony walczącej, ten nie posiada charakteru żołnierza, legalnego obrońcy ojczyzny, i w razie dostania się do niewoli nie jest uważany za jeńca wojennego, lecz za prostego zbrodniarza, podlegającego całej surowości przepisów prawa karnego.

Z powodu wyżéj wymienionych różnic zdań, reprezentanci Belgii, Holandyi, Hiszpanii i innych państw podnieśli stanowczą opozycję przeciw projektowi rosyjskiemu, który musiano w skutek tego przerobić całkowicie, a raczéj ułożyć nowy, znany pod nazwą „deklaracyi brukselskiej“, a bardziéj zgodny z zasadami nowożytnymi i uszanowaniem praw kraju podbitego, chociaż uwzględniający także i niezbędne wymagania wojny.

Deklaracya brukselska nie weszła jednakże nigdy w życie, a to głównie dlatego, że Anglia była jéj stanowczo niechętną, i najpierw w nocy lorda Derby, wystosowanój d. 4. czerwca 1874 do lorda Loftusa, ambasadora angielskiego w Petersburgu, a potém w ustném przemówieniu generała Horsforda, reprezentanta

swego na konferencji brukselskiej, zastrzegła się niby tylko przeciw wkraczaniu toczących się układów w sprawę wojny morskiej i powszechnej kodyfikacji prawa międzynarodowego, w gruncie rzeczy jednak była przeciwną wszelkim układom, dowodząc niemożliwości praktycznego przeprowadzenia ich wyników. Delegaci obradujący w Brukselli uznali więc za niemożliwe przystąpić wprost do podpisania ułożonego projektu, a to tém bardziej, że ten ostatni redagowany podczas zjazdu, wśród toczących się obrad musiał nosić na sobie cechę dzieła dokonanego z pośpiechem. Postanowiono więc oddać projekt ten do rozpatrzenia gabinetów europejskich, poczem miał nastąpić w Petersburgu nowy zjazd tych samych reprezentantów mocarstw, którzy brali udział w konferencji brukselskiej, w celu ostatecznego zawarcia konwencji.

Wybuch ostatniej wojny wschodniej, która zwrócić na siebie musiała całą uwagę Rosyi i której płomienie ogarnąć mogły całą Europę, stanął na przeszkodzie dojściu do skutku zjazdu projektowanego i w ten sposób cała sprawa uchwalenia prawa wojny poszła w odwołkę na czas nieograniczony, a dla państw europejskich pozostała obowiązującą podczas wojny tylko konwencya genewska z r. 1864 i deklaracya petersburska z r. 1868.

Chcąc dopełnić niedostatek zła wynikający, Rosya przed samą wojną wschodnią ogłosiła pod nazwą *Cathéchisme militaire* zasady, których trzymać się zamierzała podczas téj wojny, a które zgodne są więcéj z duchem projektu petersburskiego, niż deklaracyi brukselskiej.

We Francyi i Holandyi istnieją także przepisy, których państwa te trzymają się podczas wojny; ale specyalne prawa tego rodzaju, obowiązujące tylko pojedyncze państwa, nie mogą odpowiedzieć całkowicie celowi, gdyż wszelkie urządzenia w związku międzynarodowym wtedy tylko mają rzeczywiste znaczenie, kiedy są oparte na wzajemności; gdzie zaś jój nie ma, tam być nie może jednolitości w działaniu i rękojmii uszanowania przyjętych zobowiązań.

Dla złagodzenia o ile można klęsk wojny i dla utrwalenia jednostajnych przepisów jój prowadzenia, obowiązujących wszystkie mocarstwa należące do związku międzynarodowego, potrzeba prawa obowiązującego nie jedno państwo, ale te wszystkie, które w skład tego związku wchodzą; ustanowienie zaś podobnego

prawa nastąpić może jednym z trzech następujących sposobów: albo drogą ogólnego porozumienia na kongresie (jak n. p. zjazd brukselski); albo przez oddzielną proklamację każdego z państw pojedynczych (jak n. p. polowa instrukcyja amerykańska); albo nareszcie przez zawarcie z jednem lub więcej mocarstw umowy dotyczącej zachowywania na wypadek wojny pewnych zasad, do której to umowy inne mocarstwa przyłączyłyby się (jak tego przykład przedstawia poniekąd konwencya genewska).

W ostatnich latach szlachetna inicjatywa w sprawie złagodzenia okrucieństw wojny podjęta została nie przez rząd żaden, ani stronnictwo polityczne, ale przez akademię prawa międzynarodowego (*Institut du droit international*), której członkowie, stojąc po za prądami politycznymi, w ciszy naukowych pracowni rozmyślają nad najważniejszymi zagadnieniami życia państw i narodów. Jakkolwiek zaś prace ich są tylko teoretyczne, nie mniej jednak stoją na gruncie rzeczywistych stosunków i mają głównie na celu praktyczne potrzeby życia i dokonywane są z tą myślą, że posłużą za podstawę prawodawstw państw pojedynczych i podwalinę nowego prawa narodów.

Wobec takiej dążności prac akademii, prawo wojny nie mogło oczywiście być przez nią pominięte, i na doroczném posiedzeniu jēj, odbytém w roku 1879 w Brukselli, postanowiono ułożyć nowy projekt prawa tego. Do komisji, mającej projekt ten wypracować, wybrano ludzi mających znakomite imię w nauce i dających rękojmię, że praca wyszła z pod ich pióra odpowie najzupełniej zarówno wymaganiom naukowym, jak potrzebom życia praktycznego; w rzędzie zaś ludzi tych spotykamy imiona takich znakomitości jak: Bluntschli, Bernard, Brocher de la Fléchère, Holland, Pieramonti, Martens i t. d.

Po kilkakrotném przerobieniu, projekt wypracowany przez powyższą komisję został poddany ostatecznej rewizji akademii na walném jēj zebraniu, odbytém dnia 9. września roku bieżącego w Oksfordzie, i uzyskał następnie jēj zatwierdzenie.

Projekt ten składa się z trzech części, z których pierwsza zawiera zasady ogólne, druga właściwe rozporządzenia dotyczące wojny, a trzecia traktat o sankcyi karnej prawa wojny. Za podstawę prowadzenia wojny uznano następujące zasady: 1) że wojna dotyczyć powinna tylko siły zbrojne mocarstw wojujących, a nie spokojnych ich mieszkańców; 2) że przy prowadzeniu wojny

nie wolno używać środków nieszlachetnych, których srogość jest bez celu; 3) że umowy zawierane podczas wojny powinny być ściśle wykonywane; 4) że terytorium zajęte przez nieprzyjaciela nie uważa się jeszcze za ostatecznie zdobyte i że przeto rząd na niem ustanowiony jest tylko tymczasowym.

Na czele przepisów specjalnych umieszczono: nietykalność spokojnych mieszkańców; zabezpieczenie używania praw wojny nie tylko dla armii lądowej i morskiej, ale także dla: a) ludności, która za zbliżeniem się nieprzyjaciela podnosi broń w obronie kraju, choć nie jest uorganizowaną wojskowo, i b) dla ochotniczych oddziałów, o ile mają dowódcę, oraz noszą jawnie broń i odznaki wojskowe.

Za środki wojenne zabronione uznano między innemi, oprócz wyszczególnionych w deklaracji petersburskiej: używanie trucizny; dobijanie rannych i tych, którzy się poddali; odmawianie pardonu; rabowanie miast i niszczenie bez koniecznej potrzeby własności publicznej i prywatnej; bombardowanie miejsc otwartych, a przy bombardowaniu twierdz nakazano szanować muzea, szpitale i wszelkie zakłady naukowe i dobroczynne.

Zabroniono dalej zmieniać prawa i administrację w kraju zajętem, wymagać od ludności przysięgi na wierność i zmuszać ją do udziału w akcji wojennej. Co się zaś tyczy własności państwa, to nieprzyjaciół ma prawo zabrać tylko własność ruchomą i posługiwać się środkami komunikacyjnymi, jak koleje, telegrafy i t. p., nieruchomą zaś tylko zarządza, a własność gmin, zakładów naukowych i dobroczynnych szanować powinien jako nietykalną. Własność ludzi prywatnych jest także nietykalną, a nieprzyjaciół może tylko pobierać z niej kontrybucye i rekwizyta.

W końcu projekt akademii prawa międzynarodowego otacza opieką i zabezpiecza los jeńców wojennych i proponuje, aby przestrzeganie postanowień prawa zagwarantowane było przez ustawy karne państw pojedynczych, oraz aby wykonywanie t. z. represaliów czyli odwetu było dozwolone nie inaczej, jak w ściśle określonych granicach i na mocy rozporządzenia głównodowodzącego.

Zadaniem projektu powyższego nie jest wywołać międzynarodową konwencyę, gdyż połączoném to jest z wielu trudnościami, ale starać się o uzyskanie sankcyi osobno każdego pań-

stwa pojedynczego, co jest o wiele łatwiejszém; nadto projekt ten przeznaczony jest do nauki dla wojska i dlatego ma formę naukowego podręcznika.

Nie da się zaprzeczyć, że w projekcie powyższym są pewne niedokładności i braki, jak n. p. pominięcie kwestyi wypowiedzenia wojny i wpływu jego na stosunki handlowe i polityczne, kapitulacya, oznaczenie, kto ma być uważany za szpiega i t. p.; w ogólności jednak zasady jego są postępowe, humanitarne, oraz odpowiednie stosunkom i potrzebom praktycznym, i już dlatego samego zasługują, aby zostały uwzględnione.

Do mocarstw europejskich należeć teraz będzie zużytkować w praktyce tę piękną pracę akademii prawa międzynarodowego, nadając jej sankcyę prawodawczą, przez co czynności wojenne ujęte zostaną w karby stałych prawideł, przybiorą cechę prawnego środka restytucyi praw naruszonych, a zarazem okrutny i srogi los wojny zostanie znacznie złagodzony i oszczędzi się życie wielu całkiem zbytecznych ofiar.

Gustaw Roszkowski.

CZEGO W NASZYCH CZASACH ŻĄDAJĄ OD SZKOŁY LUDOWEJ I JEJ NAUCZYCIELI?

Widocznie rozliczne braki, dolegliwości i niemoce trapić muszą dzisiejsze nasze życie społeczne, kiedy z różnych stron, niemal jak z rogu obfitości, sypią się również rozliczne recepty na te dolegliwości i braki.

Warto tedy rozpatrzyć się w tych różnorodnych lekach, zbadać recepty na nie podawane, aby zdać sobie sprawę, czy mogą być skutecznymi, a tém samém, czy warto je zadawać i zażywać. A rozpatrując się w tych proponowanych lekach, możnaby nabyć przekonania, że ci, którzy je zalecają, zwątpili na dobre o możliwości wyleczenia pokolenia starszego, gdyż największą część swych leków przepisują dla pokolenia najmłodszego, widocznie aby przynajmniej je ochronić na przyszłość od słabości, na które kwękają starsi. Jakoż upatrzono sobie i zakład leczniczy i tych, którzy wedle proponowanych recept zadawać mają tam lekarstwa. Zakładem tym ma być szkoła i to przede wszystkim szkoła początkowa czyli ludowa, a służbę lekarską pełnić mają jej nauczyciele.

Wielki to niezawodnie dla szkoły i nauczycieli zaszczyt i wielki zaufania dowód; zachodzi jednak pytanie, czy zaufaniem tém zaszczycona i zaszczyceni, nawet przy najlepszej chęci, zdołaliby mu odpowiedzieć i spełnić to zaszczytne zadanie.

Spróbuję skreślić tu przynajmniej w zarysie obraz tego zadania, jakie wedle owych, zalecanych z różnych stron recept, przypadłoby do spełnienia szkole ludowej i jej nauczycielom.

Chów bydła i koni jest niezawodnie bardzo ważną gospodarstwa gałęzią; w naszym kraju, zwłaszcza u ludu wiejskiego,

podnieśćby ją należało. Jakoż podczas sejmiku naszego w r. 1866 ówczesny poseł grodecki z mniejszych posiadłości, ks. Trzeszczakowski złożył do łaski marszałkowskiej i uzasadniał w Izbie wniosek, aby kandydaci na nauczycieli szkół ludowych w zakładach, w których pobierają wykształcenie, uczyli się także weterynaryi.

Nie pomnę już, czy wniosek był przedmiotem obrad sejmiku, ale później urządzano często podczas wakacyi w różnych miejscach poszczególne dla nauczycieli kursa tej nauki.

Gospodarstwo rolne mniejszych właścicieli potrzebuje także podniesienia. Jakoż kandydaci na nauczycieli ludowych uczą się po seminariach rolnictwa, aby kiedyś, lubo niejedyn nie będzie miał ani piędzi ziemi, nie własnej lecz szkolnej, stali się wzorowymi dla ludu agronomami. Urządzano też w tym celu dla nauczycieli kursa wakacyjne w Dublanach, a świeżo pojawił się także projekt stałych dla przyszłych nauczycieli w tej szkole agronomicznej kursów, na które uczęszczaliby seminarzyści po złożeniu egzaminu dojrzałości z celującym postępem, przez rok czy dwa lata.

Upada znów jaka gałąź gospodarstwa np. pszczelnictwo, nauczyciel ma być pszczelarzem, sadownictwo, niech będzie sadownikiem, a niepowinien zaniedbywać i ogrodnictwa.

Lud mało dba o zdrowie, bo nie wie czego przestrzegać, aby go nie narażać na szkodę. To też jedno z towarzystw lekarskich proponowało połączenie w seminariach nauczycielskich nauki pedagogiki z nauką anatomii, fizyologii, patologii i higieny i poruczenie udzielania tych nauk lekarzowi.

Ważną dla dobrobytu jest nauka, zwana ekonomią polityczną. Jakoż gdy w komisji szkolnej Rady państwa obradowano nad ustawą szkolną a szczegółowo nad seminariami, pojawił się tam był wniosek, aby i tę naukę wciągnąć w porządek nauk seminariom przepisanych i tylko po uwagach ówczesnego ministra oświecenia, który przedtém sam był profesorem uniwersyteckim tej nauki, zaniechano wniosku. U nas poruszono także tę sprawę w dziennikach, a nawet osobne o niej pojawiały się pisma. Przypominam sobie, że na jednym z kongresów ekonomistów była także mowa o rozpowszechnianiu zasad tej nauki za pośrednictwem szkoły; a gdy już mowa o kongresie, tedy nie zawadzi i o tem wspomnieć, że na kongresie statystyków, jeśli się

nie myślę, odbyłym w Peszcie, mówiono o potrzebie obznajamiania ze statystyką uczniów szkoły nawet ludowej.

Lat temu kilka, kiedy jeszcze nie było szkoły leśnictwa we Lwowie — odbywały się w tutejszej akademii politechnicznej wykłady o leśnictwie. Ze względu na ważność sprawy w gospodarstwie krajowym zaproszono i uczniów seminaryum do korzystania z wykładów. Brak czasu nie pozwolił uczynić zadość zaproszeniu.

Stenografia zdobywa sobie coraz szerszy zakres. Twierdzą niektórzy, że za lat kilkadziesiąt zastąpi dotychczasowy sposób pisania. Towarzystwo stenografów lwowskich pragnęło i seminarzystom podać sposobność obznajomienia się z tą sztuką; ale znów brak czasu stanął na przeszkodzie.

W pierwszych latach po urządzeniu tutejszego seminaryum przedłożono mi projekt nauki gospodarstwa domowego, z którym i do władzy szkolnej się udawano. Autor projektu był gotów bez pretensyi wykładać swą naukę, mającą znacznie przyczynić się do podniesienia bytu materialnego i samych nauczycieli, a za ich pośrednictwem i ludu wiejskiego. Znowu brak czasu nie pozwolił korzystać z tej gotowości.

Zalecano także hodowanie jedwabników, jako gałąź intratną; uczono też po dawniejszych preparandach, a później i w seminaryach gdziekolwiek jedwabnictwa.

W jednym z dzienników wiedeńskich — lat temu kilka — czytałem doniesienie, że wieśniak jakiś, nie stanawszy na terminie sądowym z niewiadomości, przegrał sprawę. Zawyrokował więc dziennik, że szkoła ludowa obznajamiała powinna uczniów z przepisami postępowania sądowego, a nawet z ważniejszymi ustawami, powinien też nauczyciel nabyć ich znajomości w seminaryum. Dały się też i u nas świeżo słyszeć głosy, że dobrzeby było, aby uczniowie szkoły ludowej rozumieli pisma urzędowe, wójtom doręczane, a nawet aby się przysposobić mogli na pisarzy gminnych.

Rok temu, mniej albo więcej, obradowała w Wydziale krajowym tak zwana ankietka, mająca na celu zbadanie sprawy górnictwa w kraju. Uchwaliła też ta ankietka między innemi rezolucyą, aby już w szkole ludowej obznajamiała uczniów z początkami geologii.

Lud nasz nie umie oszczędzać; trapi go lichwa, grozi wywłaszczenie; a i naród w ogóle w cnocie oszczędności nietęgi. Pojawił się też przed kilku laty pomysł uczenia w szkołach oszczędności jako osobnego przedmiotu, z któregoby uczniom wpisywano do świadectw postępy — niedawno zaś projekt zaprowadzenia po szkołach ludowych kas oszczędności, zapomocą których dzieci, wnosząc to co im rodzice dają na przekąski, lub co w ogóle dostają od nich, od krewnych i osób życzliwych, ćwiczyłyby się i w poskromieniu skłonności, panowaniu nad sobą i w oszczędności. Nauczyciel byłby zawiadowcą kasy i odebrałby w tym celu pewne przysposobienie w seminaryum.

Gdzieindziej poruszono myśl połączenia z każdą szkołą ludową pracowni, warsztatów i zwrócono uwagę, że nauka dobre wyda w tym kierunku skutki, jeśli nauczyciele ludowi znać będą pewne rzemiosła. U nas zajęto się ostatnimi czasy tak zwanym przemysłem domowym; być może, że pojawi się projekt kształcenia nauczycieli i nauczycielek ludowych w poszczególnych tego przemysłu gałęziach..

Takie to rozliczne pretensye ma świat do szkoły ludowej i jej nauczycieli; ma ona i oni uczynić zadość najróżnorodniejszemu potrzebom życia, a jak już poprzednio powiedziałem, leczć tem samem różne braki i dolegliwości.

A czegoż już dziś uczą się w seminaryach kandydaci na nauczycieli szkół ludowych?

Porządek nauk określił Statut organizacyjny, przepisany seminaryom w r. 1874. Uczą się tedy seminarzyści: 1) religii, 2) pedagogiki, dydaktyki na podstawie psychologii i logiki, historii pedagogiki i ustawodawstwa szkolnego, 3) języka polskiego, 4) niemieckiego, w części wschodniej kraju i 5) ruskiego, 6) geografii, 7) historii powszechniej i konstytucyjnych urządzeń państwa, 8) matematyki i geometryi, 9) historii naturalnej z somatologią, 10) fizyki z chemią, 11) gospodarstwa rolnego, sadownictwa i pszczelnictwa, 12) pisania, 13) rysunków, 14) gry na skrzypcach, 15) śpiewu, 16) gimnastyki teoretycznej i praktycznej.

Nadto ćwiczą się w praktyce nauczycielskiej, przyspasabiając się do niej w osobnych godzinach pozaszkolnych pod kierownictwem nauczycieli.

Jako nauki nadobowiązkowej mogą się uczyć gry na organach, a jeśli mają początki na fortepianie, zakład ma nastreczyć im sposobność do dalszego się wykształcenia.

Gdzie jest sposobność, seminarzyści mają się obznajomić ze sposobami udzielania nauki dzieciom głuchoniemym, ślepym i głupowatym, aby kiedyś mogli je przysposabiać do odpowiednich zakładów, a również wedle możności poznać powinni urządzenie zakładów dla dzieci zaniedbanych, ochronek i ogródków freblowskich. Wreszcie mają się władze postarać o to, aby seminarzyści w czasie pobytu w zakładzie nauczyli się pływać.

Czyż już ten sam program nauk nie nadto obfity, zwłaszcza, że przepisany naszym seminaryom do wyczerpania w trzech latach? Czyż nie potrzeba wyężenia wszystkich sił, aby już temu podołać zadaniu; aby zostać nie tylko nauczycielem — pedagogiem, lecz zarazem rysownikiem, muzykiem, śpiewakiem, gimnastykiem, agronomem, sadownikiem, ogrodnikiem i pszczelarzem, chociażby tylko jakim takim, na mały tylko, że tak powiem, rozmiar?

Dodajmyż do tego jeszcze owe powyżej wymienione pretenzje: owę weterynaryą, anatomią, fizyologią, higienę, ekonomią polityczną, statystykę, prawo, geologią i jak im tam jeszcze na imię, tedy mimowoli przypomina się plan naukowy, podany w powieści Niemca Karola Immermanna pod tytułem: *Münchhausen*, podług którego kształcił się bohater, potomek słynnego ze zmyślań Münchhausena. Ten opisując gospodarzowi, u którego gości, młodość swoją, kreśli następujący porządek nauk, których go uczono: „Rano: filologia, geometrya, alchemia, technologia, historia państw poszczególnych, historia powszechna, fizyka, matematyka, statyka, hydrostatyka, aerostatyka — po południu: literatura, poezya, muzyka, plastyka, feloplastyka, nauki pożyteczne — wieczorem: gimnastyka, hipiatryka, medycyna, a mianowicie anatomia, fizyologia, patalogia, semiotyka, biotyka, materya medyczna — w nocy: powtarzanie, experymenta i dysputy. Przy takim planie nauk — powiada Münchhausen — mogłem potrosze pochwytać.“ „Kiedyżeś spał baronie?“ zapytał zdziwiony gospodarz. „Kiedy niekiedy kwadransik podczas lekcyi łatwiejszych przedmiotów“ odrzekł zapytany. *Tout comme chez nous!* kubek w kubek wyglądałby tak i plan nauk, gdyby go zastosowano do owych rozlicznych pretenzji, z jakimi występują dziś z różnych stron do szkoły ludowej i jej nauczycieli.

Czyż to zarazem nie wyborna satyra na nowoczesne plany naukowe i szkół publicznych i zakładów prywatnych, rywalizujących ze sobą za pomocą umieszczania w planach naukowych najrozmaitszych przedmiotów, z których najczęściej pozostają w pamięci tytuły nauk i nieznaczne okruszyny, ze wszystkiego „potrosze pochwycone,” w głowie zamęt, jak u owego studenta w Fauście Getego, zamęt wyrażony w słowach: „*Mir wird von alle dem so dumm, als ginge mir ein Mühlrad im Kopf herum,*“ a w sercu próżnia i chłód.

Przed nie wielu laty lekarz i profesor anatomii w uniwersytecie lipskim, dr. Bock w wykładzie dla publiczności, okazując preparowane mózgi dzieci, zmarłych w ciągu nauki szkolnej, wzywał rodziców do litości nad dziećmi, aby ich zawcześnie nie zaprzęgali do nauki i nie obarczali różnorodnemi przedmiotami!

Wezwanie to ciągle należałoby powtarzać; a również, mając na względzie przyszłych nauczycieli szkół ludowych, przychodzi także — niestety sam nie wiem — czy owych projektowiczów, błagać o litość nad przyszłymi nauczycielami czy téż Pana Boga o zmiłowanie się i oświecenie rozumu tych pochopnych dostarczycieli rozlicznych projektów! Gdyby bowiem usłuchano tych rad wszystkich, wówczas niezawodnie znacznieby się podniosły koszta leczenia chorych w zakładach obłąkanych, koszta już dziś tak znaczne, że przerażały sejm nasz na ostatniej sesyi, i przyszkoby nietylko znów przywrócić zwinięte w Przemyślu i Żółkwi filie, lecz zapewne potworzyć jeszcze nowe na umieszczenie tych nieszczęśliwych ofiar, których dostarczyłyby szkoły.

Ci zaś, którzyby wyszli z tych oparów duchowych cało, istni dobroczyńcy społeczności i lekarze różnych jój słabości, oraz istni proteusze, bo każdy z osobna nauczyciel-pedagog, rysownik, muzyk, gimnastyk, weterynarz, anatom, fizyolog, patolog, więc niby coś nakształt lekarza-partacza, agronom, sadownik, ogrodnik, pszczelarz, ekonomista, statystyk, leśniczy, niby prawnik, geolog itd. w jednej osobie — pobieraliby zapewne ze względu na obciążony budżet krajowy za te rozliczne krajowi oddane usługi i przysługi, po 300 zł. w. a. rocznej płacy!

Zygmunt Sawczyński.

ARLEKIN.

FANTAZJA KARNAWAŁOWA.

Gabinet boczny rzęsiście oświetlony. Z dalszych sal maskaradowych dolata odgłos hucznej i wesołej muzyki, z sąsiedniego zaś pokoju brzęk trącanych kieliszków i chór hulaszczy.

CHÓR (w sali, obok).

Precz świata zabiegi,
Z losami precz harce!
Gdzie gwaro,
Tam tonie
W piosence ich zgrzyt.

Patrz, szampan po brzegi
Już perli się w czarce;
Myśl czarną
On chłonie —
I rozpacz — i wstyd!

ARLEKIN

(wchodzi chwiejnym krokiem, wachlując się chustką).

Powietrza!... Żar ten, co o płuca trąca,
Żar wina, światła, jak para gorąca
Warzy mi w żyłach płyn — świat krwią go mieni...
Kłamstwo — to szampan! Do lancet, uczeni!

Krużkę mi pełną utoczcie téj cieczy
I pijcie!... Klnę się, wnet watek Wszech-rzeczy
Jasnym wam będzie tak, jak dziś mi jasno
W duszy méj... Wobec blasku tego gasną
Mędrków pomysły mgliste... Dość omamień!
Filozoficzny odkryłem dziś kamień
I w gruz runęła doktrynerów pycha:
Szczęście — w żołądku i — na dnie kielicha!

(Po chwili.)

Dość, arlekinie, nie bredź!

(Siada.)

Walc mi ucho
Pieści i łechce... Wolę, niż jak głucho
Szakał Boreasz jęczy mi na stryszk...
Wyj — tu szaleje walc.
Na dnie, w kieliszku,
Niebo!

GŁOS DZIECKA (z powietrza).

Gdzie tato? Ah, jak na kominku
Wesoło pryska ogień.

ARLEKIN.

Zaśnij synku,
Zaśnij... Twój tato łotr!
Dziecino, wierzę,
Spać ci nie dają blaszani żołnierze
I pajac skoczny — nieprawdaż, mój mały?

(Ponuro.)

Gryzłeś chleb twardy... jeśli był; kawały
Szmata kryć nie mogły ciała, a ta Święta,
Twa matka, w dłoniach grzała ci nóżeta...

(Z czułością.)

Lecz dziś wieczorem tato, jak ów z białą
Brodą dziateczek patron, drobne ciało
W ciepłą przyodział sukienkę — wychudłą
Pogłaskał główkę — i zabawek pudło,
I jabłek sporo i słodziuchnych grzanek
U nędznych, malcze, złożył ci kolanek...
Oh! (Zrywa się.)

Zaśnij synku... Twój tato łotr!

Wczora

Nędzarz — dziś hula... W izbie żona chora
Szłocha... Niech czeka! Wszak jam tęsknił lata
Do jednéj chwili weselszój... Lecz świata
Twarz, to twarz Fauna; jeśli się uśmiecha,
Szyderczo szczerzy zęby...

Milecz; jak klecha

Gorzkie zawodzisż żale; schrypniesz jeszcze...
Wolisz pójść — dolać — i rozgrzać te dreszcze.

(Idzie ku drzwiom.)

GŁOS KOBIECY (z powietrza).

Mężu!

ARLEKIN (stając nagle).

Jak lichy rzępoli hołota!

Wśród pauz mi echo jakieś głosy miota
Do ucha — głosy płaczliwe... Przebiegły
Szatan z tych ścian mi powysuwał cegły,
By lada szept je przebił, skroń mi potem
Zlewał...

Kapela grzmij! Ja sypię złotem!

(Po chwili.)

Nie płacz, Anulku... Wszak od godzin kilku
Nie mrzesz już z nędzy... a ja... no, o wilku
Mowa... ten żar ja muszę zgasić!... Czekasz
Chora? — Masz winą flaszkę, jak chciał lekarz;
Głodnaś? — Anulku, sięgnij, jest chléb, szynka;
Zimno ci? — Dorzuć węgla do kominka;
Słowem, opływasz w zbytki.

(Ogląda się trwożliwie.)

Nikt nie słyszy?...

Nie, ja — sam, w skórze błazna łotr!

(Nagle, wzdrygnąwszy się.)

O, ciszej...

Ktoś wspomniał sądy...

Bredzę...

(Z idyotycznym uśmiechem.)

Sprytna sztuka

Nad sztuki! — Głupcy! — Niech pryncypał szuka...

Nie na tom dzwonił lata w głodne szczęki,
By mnie ujęto piorunem, od ręki!
Więc — pić!... Na własnej uraczę się stypie...
Kto krzyknął: hołysz?

Wina! Złotem sypię!

(Tajemniczo.)

Pryncypał bankier... kasa tam bogata...
Więc kantorzystą... pan!

GŁOS KOBIETY.

Ach, mężu!

GŁOS DZIECKA.

Tata!

ARLEKIN (z wzrastającym obłędem).

Milcze! — —

Trybunał — strasznym jest, gdy bada:
„Mówcie oboje! Naprzód ty — ty błada,
Mów, zdradź go, wydaj, okuj go w kajdany!...
Pójdź, malcze, powiedz, czém tato kochany?...“
Cóż odpowiecie?

On — złodziej?! (Pada na kolana.) O, łaski!

CHÓR (w sali, obok).

Patrz, szampan po brzegi
Już perli się w czarce;
Myśl czarną
On chłonie
I rozpacz — i wstyd!

GŁOSY MIESZANE BIESIADNIKÓW.

Arlekin — gdzie nasz arlekin?!

ARLEKIN (zrywa się z kolan, z najeżonym włosiem).

Te wrzaski! — —

Ha! Już mnie tropią wyżyły — — —

(Z obłąkaniem.)

Długie palce

Każdy wyszczerza kąt — — już jak padalce
Suną się ku mnie wężem po podłodze — —

Chwytają — — duszą — —

(Biegnie ku drzwiom.)

GŁOSY BIESIADNIKÓW (za drzwiami).

On tam!

ARLEKIN (wstrzymuje się).

Ha!

(Chwyta się oburącz za głowę).

Uchodzę!!

(Rzuca się ku oknu i skacze.)

GARSON (wbiegając).

Tam proszą pana... Znikł?!

Dziwo gotowe!

(Spostrzega otwarte okno).

Boże!

(Przechyla się z okna na ulicę, z przerażeniem.)

Szalony!... O bruk strzaskał głowę!...

Aureli Urbański.

SŁÓWKO O WAŻNOŚCI LASU.

Głównym płodem lasu jest drewno, które należy do rzędu tych potrzeb, bez których obejść się nie możemy w klimacie naszym, w naszym życiu domowym i przemysłowym, bo nietylko potrzebujemy drewna do ugotowania strawy codzienną i do ogrzania mieszkań naszych w zimie, ale gdzie tylko okiem rzucimy, tak w najbliższym jak i dalszym naszym otoczeniu, wszędzie dostrzegamy użycie drewna. Domy nasze są zbudowane albo w zupełności albo w wielkiej części z drewna; sprzęty, narzędzia, które mamy ciągle pod ręką, są przeważnie drewniane, a nawet te przedmioty, które są sporządzone całkowicie, albo głównie z metalu, zawdzięczają zazwyczaj drewnu swoje powstanie, bo zostały utworzone przy pomocy ciepła, wywiązującego się z drewna. Od kolebki do grobowej deski zostaje drewno w ciągłych naszych usługach.

Las jednak nie służy jedynie i wyłącznie do pozyskania drewna i innych płodów, będących przedmiotami potrzeb życia codziennego. Las prócz tego zajmuje znakomite miejsce w ekonomii przyrodzonej kraju. On bowiem czyści powietrze z nadmiaru gazów szkodliwych, łagodzi skrajności gorąca i zimna, łamie prądy wiatrów szkodliwych, przyczynia się do regularniejszego rozdziału opadów atmosferycznych, wywiera wpływ rozbrajający na elektryczność powietrza, przytrzymuje wodę w glebie, zasilając nią źródła i ochraniając od niszczących wylewów.

Ależ czy nie przyczynia się także las do ozdoby kraju, upiększenia siedzib naszych; czy nie staje się on dla nas także potrzebą duchową? Gdzież poeta snadniej czerpie natchnienie, malarz twórczość? gdzież duch człowieka wzbija się chyżej ku Stwórcy, jak nie pod sklepieniem drzew niebotycznych, przy towarzyszeniu ich tajemniczego szmeru?

Pojmiemy więc łatwo, dlaczego u wszystkich narodów cywilizowanych zostaje las pod opieką prawa, dlaczego niszczenie lasu jest cechą barbarzyństwa. Nie zadziwi już nikogo, dlaczego od leśnika żąda się dziś tak rozległej wiedzy; do jego bowiem rąk przywiązany jest dobrobyt i pomyślność krajów, błogosławieństwo lub klątwa całych pokoleń.

Świadcami tego są kraje o kwitnącej niegdyś kulturze, jak: Mała Azja, Grecya, Sardynia, Sycylia, Hiszpania, Kampania rzymska, Karst i inne, które nierozważnym оголоceniem z lasów, zamienione zostały w istne pustynie.

Jeden z podróżników niemieckich wyraża się tak o tych krajach: „Chciałbym tylko, żebyście je widzieli, tak jak ja na nie patrzałem. Cierniste, siwowłose krzaczyska, z liściem twarzym jak skóra, pokrywają pagórki i góry. Prócz kozy, nie znajdzie tam pożywienia żadna inna trzoda; ptaki śpiewające stronią od tych miejsc bez cienia, które niegdyś urodzajną były pokryte ziemią; dziś, gdy takową deszcze pospłukiwały ze skał, nagie ich grzbiety sterczą coraz więcej z pomiędzy krzewisk ciernistych. Łożyska rzek, koryta potoków napotkasz wszędzie, ale wody w nich nie ma, bo źródła, które ongi lasy zasilały, zniknęły zupełnie; jeszcze widzieć można mosty, wznoszące swe sklepienia po nad rzeki wyschłe i świadczące, że kiedyś były potrzebne, dziś wyglądają jakby na igraszkę postawione budowle bez celu.“

Odnawiajcie więc i pielęgnujcie lasy, bo jak poeta mówi:

Leśny siew — to Boży siew!

Henryk Strzelecki.

ATTALIDZI I LITERACI

W PERGAMON.

Dnia trzeciego sierpnia roku ubiegłego obchodzono w Berlinie uroczyscie pięćdziesięcioletnią rocznicę istnienia tamtejszych muzeów. Tem większą była radość zarządu, władz i całej ludności, ponieważ właśnie rok jubileuszowy wzbogacił zbiory muzealne takimi zabytkami sztuki starożytnej, jakimi się stolica niemieckiego państwa dotychczas poszczycić nie mogła. Sprowadzone w tym roku z Pergamon skulptury, szczątki architektoniczne i napisy — te bowiem mam na myśli — są nabytkiem pierwszorzędnej wartości i godnie stają obok skarbów Watykanu i Florencyi, obok skarbów Luvru i Brytyjskiego muzeum.

I nie tylko estetyk cieszyć się winien ze świetnego wyniku poszukiwań i badań niemieckich uczonych w azyatyckiej stolicy, między którymi na pierwszym miejscu wymienić słusznie należy architekta Humann'a, obok niego znanego archeologa Conze'go, a w dalszym rzędzie pp. Bohn'a, Raschdorff'a, Stiller'a i innych. Nie mniejszą korzyść odniesie dziejopis, zajmujący się epoką następców Aleksandra, mianowicie rozwojem sztuk, nauk i życia umysłowego w przepysznych rezydencyach diadochów. Ogromny ołtarz marmurowy na akropolii pergameńskiej, tak bogato przyozdobiony wspaniałemi rzeźbami, przedstawiającemi walkę bogów z gigantami, jak uchodził ongi, w późnych wiekach starożytności, za jedno z dzieł sztuki najbardziej godnych podziwu, tak stanie się dla nas mimo zniszczenia fundamentem w rekonstrukcyi i ocenie hellenistycznej architektury i plastyki.

Dla któregoż wreszcie badacza literatury i dziejów Hellady nie posiada nazwisko Pergamon uroku i wdzięku! Wszakże to ta stolica przez blisko wiek cały była jednym z głównych ognisk ruchu naukowego ówczesnego świata, wszakże tutaj w Pergamon krzątało się pilnie wielu uczonych nad zebraniem i obrobieniem klasycznych pomników narodowego piśmiennictwa helleńskiego i tutaj zabezpieczono ich egzystencją na długie wieki! Jakże więc dla nas jest cennem, że odtąd nietylko w myśli, na podstawie szczupłych doniesień literackich będziemy mogli sobie odtworzyć stolicę Attalidów, lecz że poniekąd na jawie nam się ona okaże i zmysłowo, że tak powiem, uwydatnią się nam wielkopomne czyny zacnych i dzielnych władców pergameńskiego państwa!

Słusznie porównywano Pergamon z Florencją, a Attalidów z Medyceuszami. Nie narodu lub stosunków, lecz głównie dynastji Attalów było dziełem i zasługą, że tu w dolinie Kaiku, w nieznanym niemal zakątku świata, między ludnością mieszaną, mimo jak najtrudniejszych warunków i okoliczności czasu, wobec ciągłych walk z potężnymi wrogami powstało, wzmogło i utrwaliło się państwo dobrze uorganizowane, rozwinął się przemysł i wzrósł dobrobyt u wszystkich klas ludności w licznych a pięknie pobudowanych miastach, że tu zakwitły sztuki i nauki w tym czasie, kiedy w kraju macierzystym narodu helleńskiego nie było już ani sił, ani zasobów, ani chęci do rzetelnej pracy literackiej lub artystycznej.

Wśród brudów i kału w dziejach dynastji, które między siebie podzieliły i wzajemnie sobie wyrwały dziedzictwo Aleksandra, świeci ród Attalów zupełną niemal czystością obyczajów, szlachetnością zamiarów i dążeń, znakomitością i znaczeniem osiągniętych rezultatów. Pochodzenie tego rodu było skromne i nieznaczące.

Przy końcu czwartego i na początku trzeciego wieku przed nar. Chr. żył niejaki Philetairos, rodem z Bitynii. Na on czas przywłaszczył sobie panowanie w Tracji i nad Pontem oraz w Górnej Azji Lysimachos, jeden z jenerałów zmarłego Aleksandra. Tenże Lysimach powierzył skarb znaczny Philetairowi, aby go strzegł w warowni pergameńskiej. Gdy atoli Lysimachos za namową swjej żony Arsinoj własnego zabił syna z pierwszego małżeństwa i gdy skutkiem ucieczki wdowy po tymże, Lysandry

nazwiskiem, na dwór syryjskiego króla Seleukosa wszczęła się walka pomiędzy Seleukosem a Lysimachem, Philetairos stanął po stronie Seleukosa i wśród niepokojów i rozruchów, jakie wtedy panowały ogólnie w całym świecie, zdołał się utrzymać jako udzielny pan pergameńskiej cytadeli, miasta u stoku jęj położonego i okolicy, przez lat dwadzieścia, aż do swęj śmierci w r. 263. Następcy jego: Eumenes, bratanek, który rządził przez lat dwadzieścia i dwa, aż do r. 241, Attalos I, który panował lat czterdzieści i trzy aż do r. 197, przybrawszy króla miano, następnie Eumenes II, od r. 197 — 159, Attalos II, Philadelphos, od r. 159 — 138 i Attalos III, Philometor, od r. 138 — 133 utrwalili władzę, przez przodka swego nabytą i rozszerzyli nieznacznie swoje dominium, będąc wiernymi sprzymierzeńcami Rzymian w ich walce z macedońskimi i syryjskimi królami. Oni tęż zdołali odeprzeć napady hord dzikich Gallów czyli Galatów, którzy pomiędzy Olimpiadą 120 a 125 pustoszyli Tracyą, Macedonyą i Tessalią, a w trzecim roku Olimpiady 125 przeprowadzili się gromadnie przez morze do Górnęj Azyi.

Atoli nie zdobycze i czyny wojenne stanowią główną ozdobę imienia Attalów, i nie o to nam tu chodzi, jakie oni boje toczyli i jakie zajmowali stanowisko w ówczesnych politycznych zamieszaniach. Co się przedewszystkiem składa na wieniec ich sławy, są wspomniane już usiłowania podniesienia różnych gałęzi przemysłu, są wspaniałe gmachy i pomniki, które wystawić kazali, jest troskliwa opieka, którą roztoczyli około sztuk i nauk, jest pomoc, którą udzielali mężom wiedzy.

Charakterystycznem to jest niezawodnie znamieniem epoki hellenistycznęj, że literatura potrzebowała już wtedy opieki, aby mogła w ogóle istnieć. W dobrych czasach Hellady czerpała poezya i czerpały inne sztuki soki żywotne z ludu, były wspólną własnością ogółu, czyniąc zadość jego potrzebom i pragnieniom. Z upadkiem zaś politycznej samodzielności i swobody stracił duch narodu greckiego podstawę narodową i właściwą sobie, indywidualną formę, z którą był ściśle związany i nie mógł już wydać owocu sam ze siebie, lecz potrzebował podniety nadzwyczajnej i sztucznego substratu, potrzebował cienia łaski monarszej, aby zrodzić i wypiełgnować jaką roślinę. Odtąd literatura nie wyrastała z pewnej miejscowości, nie wypływała z naturalnych danych, nie była wyrazem usposobienia ogółu, lecz tylko pewnych

kół, które się garnęły do pracy umysłowej. Teraz dopiero wytworzyły się różnice stanów między ludnością wolną, i w obec nielicznej klasy ludzi zamożnych i światłych stanęła masa ludu ciemnego, nie mająca żadnego ideału, nie czująca potrzeby duchowego pokarmu.

Pod niejednym względem stanowi panowanie Aleksandra Wielkiego, stanowią wstrząśnienia wywołane silną jego dłonią przeział między światem starożytnym a nowożytnym, i okres hellenistyczny nie jest już epoką dziejów starożytnych. Jest to epoka przełomu, łącząca w sobie najistotniejsze przeciwieństwa. Tu widzimy razem śmierć i życie, upadek dawnych żywiołów i zarodki nowych, bogactwo i największą nędzę, miłość ojczyzny obok kosmopolityzmu, żądę wolności obok despotyzmu, cywilizacyą wysoką obok surowych wyobrażeń i zdziczenia umysłów.

W epoce swego rozkwitu nie znał Grek nic innego, jak tylko świat tegoczesny, ziemski; wszystko czerpał on ze świata zmysłowego, wszystkie idee przedstawiał sobie cielesnie i zmysłowo. Teraz w upadku dopiero przyszła mu świadomość o przeciwieństwie świata zmysłowego i nadzmysłowego, i wszędzie, we wszystkie stosunki i położenia, we wszystkie nauki i sztuki wdierał się ten dualizm, który go ubezwładniał, którego on pokonać nie umiał. Życie nie nastroczało żadnych motywów, któreby artyści i poeci opracować mogli; wśród szamotania się ciągłego z nowymi żywiołami, z którymi się naród teraz spotykał, skutkiem rozerwania i rozpadnięcia się harmonii, jaka przedtem istniała, nie mieli oni skąd czerpać natchnienia. Ten brak ożywczej siły starali się przeto zastąpić erudycyą; czując całą próżnię obecnej chwili, zwrócili się do tej prawdziwie pięknej przeszłości i reprodukując ją to w ten, to w ów sposób, wypełniali niedostatki swego czasu i usiłowali zaspokoić swe żądze i pragnienia. Wszelka przeto działalność literacka i artystyczna wymagała nauki i przygotowania się, musiała wyjść z szkoły i nie mogła się obyć bez środków, których jeno mogli dostarczyć bogaci królowie i zamożne gminy miejskie.

Różne niezawodnie pobudki skłaniały królów i książąt do objęcia roli protektorów sztuki i nauk; jedni z prawdziwego zamiłowania do rzeczy byli mecenasami, innymi próżność powodowała, wszystkimi zarówno kierowała emulacya i rywalizacya wzajemna. Bądź jak bądź, jednym z najbardziej pocieszających

objawów tego smutnego okresu jest zainteresowanie się władców sprawami nauk i cywilizacyi, udzielenie Muzom przytułku i schronienia. Bez tego pieniężnego i moralnego wsparcia hellenistycznych książąt bodajby nawet pomniki klasycznej narodowej literatury były się przechowywały do epoki bizantyńskiej.

Pierwsze miejsce w rządzie opiekunów nauk zajmują egipscy Ptolemeusze; obok nich zaś umieścić się godzi Attalidów. Działalność tychże była mniej skuteczną w rezultatach, aniżeli usiłowania następców Pharaonów. Pamiętając wszelako o tém, że Pergamon nie dorównywał Alexandryi, a państwo Attalidów Egiptowi, że wszystko w krainie pergameńskiej było kreacją dynastyi i następstwem rozumnych jój rządów, nie będziemy mogli odinowić Attalidom szczególniejszego naszego uznania. Wiemy téż z wiarogodnych źródeł, że członkowie ich rodziny przykładali się pilnie do nauk, że się odznacжали osobiście wykształceniem i darem wymowy. Dwóch królów próbowało sił swoich w zawodzie pisarskim. I Attalos I. i Attalos III. napisali dzieła treści przyrodniczej; studia przyrody szczególną bowiem cieszyły się opieką na dworze pergameńskim. Eumenes II. założył gabinet zoologiczny, wydając znaczne sumy na sprowadzenie i zakupienie nadzwyczajnych i rzadkich zwierząt. Dziwić nas przeto nie może, że Nikander, znany autor dydaktycznych poematów treści przyrodniczej i mitycznej, poświęcił ksiąg kilka ostatniemu z rodu Attalów. Nikander należy do liczного grona uczonych i poetów, których dwór pergameński w koło siebie gromadził i popierał. Oprócz Nikandra godnymi są wzmianki z pomiędzy Pergameńczyków matematyk Apollonios, historycy Neanthes z Kyziku i Lysimachos, epik Musaios z Efezu, Leschides, również poeta i inni. Filozofia stoicka zapuściła w Pergamon tak silnie korzenie, jak może nigdzie zresztą. Wpływ jój objawia się w gramatycznych, krytycznych i exegetycznych pracach pergameńskich badaczy. Najsławniejszym z wszystkich jest Krates z Mallos, przeciwnik znanego Aristarcha, przywódca partyi Anomalistów, których walka z Analogistami, uczniami i zwolennikami aleksandryjskiego gramatyka i twórcy filologii, w skutku swym miała ustawienie i określenie pewnych pojęć i zasad gramatycznych. Jak Aristarch, tak samo i Krates zwrócił się szczególnie do Homera i trudnił się emendacją i exegezą jego poematów.

Przekroczyłbym słuszne granice niniejszego szkicu, rozbierając różnicę naukowych zapatrywań Aleksandryczyków a Pergameńczy-

ków, tłumacząc istotę sporu o principium w budowie języka, wyjaśniając, które powody Aristarchejczyków skłaniały do uznania ładu i zupełnej regularności, czyli analogii w tworzeniu się i odmianie wyrazów, a dla których przeciwnie powodów Kratejczycy anomalia, czyli nieregularność, zastosowywanie się do zwyczaju i do mowy potocznej przyjęli za dogmat. Nie myślę również wyłuszczać zasad, któremi kierował się Krates w ukonstytuowaniu tekstu Iliady i Odyssei. Dość zaznaczyć, że nie był tak ścisłym gramatykiem, jak Aristarch; był on raczej filozofem, i w interpretacji głównie realną stronę miał na oku. Idąc za przykładem Stoików, a zwłaszcza Chrysippa szukał w wierszach Homerskich epopei jakiejś tajemnej prawdy i starał się ją odkryć za pomocą alegorycznej i anagogenicznej interpretacji, która się utrzymała następnie przez długie wieki. Z rozległą wiedzą w najrozmaitszych gałęziach umiejętności ludzkiej łączył wielką bystrość i genialne miewał pomysły, które zadziwiają dziś jeszcze swą głębokością. Ale nie dość był rozważnym i krytycznym, a za mało twórczym, zbyt niedostateczne wreszcie miał środki, aby mógł być rozprawać wszechstronnie i uzasadnić naukowo trafne swoje idee. Wielkie on jednakowoż położył zasługi na polu geografii, które dopiero przed niedawnym czasem należycie zostały rozświecone.

Wysłany przez Eumenesa II. do Rzymu zabawił tamże czas dłuższy, miewał wykłady i zapoznał uczonych rzymskich z językoznawstwem i gramatyką; pobyt jego w Rzymie stanowi epokę w historii tamtejszych studyów antykwarycznych i gramatycznych. Wziął on także prawdopodobnie wespół z Antigonosem Karystiossem czynny udział w umiejętnem katalogizowaniu pomników literackich, które Attalidzi w stolicy swęj nagromadzili, nie szczędząc mozołu ani ofiar. Który z nich pierwszy założył księgozbiór, nie jest nam wiadomem. Namietnym zbieraczem dzieł był zwłaszcza Eumenes II. Ale on sam nie mógł zgromadzić tak ogromnej liczby ksiąg, jaka się mieściła rzeczywiście w pergameńskim Sebasteion. Donoszą nam, że Antoniusz 200.000 tomów z biblioteki pergameńskiej darował Kleopatrze i wywieziono je do Aleksandryi; zdaje się jednakowoż, że jeszcze znaczna część zbiorów pozostała na miejscu. Rywalizując z Ptolemeuszami w usiłowaniach stworzenia jak najobfitszej biblioteki napotykali Attalidzi na wielkie trudności. Podobno im podsuwano dzieła podrobione, a w Aleksandryi wyszedł zakaz wywozu papyrusu

z krain monarchii egipskiej. Attalidzi nie zrazili się temi przeciwnościami, owszem — wspomniany zakaz spowodował wydoskonalenie pergaminu, któremu głównie mamy do zawdzięczenia przechowanie klasycznej spuścizny literatur starożytnych we wiekach średnich.

Instytuty i stosunki aleksandryjskie lepiej nam są znane; aniżeli pergameńskie. Wiemy np. także, jakiego rodzaju zakładem było Museum tamtejsze. Museum łączyło w sobie poniekąd akademią umiejętności i uniwersytet. I w Pergamon istniał podobny instytut. Starożytni pisarze wspominają nam o kole literackiem, albo raczej o kołach — *kykloi pergameni* — ale nie dają żadnego bliższego wyjaśnienia. Żałując usilnie, że nas w tej mierze dokładniej nie poinformowali, zadowolić się musimy zaznaczeniem faktu, że w Pergamon, w trzecim wieku przed nar. Chr. uczeni i literaci schodzili się razem, aby wymieniać między sobą wzajemnie myśli i zachęcać się do pracy.

I nas ten sam złączył zamiar przed niedawnym czasem, a w tym zbiorowym albumie po raz pierwszy występujemy wspólnie, każdy ze skromnym darem, na jaki mu okoliczności zezwalały. Mój zaś dar tem skromniejszy, że nawet pobieżnie nie wyczerpiałem przedmiotu, biorąc wzgląd na szczupłość miejsca, przeznaczonego współpracownikom. Zarysowawszy tutaj tło, nie omieszkam kiedyś wyjaśnić innych stron działalności Attalidów, a zwłaszcza zasług położonych przez nich na polu sztuki, o których najdobitniej świadczą wykopaliska i odkrycia wspomniane na początku niniejszego artykułu.

Ludwik Œwikliński.

VANITAS VANITATUM.

URYWEK Z LIRYCZNEGO POEMATU p. n. „KRÓL SALOMON“.

Marność jest kłatwą ziemi syna,
A działem jego — nieświadomość,
A losem jego dzieł — znikomość,
A imię jego — proch i glina!

Próżno się kusi wzlecieć duchem
Z pyłu, gdzie trawi go tęsknota;
Próżno się zrywa i szamota,
Skowan glinianych pęt łańcuchem.

Dnie jego są jak dnie najemcy,
A jak sęp głodny jego serce,
I w wiecznej z sobą on rozterce,
I nie masz — nie masz mu rozjemcy!

*

I cóż ma człowiek z pracy swojej,
Którą się w trosce ducha bawi?
Co ziemskie, czas niszczący strawi,
A nic się przed nim nie ostoi.

Rozkosz i ból, co pierś nam wzdyma,
Mijają tak, jak szybkie łodzie;
Chwil kilka drży ich ślad na wodzie —
Uciekły już — i już ich nie ma!

*

Wirują światy w rączym pędzie
Wiecznym swym torem bez wytchnienia;
— Tak było w pierwszym dniu stworzenia,
Tak jest i dziś — tak zawsze będzie!

Wodę do morza znoszą rzeki,
Ta zaś je znowu chmurom zwraca;
— Od wieków trwa ta próżna praca
I będzie trwać po wszystkie wieki!

Do podmogilnych dążąc wczasów,
Kroczy wciąż ludzkość bez przestanku;
— Tak było w pierwszych dni poranku,
Tak będzie aż do końca czasów!

Plon zgonów chłonie żywot łąsy,
I w powrót śmierci plon oddawa;
— Tak chcą przyrody twarde prawa
Po wszystkie wieki — wszystkie czasy!

To, co żywota zwiem imieniem,
Co zwiem poczęciem i konaniem:
— Jest tylko prochów wirowaniem
I męką ciał — i utrapieniem!

— Szalony więc ten, komu zda się,
Że coś buduje lub wywraca;
Daremne trudy! próżna praca!
Wszystko już było kiedyś w czasie!

Znikomość jest dzieł ludzkich gońcem;
Co jest — to było już od wieka,
Co było — nowych wcieleń czeka;
Nowego nie masz nic pod słońcem!

Mijają ludzkie pokolenia,
Jak fale, gdy wiatr morzem zmęci,
I nie masz godów ich pamięci,
I nie masz bólów ich wspomnienia! —

*

Śmiechowi memu rzekłem: Szalój!
Sercu: Upoję cię weselem!
Rozkoszy rzekłem: Tyś mi celem!
A życiu: Kruż mi uciech nalój!

I piłem — piłem życia kruże
Ustami — sercem — całą duszą,
Myśląc, że wiecznie żądze kuszą,
I wiecznie kwitną wianku róże.

Lecz wkrótce minał szal zachwytu:
Powiedły róże i opadły,
I zmierzchły żądze me i zbladły,
I naszedł na mnie — cień przesytu.

Bo roskosz ziemską jest zwodniczą,
I leży na dnie jój znikomość,
I czarem jój jest nieświadomość,
A nasycenie jój — goryczą! —

*

Więc obróciłem żądz płomiennosc,
By poznać mądrość i umiętnosc,
I szal, i głupstwo, i namiętnosc,
Czy próżnia mianem ich? czy plenność?

Lecz gdym na szale wziął rozwagi
To, co stanowi treść żywota,
Złud oczom zmierzchła mym pozłota,
I świat był nędzny — szary — nagi!

I odleciało mnie wesele,
Jak ptak wiosenny, gdy śnieg pruszy,
I siadła żalosc w mojej duszy,
Płacząc na złudzeń mych popiele.

Bo kto przyczynia umiętności,
Przyczynia smutku i wąpienia,
A kto przyczynia doświadczenia,
Przyczynia wstrętu i gorzkości! —

*

Widziałem skrzętną gospodarność,
Co sen powiekom swoim kradła,
I chleb swój w ciągłej trosce jadła,
I miano jój nazwałem: Marność!

Widziałem płochą żądz łakomość,
Co motylemi goniąc ślady,
W swe własne się wikłała zdrady,
I dałem nazwę jój: Znikomość!

I zapytałem: Któraż z dwojga
Jest roztropnością? która szaleń?
Gdy jedna marność ich udziałem,
I jeden trud i kres obojga.

Bo równy dział jest tych, co skąpią,
Z tymi co trwonią swe dostatki,
I jako wyszli z łona matki,
Tak nadzy w grobów ciemnię wstąpią.

*

Widziałem szal wojennej sławy,
I pełne trupów bojowiska,
I stratowane końmi rżyska,
I strop pożarów łuną krwawą.

Widziałem mordów okrucieństwa,
I bojujących srogą mściwość,
I straszną wojen zapalczywość,
I wszystkie dzikich walk przekleństwa.

Widziałem moc, co ludy żenie
Na rzeź — i dumę jój zwycięską,
Że pochód swój znaczyła klęską,
A śladem biegło jój — zniszczenie.

A kiedym śledził pełen gniewu
Jój dróg — szedł czas pustkowie szlakiem,
Wiewając niepamięci makiem,
I budził nowy byt z jój siewu.

— Mogiły w darni upowiciu
Wieńczyły kwieciami swoje czoła,
I grała ptaszków pieśń wesola,
Psalm zwycięskiemu dzwoniąc życiu.

I urągały świeńszczyń pienia
Snom, które żądza sławy pieści,
I już nie było tam boleści,
A jeno spokój — zapomnienia.

— Więc rozbrojony zawołałem:
Wielkości! sławo! nie! czyż dymie!
Jałowy szal jest twoje imię,
A marność jeno twym udziałem.

Jak wicher mocny w burz godzinie
Szalejesz, krusząc życia kwiecie;
A tyle śladu twego w świecie:
Ile po wietrze — gdy przeminie!

*

Słyszałem uczt pijanych śmiechy,
Widziałem grzesznych powodzenia,
I sprawiedliwych utrapienia,
I łzy płynące bez pociechy.

Widziałem zacnych trudów klęski,
I mądrość w wzgardzie i ucisku,
I głupstwo cześć biorąc w zysku,
I bezmyślności bieg zwycięski.

Widziałem srogich krzywd sromotność,
I niezbadaną losów kolój,
Szaleństwo doli i niedoli,
I całą świata spraw przewrotność.

I szła śmierć dzieci ludzkich sadem,
I oszczędzając niedołęstwo,
Raziła młodość — piękność — męstwo,
I niema rozpacz szła jej śladem!

I szalał los jak górska woda,
I nie rządziła światem tkliwość,
Ni mądrość, ni też sprawiedliwość,
Jeno bezmyślność a przygoda! —

*

Więc rzekłem sercu memu: Wiera!*
Skoro tak wstrętną świata chromość
I marność życia a znikomość,
Czyż nie szczęśliwszym, kto umiera?

Bo już nie znają w snach mogiłnych
Drzemiący ciężkich trosk żywota,
I duch się ich już nie szamota
W pragnieniach tęsknych, a bezsilnych.

Śmierć ich otula grobów ciszą,
A sen głęboki myśl ich mroczy,
I już nie widzą krzywd ich oczy,
I jęków uszy ich nie słyszą!

*

I wzmogła się tęsknota we mnie,
I pełen smutku i przesytu
Wołałem: Och! zagadkę bytu
Wyjawcie wy mi, grobów ciemnie!

A z grobu, co był strojny zielem,
Wstał głos i szepcząc z cicha, rzecze:
I z kądże troska twa człowiecze?
Byt ziemski jest sam sobie celem!

Ty nie masz nic przed tą ptaszyną,
Którą grot twoich strzał zabija,
I tak, jak kwiat w dolinie mija,
Marności twojej dni przemina.

Bo to, co śmierci zwiesz imieniem,
I co snu mogił nosi miano,

* Wiera — zaprawdę, zaiste, obacz Rey, Kochanowski.

Jedynie prochów jest przemianą,
I nowych bytów przebudzeniem!

*

Więc nic? więc nic? jeno znikomość,
I tylko trosk i żądz omylność?
I jeno marność i bezsilność?
A całém szczęściem — nieświadomość?

Więc nic? Napróżno serce krwawię,
W tęsknotach trawiąc się płomiennych?
I nic! kromi nocy swych bezsennych,
I cięższych jeszcze snów na jawie!

Więc nic! I z niskąd nie zaczerpie
Syn ziemi w smutkach swych otuchy!
I nic! I celem grób mu głuchy.
— Dlaczegoż kocham? — tęsknię? — cierpię!?

Włodzimierz Zagórski.

TRZĘSIENIE ZIEMI

W CHARAKTERZE

KONJUNKTURY GOSPODARCZĘJ

Jak cały los człowieka, tak zawisł i jego stan gospodarczy w pierwszym rzędzie od jego woli, od jego czynności ekonomicznych, kierowanych prawidłami logiki. Ale ta swobodna wola człowieka gospodarzącego skrepowana jest przelicznymi przeszkodami. Nie tylko mianowicie ogranicza się on sam ze samowiedzą, powodowany względami na interesa innych jednostek czy kraju lub narodu, nie tylko z takich samych pobudek wyższej moralności ogranicza go częstokroć sposobem przymusowym ustawodawstwo, lecz nadto staje w poprzek woli ludzkiej traf ślepy, potęga przyrody, jak niemniej siła danego ustroju społeczno-ekonomicznego. Szczególnie ustrój, w którym żyjemy obecnie, osłabia w wysokim stopniu wpływ woli człowieka na tegoż gospodarstwo. Jako »ζὼν πολιτικόν« żył i gospodarzył człowiek zawsze tylko w społeczeństwie; ale dzisiejszy system »gospodarstwa obrotowego« czyli »podziału pracy społecznego« przeniósł już wcale znaczną część zasługi i winy, znaczną część odpowiedzialności jednostek za ich położenie ekonomiczne na barki całego społeczeństwa. Gdzie bowiem nikt, z drobnymi wyjątkami, nie wytwarza przedmiotów dla swoich potrzeb, lecz każdy poświęca się wyłącznie produkcji jednego tylko rodzaju rzeczy czy usług, za które zamierza w obrocie społecznym nabywać w zamian potrzebne jemu znowu rzeczy i usługi: tam musi powstać nieustanna

zawisłość każdej jednostki od tych wszystkich, którym zamierza odstąpić swoje wytwory, jakoteż od tych wszystkich, od których zamierza nabywać ich znowu wyroby. Tym sposobem los każdej jednostki powiązany jest z losem kroci innych jednostek nie tylko w tym samym kraju, lecz niejednokrotnie nawet na drugiej półkuli świata; a tę zawisłość wzajemną interesów solidarnych lub sprzecznych, wspólną z wszystkimi innymi okolicznościami, które mimo woli albo nawet i wiedzy człowieka wpływają pomysłnie lub niepomyślnie na stan jego gospodarstwa, oznacza nauka ekonomii społeczeństwa mianem „konjunktury“.

Kłeska zagrzebska tedy przedstawia się dla gospodarstwa kroackiego przedewszystkiem jako suma niszczących sił przyrody, zatem jako suma znacznych strat ekonomicznych. Ale niszcząc utwory ręki ludzkiej wbrew woli człowieka i działając już tym samym w charakterze konjunktury, spowodzi trzęsienie ziemi właśnie z przyczyny obecnego ustroju gospodarczego mnogie następstwa pośrednie, dla jednych jednostek szkodliwe, dla innych nawet korzystne, i stanie się wtedy dopiero w całej pełni wyrazem konjunktury ekonomicznej. Spróbujmy określić wpływ bezpośredni i prawdopodobny pośredni katastrofy zagrzebskiej na wszystkie gałęzie gospodarstwa społecznego w Kroacji zarówno jak w innych powiązanych z nią krajach, a otrzymamy jakby zarys patologii gospodarczej trzęsienia ziemi!

Na *górnictwo* wpływa trzęsienie ziemi bezpośrednio o tyle, że burzy na daną przestrzeni położone kopalnie i pomieszczone w nich kapitały. W dalszym następstwie tracą zatrudnieni tam robotnicy zajęcie, a fabrykanci (choćby zagraniczni) szyn i maszyn górniczych część odbytu; natomiast mogą właściciele innych kopalń tego samego rodzaju, uwolnieni od współzawodnictwa, podnieść skutecznie ceny swych płodów ze stratą konsumentów. Dzienniki nie doniosły na szczęście, by któraś z nielicznych w Kroacji kopalń cynku, węgla brunatnego czy żelaza zaginęła od trzęsienia ziemi. Owszem, ziemia wydała przytęm podobno nowe źródła mineralne, u których mogą z czasem powstać kwitnące miejsca kąpielowe; a dla producentów kamieni, wapna, piasku itp. w pobliżu Zagrzebia powstanie nawet wkrótce pomyslna konjunktura.

Rolnictwu daje się czuć trzęsienie ziemi bezpośrednio, pomijawszy popekanie drobnych stosunkowo obszarów pola, tylko

w razie zburzenia budynków gospodarczych i mieszkań rolników: niebezpieczeństwo to grozi zresztą tylko gmachom większym murowanym, czego smutnym dowodem poniszczone w sąsiedztwie Zagrzebia zamki. Pośrednio zaś nie podziela wprawdzie prawdopodobnie lokalna klęska Zagrzebia na cenę ziemiopłodów w całej Kroacji, ale za to emigracja zamożniejszej ludności ze stolicy odjęła niezawodnie okolicznym rolnikom część odbytu na nabiał, drób, jarzyny, owoce i t. p. Zubożała wskutek tego ta warstwa będzie musiała szukać nowego zarobku albo na wsi z korzyścią dla większych rolników, których bez tego czeka pomyślna konjunktura na targu leśnym, albo w samym Zagrzebiu przy budowlach; przez zimę wszakże narażoną jest na nędzę.

Rzemieślnicy i przemysłowcy zagrzebscy, których zabudowań nie powaliło trzęsienie ziemi bezpośrednio, musieli mimo to doznać pośrednio z powodu emigracji ludności zmniejszenia odbytu na przedmioty zwykłej konsumpcji osobistej, jak mięso, pieczywo, trunki, suknie, obuwie itp. Pochodzący ztąd spadek cen odbija się na płacy robotników przemysłowych, jakoteż na krajowych czy zagranicznych producentach tych surowców, z których się przetwarza powyższe przedmioty. Tymczasem wszystkie te straty zrównoważają się podobno wkrótce. Odbudowanie bowiem domów zburzonych, które się musi koniecznie rozpocząć na wiosnę — ile że ludność biedniejsza niema środków do ucieczki, a zamożniejsza będzie musiała powrócić do siedziby życia politycznego, naukowego i towarzyskiego, — stanie się początkiem odrodzenia z klęski. Ożywiony przemysł budowlany wywoła z jednej strony silny popyt za drzewem, kamieniem, piaskiem, ceglami, cementem, żelazem itp., a z drugiej strony zatrudni na wielką skalę budowniczych, cieślów, murarzów, stolarzów, szklarzów, blacharzów, jakoteż licznych *robotników miejskich i wiejskich*. Za tём pójdzie silniejszy obyt na towary potrzeb codziennych, zwłaszcza na żywność, której ceny mogą się znowu podnieść nawet zbyt znacznie, jeżeli jej producenci zechcą wyzyskać konjunkturę za pomocą praktykowanego w czasie katastrof środka sztucznego obniżania podaży. Podniesione zaś wskutek tego płace robotników budowlanych mogą wespół z drożyzną materiałów budowlanych podnieść kosztą produkcji nowych domów, czyli pośrednio przyszkłe w nich czynsze najmu za lokale kupieckie zarówno jak mieszkalne.

Kupcy zagrzebscy, handlujący bądź to *en detail* przedmiotami potrzeb zwykłych, bądź hurtownie materiałami budowlanemi, mogą się za przykładem odnośnych rzemieślników i przemysłowców spodziewać już na wiosnę konjunktury pomyślniej. Natomiast ci z pomiędzy nich, którzy dotąd dostarczali z fabryk zazwyczaj peszteńskich i wiedeńskich artykułów zbytkowych (galanteryjnych, modnych itp.), będą się musieli wraz z tymi fabrykantami oswoić z myślą upadku odbytu aż do czasu powrotu zamożnej klienteli do stolicy odbudowanej. Właściwie już przy ukończeniu budowy pojawi się silny popyt za artykułami, potrzebnymi do uzupełnienia urządzeń domowych, jakoto za tapetami, meblami, tkaninami zbytkowniejszemi, obrazami, ramami, lustrami itp. Wcale zaś podniesie się stan kupiecki jeszcze później, gdy ludność bogatsza powróci do domów gotowych, i w myśl wiadomego prawidła psychologicznego rzuci się po klęskach przebytych i przebolewałych do konsumpcyi zbytkowej, do której nie mogła mieć usposobienia w czasie trwogi powszechniej.

Z pomiędzy *zakładów komunikacyjnych* zarobiła kolej żelazna, dzięki ocalonemu szczęśliwie dworcowi zagrzebskiemu, już dotąd bardzo znacznie na przewozie uciekających z licznemi ruchomościami osób; jeszcze zaś więcej zarobi w niedalekiej przyszłości na powrocie tych samych znowu osób, jakoteż na dowozie powołanych wyżej towarów gotowych i surowych. Przewóz budulca dostarczy zresztą także trochę zarobku przedsiębiorstwu żeglugi na Sawie, płynącej przez lasy rządowe; a że przytém wszelakie furmanki podniosą dochód zubożałych wieśniaków, rozumie się samo przez się. Bióra telegraficzne dalej, zajęte już nad miarę niemal w czasie katastrofy, otrzymają nadto przy odnowieniu miasta liczne depesze zatrudnionego przy tém świata kupieckiego. A jeszcze pewnie zarobią z tych samych przyczyn zakłady pocztowe, których zyski zwykły iść w parze z ilością listów. Co się zaś w końcu tyczy przedsiębiorstw komunikacyi lokalnej w Zagrzebiu (fiaków i omnibusów), to chyba tylko one straciły trochę zajęcia, odstawiwszy przeważną część uciekających na dworzec; wszakże i to się zmieni niewątpliwie z rozbudzeniem ruchu budowlanego i kupieckiego.

Zakłady asekuracyjne, zaangażowane w Zagrzebiu, nie potrzebują wprawdzie płacić odszkodowań za zburzone przez trzęsienie ziemi domy, ile że ten dział ubezpieczeń nigdzie dotąd nie jest

znany; musiały jednak ponieść dość znaczne straty z powodu pożarów, powstających w czasie takiej katastrofy bardzo łatwo bądź z kominów i pieców poprzewracanych, bądź z prostej nieuwagi zastraszonych domowników. Do zrównoważenia tych strat nie znajdują krajowi czy zagraniczni członkowie przedsiębiorstw asekuracyjnych żadnej sposobności w Zagrzebiu.

Inaczej *banki i kapitaliści*. Jeżeli świat kupiecki Zagrzebia domagał się zaraz w początku moratorium i przyjął niechętnie postanowienie rządu odmowne, to miał zupełną słuszość. Skoro bowiem racya kredytu wytwórczego polega na tém, że dłużnik odtworzy w swoim gospodarstwie ku tegoż pożytkowi pożyczony kapitał wraz z procentami, to nie podobna uniknąć uchylenia zobowiązań kredytowych wtedy, gdy ogół dłużników nie może z przyczyn gwałtownych, niezawisłych od ich woli, czerpać produkcyjnie ze swoich gospodarstw. A to właśnie musiało nastąpić w Zagrzebiu tak u dłużników hipotecznych, którym trzęsienie ziemi wystraszyło czynszowników lub wcale poniszczyło domy, jak u dłużników kupieckich, którzy stracili bądź odbyt na towary, bądź nawet pod gruzami domów te towary same. Nie dozwoli więc rząd w takich razach czasowego zawieszenia wypłat, to dłużnicy muszą albo bankrutować na niekorzyść kredytujących im banków, kapitalistów i fabrykantów, albo się starać o uzyskanie prolongaty dobrowolnej. Jeżeli tedy właśnie w Zagrzebiu wielokrotnie nastąpiły bankructwa, to zasługa tego należy się zaangażowanym tam instytucjom finansowym, z których, o ile mi wiadomo, żadna nie chwyciła się była gwałtownego środka wypowiedzenia kapitału i exekucyi. W wysokim zresztą stopniu przyczynił się do wypłatności dłużników bank austriacko-węgierski, zwiększając znacznie dotacją filii zagrzebskiej. Zabezpieczywszy się z tém na poręcz solidarną „koła kredytowego“ tamtejszych kupców i przemysłowców, zapewnił sobie ten bank zaraz z góry większy zarobek; natomiast akcyonariusze wiedeńscy, peszteńscy i zagrzebscy innych banków, jak niemniej kapitaliści prywatni muszą się tém pocieszać, że swe przetensye hipoteczne zdołają skuteczniej, niż przez exekucyą, wyratować przez dalszą pomoc kredytową na odbudowanie domów, poczem odżywienie ruchu gospodarczego dozwoli im odbić straty obecne także na kredycie kupieckim. Najlepszym na to dowodem kasa oszczędności zagrzebska, która w czasie katastrofy nie wymawiała

kapitałów, lokowanych na domach, mimo że publiczność zastraszona nie przyznawała jej bynajmniej moratorium co do zwrotu wkładek: toż te wkładki przypływają już obecnie ponownie do jej kas z tym większym pożytkiem dla właścicieli domów zarówno jak dla świata kupieckiego.

Z grupy *rentierów*, zamieszkałych w Zagrzebiu, doznali najmniej stosunkowo szkód bezpośrednich (pominąwszy zamki poburzone!) ludzie, żyjący z papierów publicznych i czynszów dzierżawnych. Ale i oni mogli potracić część swych ruchomości przy upadku domów; ponieśli dalej, mając zupełną swobodę uciekania z miasta, niejake koszty podróży, a powróciwszy do stolicy, będą się musieli żywić z tych samych dochodów mimo niezawodnej drożyzny. Z pomiędzy rentierów zaś, żyjących z czynszu najmu, padła część znaczniejsza bezpośrednio ofiarą trzęsienia ziemi; a tylko owi szczęśliwcy, którym ocalało domostwo, zdołają w miarę powrotu ludności przed zupełnem odbudowaniem miasta wyzyskać konjunkturę pomyślną.

W grupie *zawodów wyzuczonych* wyszli najgorzej urzędnicy i wojskowi, którzy, przykuci do siedziby swęj służby, przebyli i przebywają wszelkie niewygody życia koczowniczego, postradali niejednokrotnie swoje ruchomości, a w przyszłości będą musieli o swęj płacy stałęj przetrwać czas drożyzny. Położenie nauczycieli wyróżnia się tylko tęp, że wolno im było przynajmniej opuścić Zagrzeb. Adwokaci zaś np. stracili wprawdzie niezawodnie część zajęcia w czasie stagnacyi ogólnej, ale za to odwetują się niewątpliwie, skoro się rozpocznie rozwikływanie interesów kupieckich.

Osoby *bez zawodu stałego*, jak np. kobiety, młodzież szkolna itp., poopuszczały zapewne najpierwęj stolicę, a koszty podróży tam i napowrót, jakoteż straty poniszczonych ruchomości odbiły się na gospodarstwie mężów i ojców, oddających się bądź w samym Zagrzebiu bądź zdala od niego zawodom najrozmaitszym.

Służba domowa, zwyczajnie położona korzystniej od reszty stanu roboczego, odczuła także klęskę zagrzebską niezbyt silnie, bo przynajmniej chlebowadcy zamożniejsi nie tylko nie mieli powodu oddalania sług, lecz owszem, potrzebując więcj ich pomocy w czasie wyjazdu, zabierali ich zapewne na swój koszt ze stolicy zagrożonęj.

Skarb austriacko-węgierski będzie musiał kosztem obu połów monarchii odbudowywać w Zagrzebiu gmach szkoły kadeckiej. Skarby kroacki i węgierski, nie dotknięte podobno taką szkodą bezpośrednią, doznają przedewszystkiem znacznego ubytku w podatkach domowym, przemysłowym i spożywczych; będą powtórę musiały w czasie odbudowywania miasta zrzec się niejednej opłaty wydatnej; a nadto muszą już teraz pokryć część szkód bądź tańszą pożyczką na rzecz *gminy* zrujnowanej (obecnie chodzi o gwarancją dla pożyczki w wysokości 1 mil. zlr.), bądź subwencjami darmem dla pojedynczych obywateli. Pomocy takiej będą mianowicie potrzebowali: z jednej strony robotnicy chwilowo niezatrudnieni, mali rzemieślnicy, właściciele domków małych i t. p. osoby, które się nie zdołają podźwignąć ani same ani przy pomocy kredytu prywatnego; z drugiej strony *kościół*, który nie potrafi prawdopodobnie odbudować zburzonej świątyni samemi datkami zrujnowanych bez tego parafian. Koszta zaś téj uzasadnionej zupełnie pomocy publicznej na rzecz miasta nieszczęśliwego poniosą ostatecznie *wszyscy podatnicy* w kraju, na których przeto stosunki ekonomiczne oddziała tu trzęsienie ziemi w myśl niezawisłego od nich przymusu ustawniczego.

A przecież ten szeroki niezmiernie wpływ konjunktury nie skończy się nawet jeszcze na tém. Przeciwnie, jak jednym bałwanem poruszona powierzchnia morska pokrywa się o setki mil całą siecią kręgów i krążków, tak klęska lokalna, tego co trzęsienie ziemi znaczenia, roztacza swe skutki ekonomiczne daleko po za granice kraju i państwa. Gdziekolwiek mianowicie na kuli ziemskiej uczucie gorętsze pobudzi ludzi do *darów dobrowolnych* dla dotkniętych Zagrzebian, tam się także jeszcze objawią jakby kończyny działalności konjunktury na gospodarstwo dawców szlachetnych.... „Koło literackie“, nie rozporządzające środkami materalnemi, postanowiło przyczynić się niniejszém wydawnictwem do otarcia łzy dalekich braci po krwi: a ktokolwiek z członków Koła poświęcił temu wydawnictwu chwilę czasu z uszczerbkiem swych zajęć zawodowych, i ktokolwiek z publiczności polskiej nabędzie egzemplarz „albumu“, ten również odczuje w swém gospodarstwie część wpływu trzęsienia ziemi zagrzebskiego w charakterze konjunktury gospodarczej!

Leon Biliński.

ZBRODNIA URZĘDOWA.

HUMORESKA.

Szczęśliwy człowiek, który ma tylko jedną żonę! Proszę się nie śmiać; bo odkąd ten wyraz żona stał się synonimem władzy nad władzami, której najtęższe i najrozumniejsze głowy męskie ulegają, mnóstwo zjawia się pretendentów do wzięcia naszego brata w prawdziwie małżeńską kuratelę. Ja sam, prócz ślubem kościelnym utrwalonej małżonki, posiadam jeszcze kilka innych małżonek z lewej i prawej ręki w osobie córek, synów, teściowej, ciotek, wujów żony, a wreszcie pana Gaudentego najbliższego zwierzchnika biórowego.

Ot i w tej chwili, siedzę przy stoliku i suszę sobie głowę jak zacząć odezwę do finansowej dyrekcyi. Czy napisać: „wskutek szanownej odezwy“ czy też „na odezwę świetnej dyrekcyi“ — gdy moja żona biurowa, z którą przeznaczony jestem żyć wspólnie w jednym pokoju codzień przez osiem długich godzin, ów pan Gaudenty stabilizowany koncypista, chodzi jakby najęty za plecami mojego krzesła, i rypie butami, skrzypi podłogą że aż w móżgu trzeszczy od tego.

Panie Boże wszechmogący — myślę sobie — dodaj mi cierpliwości, abym odrzuciwszy na bok wszelkie hierarchiczno-małżeńskie względy, nie rzucił się na niego z zajadłością tygrysa, i nie poszarpał w kawałki jego koncypientowskiej mości. Bo żeby to jeszcze chodził po ludzku, zwykłym miarowym krokiem, jak stary zegar klekoczący w naszej kuchni — mógłbym się do tego

stuku i zgrzytu przyzwyczać. Ale gdzietam! Pan Gaudenty jest ukończonym romantykiem w tym względzie; bo niedość, że chodząc psztyka palcami, że chrząka, spluwa i nosem dmucha — to jeszcze zatrzymuje się co chwila i albo klapie się ze szczególniejszém młaśnięciem po łysinie, albo śmiałym ruchem ręki przygwoźdża kogoś do podłogi, albo wreszcie przesuwam mi się między biurkiem i oknem, rzucając refleksowy blask łysiny na moją odezwę.

Nareszcie, mnie już dyabli zaczynają brać z niecierpliwości. Cały rok myśli naprężonej w kierunku wypalenia reprirendy dyrekcyi finansowej, za jój uporczywe nakładanie podatku dochodowego od dodatków aktywalnych, — w jednej chwili gdzies ginie. I wstaję roznerwowany, i zaczynam także chodzić na krzyż z panem Gaudentym. Myślę, że to go opamięta... Ale wszystko na próżno — ani mię widzi, ani mię słyszy.

— Panie koncypiente — mówię słodziutkim głosem, zastępując mu drogę — co panu jest?

— Ha, co, kto? — odpowiada, zatrzymując się przedemną w stanie kompletniej nieprzytomności.

— Co panu się stało?

— Hm, jak, komu się stało? — powtarza, poprawiając okulary i klapnąwszy znów ręką po łysinie, jak strzała biegnie do swego biurka.

No, myślę sobie, może się teraz usatkuje. Zbieram tedy porozpraszane w głowie mojej frazesy, któremi mam zamiar potraktować finansową dyrekcyę, siadam ze zdwojonym zapalem i zaczynam pisać. Ale nadzieja taka wkrótce bolesnego doznaje zawodu. Pan Gaudenty wprowadzie nie puszcza się na wędrownkę po pokoju, lecz powysuwawszy impetycznie wszystkie szuflady swego biurka, z takim szelestem, hałasem i furią wydobywa stamtąd różne szpargały, tak je drze zawzięcie, przewraca i sieje po podłodze, że niektóre arkusze fruwają aż pod nogi mojego krzesła.

Znam urzędowy mores i znam chimeryczno-fantazyjny charakter braci Lwowianów. Dobrzy to są ludziska, serdeczni, litościwi, przyjacielscy ale dopóty, dopóki im jaka osobista mucha nie usiedzie na nosie. Wtedy uciekaj za dziesiątą górę, rób się cieniem własnej osoby i nie zaczepiaj, bo kwita z przyjaźni. Współczucie twoje drażni; żart obraża, a oburzenie na taką

niesprawiedliwość - przyprowadza ich do passyi. Mucha zleciała z nosa, lichwiarz prolongował weksel, a chwilowy ból gardła okazał się, że nie jest dyfteryą — już inny człowiek, i możesz go kłaść do rany.... Tak, tak, my ludzie galicyjscy, począwszy od dygnitarzy, a skończywszy na literatach i stróżach domowych, lubimy mieć kobiece fantazyje; lubimy wesołe rozmowy i żarty, kiedy nam wesoło, ale kiedyśmy nie w humorze, to wesołość innych nietylko nas razi, ale nawet irytuje. Pod tym względem, przynaję, zdałoby się nam trochę retuszu towarzyskiego, oj! zdałoby się.....

Otóż tak sobie rozmyślałem, czekając cierpliwie ukończenia operacyi darcia papierów przez pana Gaudentego. Zaczepić go w téj chwili, byłoby toż samo co rzucić głównię do otwartej beczulki z prochem.

Nareszcie skończył, i powstawszy z miną dziwnie zakłopotaną, zbliżył się do mojego stolika.

— Wiesz pan — mówi tajemniczym głosem, nachylając się nademną — popełnioną tu została zbrodnia...

— Co, zbrodnia! — krzyknę, zrywając się z krzesła.

— Pst, cicho, cicho — powtarza, zamykając drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju — wykradziono mi ważny dokument...

Aż mi się gorąco zrobiło na takie dictum, gdyż mimowoli przyszło mi na myśl, że siedząc w tym samym pokoju, gdzie zbrodnia została spełnioną, w pierwszym rzędzie mogę być o takową posądzonym. Jakoż nie myliłem się w domysłach, bo czytam z oczu pana Gaudentego, że on patrzy już na mnie jak na aktualnego zbrodniarza.

— No, nie mówię jeszcze, żeby tak umyślnie skradziono, ale tak... przypadkiem... mogło się zamieszać między papiery... Uważasz pan, jest to protokół śledztwa, na którym wiele zależy pewnej osobistości, żeby go nie było... Ot, na siwym papierze, dwa arkusze większego formatu...

— Nie widziałem, daję panu koncypientowi słowo; nigdy się nie zbliżam do pańskiego biurka... Może woźny... pozwoli pan, że zapytam Tomasza...

— Pst, cicho... do czasu musi być sekret, to rzecz ważna... nie należy alarmować przedwcześnie.

— A u pana?

— Dziesięć razy przerzuciłem wszystkie papiery do ostatniego skrawka, i nie ma...

— Przejrzę i ja swoje, a nuż przypadkiem...

— Pozwól kochany panie, że ja to sam zrobię — odzywa się z dyplomatycznie-inkwizytorską miną, a popierając słowa czynem, kładzie obie ręce na moich papierach i zaczyna je z gorączkową szybkością przerzucać.

Stoję koło niego i drzę jak liść osiny... A nuż przypadkiem kto zamieszał... Lecz na szczęście moje nie znalazł na półkach, nie znalazł i w szufladzie, którą mu skwapliwie otworzyłem.

— Hm! — rzeknie mi z dziwnie zrezygnowaną miną — muszę tę sprawę oddać na drogę urzędową. Dłużej zamilczeć niepodobna — kończy, zacierając urzędowe swe ręce w taki sposób, jak to robił kiedyś jego excelencya pan Piłat.

Pobiegł do stołu, siadł, wyjął arkusz czystego papieru, przejął na połowę i drżącą ręką, przy niezwyčajnym zgrzytaniu pióra napisał:

„Przypomnienie z Urzędu“

— Tak, niech idzie dyscyplinarka! — zawoła z determinacją, biegnąc z tym papierem do gabinetu dyrektora. — Ja nie mogę przyjąć na siebie żadnej odpowiedzialności... Tu kryje się niepospolita zbrodnia... to sprawa nieczysta!...

Poszedł, a mnie febryczne ciarki przeszły po skórze. Byłem wtedy jeszcze nowicyuszem urzędniczym, tak zwanym *Szkontrollführerem*, a to słowo dyscyplinarka przypomniało mi znaną dobitnie owo narzędzie składające się z pięciu rzemyków przytwierdzonych do sarniej nóżki, które w dzieciństwie mojem wisiało zawsze na ścianie obok kantorka nieboszczyka ojca, a które on niewiadomo dlaczego nazywał gandziarką.

Nasz dyrektor jest człowiek nadzwyczaj surowego oblicza, i takie iskry rzuca przez grube szkła okularów swoich, że ile razy wypadnie mi z urzędu stawieć się przed jego majestatem — usuwam się pomimowoli, ażeby nie wpaść w ognisko tych spojrzeń, któreby podobnie jak w ognisku soczewki mogło mnie spalić na węgiel.

Pod wpływem tedy zapowiedzianej dyscyplinarki, zapominam o referacie do finansowej dyrekcyi, zapominam o powadze urzędu i tajemnicy stanu, i nie namysławiając się wcale, biegnę do

przedpokoju woźnego. Szanowny ten mąż pełen wojennego animuszu, od kilku tygodni kuleje na nogę i zwykle siedzi tam kamieniem, przypatrując się swoim huzarskim butom, a teraz jakby na złość wcale go nie ma. Bodajes zmarniał ty włóczego jakiś, myślę w rozpacz i gnany pamiętnym mi świstem gandyarki, lecę przez ganek do jego mieszkania. Jak raz widzę przez okno, stoi w bardzo pokornej postawie naprzeciw osiwiałej małżonki, która jeżeli już nie babką, to mogłaby śmiało być jego matką.

— Los mi zawiązałeś niedołęgo! — mówi, wygrażając mu ręką oblepioną ciastem.

— Ta to ja nie winien, żem się przewrócił... — sumituje się mój Tomasz.

— Myślałam, że idę za ciebie jako za młodego — prowadzi rzecz swoją małżonka — a tak co ja mam z ciebie? — jenwalidę!...

— Daj, daj pieniądze -- odpowiada Tomasz, szukając laski — powlokę się o kiju i te rodzynki przyniosę...

— Przyniosę, ale przyniosę... Ale kiedyż taki kuternoga przyniesie, kiedy mnie ciasto już leci...

Zapukałem w okno, Tomasz mię spostrzegł i wywłókł się z trudem na galeryą.

— Tomasz — mówię prędko, dręczony niepewnością — panu Gaudentemu zginął z biórka papier... Nie wiesz, czy był kto w biurze podczas naszej nieobecności?

— A ktoby ta był, proszę pana. Tam nikt nie chodzi tylko ja, albo moja.

— Więc może ona zabrała, myśląc, że niepotrzebny... takie dwa duże arkusze siniego koloru...

— Proszę pana, ta to moja taka nieśmiała jest kobieta... jako owieczka, gdzieby...

— To może Tomasz?

— Ja ci zebrałem wczoraj — mówi, jakby sobie coś przypominał — z podłogi papiery, które pan koncypient powyrzucał, ale ja potrzebnego nie ruszę, broń Boże...

— Gdzież są te papiery?

— Wyrzuciłem na śmietnik.

— Wszystkie?

— Ta to moja zostawiła co większe pod strucle...

— Gdzie, co, jak? pokaż! — wołam, popychając go przed sobą napowrót do stancyi i jak lew rozjuszony rzucam się na pierwszy siny arkusz zasmarowany już smalcem. Nachylam się, ścieram tłuszcz palcem od jednego brzegu i o dziwo — czytam: „Protokół.“

Niezważając, że papier jest potłuszczony, a owieczka Tomaszowa występuje z gwałtowną opozycją, porywam i biegnę z nim do pokoju.

— Panie Gaudenty, czy ten? — mówię, podsuwając mu pod oczy ów papier.

— Ten! — krzyknie zrywając się z fotelu. — Jak Boga kocham ten sam. A gdzie druga połowa?

Opowiadał mi, jak co było i oba już drałujemy do stancyjki woźnego, z takim impetem, że ganek trzeszczy pod nami. Następuje badanie Tomasza i Tomaszowej, a z tego dowiadujemy się niestety, że ten drugi arkusz już siedzi w piecu pod plackiem. Odtykać, wyrzucać, szukać łopaty, wyjmować i rzeczywiście dalszy ciąg protokołu dobrze już zarumieniony siedzi jak trusia przywalony olbrzymiem ciałem placka, że tylko uszy mu widać. Zabieramy tedy ów drogocenny dokument i wytacza się cała sprawa przed pana dyrektora. Stoją oboje małżonkowie Tomaszowie w roli winowajców i pokazuje się, że sam pan Gaudenty wyrzucił go razem z innemi szpargałami na podłogę. Tomasz, mimo opinii żony, która nawet w obliczu dyrektorskich okularów poważyla się wytykać mu inwalidowskie we wszystkim niedołęstwo, zanedto znany jest ze swęj prostoduszności, aby go można posądzać o kłamstwo. Skończyło się tedy na domowej reprimendzie, której większa część skierowaną była ku wiadomemu powszechnie roztrągnięciu pana koncypisty.

— Jak ty poważyleś się brać tak ważne papiery pod placki! — wybuchnie do Tomasza, po wyjściu dyrektora.

— Ta to panie — mówi z obrażoną miną — był zapisany. Czystego jabym nigdy nie ruszył... Cóż to ja się nie znam na tem, czy co?

Byliśmy do żywego oburzeni taką znajomością swego urzędowania przez Tomasza. Niedołęga jakiś, on śmie w tak lekceważący sposób mówić o naszej biurowej pracy. Ale cóż było robić z głupcem: — błogosławieni są ubodzy w duchu...

Do dziś dnia pan Gaudenty jest dla mnie z niezwykłym poważaniem za tak zręcznie przeprowadzone dochodzenie w sprawie zaginionego protokołu, do oczyszczenia którego ze smalcu, ofiarowałem bezinteresownie własną moją chustkę od nosa. Wprawdzie za to spotkała mię w domu porządna bura od pierwotnej małżonki, ale ta bura w porównaniu z urzędową dyscyplinarką, połączoną ze srogim wzrokiem dyrektora, — jest niczem.

Albert Wilczyński.

IMIENINY ZANA.

Z MOICH WSPOMNIENÍ.

Było to na Litwie, w okolicach Nowogródka, 1843 roku, wkrótce po powrocie z Syberyi Jana Czczota i Tomasza Zana po dwudziestoletniem niespełna wygnaniu. Obchodzono w dniu 29. grudnia w Dołmatowszczyźnie imieniny Zana, który zamieszkał czas jakiś w domu brata swego Ignacego, poważanego w Nowogrodzkim lekarza, a który trzymał małą dzierżawę, od pp. Wierzbowskich pod Dołmatowszczyzną, gdzie téż znalazł przytułek i J. Czczot. Tak więc, obaj towarzysze młodości i wygnania, wróciwszy na rodzinną ziemię, znaleźli się o miedzę i zamieszkali prawie razem.

Zan wrócił czerstwy, pełen sił i energii, towarzyski, serdeczny. Praca na polu nauk przyrodniczych w Syberyi korzystnie wpłynęła na zachowanie równowagi sił jego fizycznych i duchowych. Czczot wiałej kompleksyi — wrócił schorzały, posępny. Nie cieszyło go, co zastał na Litwie. Otrzymaawszy posadę bibliotekarza u hr. Chreptowicza w Szczorsach, znanych uczonemu światu ze swego archiwum i biblioteki, wziął się gorąco do pracy w uporządkowaniu księgozbioru, — przeplatając ją zbieraniem podań ludowych i pieśni z nad Niemna i Dźwiny, które téż wkrótce potem wydał. Niedługo wszakże to trwało; — bo podupadłszy na zdrowiu w tem osamotnieniu, jakiego tam doznał, — nie mogąc dalej podołać obowiązkowi, ujrzał się zmuszonym opuścić Szczorsy, i przyjąć zaproponowaną sobie siedzibę w Dołmatowszczyźnie, ujęty serdeczną uprzejmością pani domu

a siostry kolegi uniwersyteckiego p. Rafała Slizienia, tego samego co znakomitym talentem, jako rzeźbiarz zasłynął potem.

Łatwo sobie wyobrazić, jak powitała Litwa powrót swoich wygnańców, — i czém byli dla niej ci dwaj mianowicie. Nowogrodzka ziemia, co tylu krajowi dała mężów wszelkiej zasługi, pyszniła się i teraz posiadaniem tych dwóch rozbitków z liczego niegdyś zastępu wileńskich pracowników — tych pierwszych wśród młodzieży przywódców i pionierów na niwie wzniosłych idei. A czas był wielki, pokrzepić i podnieść ducha, który od 1831 r. twarde berło cara Mikołaja przygniotło. Jeszcze żyło wielu towarzyszy z owych pamiętnych czasów promienistych, Filomatów, Filaretów... Żył jeszcze w swoim Dworcu, pielęgnując swych włościach i egzotyczne drzewa, Michał Wereszczaka, brat Maryi, a przyjaciel i kolega Mickiewicza; — żyło jeszcze wielu innych bliżej lub dalej... a nierzadko nawet zbyt daleko po świecie rozproszonych, jak się to stało z Domejką i innymi...

To też i nie dziw, że w dniu św. Tomasza, ze wszystkich stron dawnego województwa — zbiegło się wszystko, co żywiej czuło, do Dołmatowszczyzny.

Okolicę Połoneczki, jako najbliższej przyległą, przedstawiał książę Konstanty Radziwiłł, b. marszałek nowogrodzki i kurator honorowy szkół, — zacny i poważany. Otaczał go liczny dwór przyjaciół, rezydentów, nauczycieli i guwernantek licznej jego rodziny, oraz pań i panów z nim spokrewnionych. Kroszyńską parafię przedstawiał dom Jurahów; którego pani z domu Radziwiłłówna, patryarchalnych cnót matrona, nadawała sąsiedztwu ton poważną prostotą swego ubioru i urządzenia domu. Córka ich wychowana później w Dreźnie, idealnej postaci jedynaczka, oddała się namiętnie malarstwu, — co wszakże nie przeszkodziło jej potem, oddać rękę Eug. Zaw. z Galicji. Okolicę Mira przedstawiał generał Miler, znakomity niegdyś oficer w 1812 — 1830 roku — a obecnie zawołany gospodarz i dzierżawca wielkich dóbr poradziwiłłowskich. Zadwiejskie strony miały tu kapitana Macieja Mierzejewskiego z synami. Dobrze się jeszcze trzymał ten rycerskiej postawy, istnie Napoleoński żołnierz, na którego piersi błyszczał order legii za Samosierzę, — co mu nadawał majorat z pensją aż do expiracji imienia i rodu. Dalej, okolicę Stwołowicz przedstawiał szanowany powszechnie Michał Korybut podkomorzy nowogrodzki z Domaszewicz i Jezierski Alfons

z Saczywek, dzielny zabytek ułanów szkoły ks. Konstantego, — ożeniony z siostrą Domejków z Niedźwiadki, — wyborny towarzysz i tancerz, trochę poeta i jako taki wszędzie pożądanym. Dalej, okolicę Woronczy przedstawiał Konstanty Tuhanowski, kolega uniwersytecki Mickiewicza, zacny i szlachetny entuzysta, dziedzic Tuhanowicz, tyle pamiętnych z dziejów serdecznych Adama i Maryli. Szczupłość miejsca nie pozwala mi wyliczyć szczegółowo wielu innych, których charakter i stanowisko dawały wstęp do tego domu; — wspomnę tylko dla pamięci niektóre nazwiska z tych, co tam się więcej uwydatnili — jak Ablamowiczowie, Bułhakowie, Borzdobochaty, Przygodzcy, Slizieniowie, Domejkowie, Pilecki Jan, Puszkina Tomasz, Wolscy, Rudzińscy, Szpihalscy, Hacıscy, Naruszewiczowie, Protasewicz, Wojna, Siemiradzki i wielu, wielu innych, z których już większa połowa snem wiecznym spoczęła. Śród tych tak poważnych wiekiem i zasługą postaci, tych starców — co szacunek wzbudzali, tej młodzieży, co jeszcze deklamować nie umiała, prezydował Jan Slizień z Bartnik, chorąży nowogródzki, ojciec pani domu, patriarchya licznie rozrodzonej rodziny, starzec dziwnie pięknej postaci.

Uosobiona tu więc była w tém zgromadzeniu jakby cała tradycja porozbiorowych losów narodu; — a przedstawiali ją: kapitan armii Napoleona z pod Sommosierry; — podkomorzy i chorąży powiatu; oficerowie z wojny 1831 r.; — dalej książę marszałek i kurator szkół i nareszcie młódź, co jakby w dalszym ciągu „Dziadów“ przeszła już była przez katusze śledczej komisji, którą kierował pamiętny książę Trubecki i patrzyła na śmierć Szymona Konarskiego w Wilnie, Wołowicza w Grodnie!

Tacy to tam byli starsi; łatwo pojąć, jaką była młódź, co była ich dziatwą. Z jednej strony wsłuchana w opowiadania rycerskich rapsodów, żyjących jeszcze i dzielnych duchem ojców, z drugiej, wykołysana pieśniami wieszczów, poezją, którą zda się podówczas przesiąkła była Litwa cała; pozbawiona publicznego życia, a z niem sposobności zużytkowania swęj energii i wiedzy; odepchnięta od czynu; żyła jakby w jakiejś krainie zaklętej marzeń. Każdy młodzian pragnął być Konradem, lub co najmniej Gustawem; — każdy ubóstwiać musiał swoją Marylę, nie troszcząc się, czy ją mógł pojąć za żonę. To też był to czas, w którym najmniej kojarzyło się małżeństw. Nazwy utylitarności jeszcze nieznano. Ceniono wprawdzie mitry i hrabiowskie korony,

ale nieznano jeszcze wartości pieniędzy, i miłość bez jutra, miłość Gustawa i Maryi była w modzie.

Takie to więc było towarzystwo, co zapełniało salony obszernego dworu w Dołmatowszczyźnie, i które nareszcie po zwykłych preliminariach wymaganej etykiety zasiadło do stołu. Obiad był na paręset osób. Prócz stołowej sali, gdzie poważniejsi zasiedli, w przyległych pokojach usadowiła się młodź grupami dobranemi, przy małych stolikach. Nastrój był podniosły. — Miano uczcić tego, co kiedyś w danej chwili poświęcił się za wszystkich, i uratował pół Litwy, przyjmując winy wszystkich na siebie. Gdy więc nadeszła chwila toastów, wznosząc zdrowie solenizanta, przypomniano znaną a tak miłą na zawsze dla młodzieży piosnkę:

Gdy pocziwość światu znana,
Któż pocziwszy jest nad Zana;
Więc panowie, jego zdrowie,
Wiwat Tomasz Zan!

Łatwo sobie wyobrazić zapal, z jakim tę strofę wygłoszono, z jakim ją przyjęto, i tę, wymowniejszą wezbraném uczuciem niż słowy, odpowiedź, jaką solenizant podziękował. Naturalnie, że gdy wnet nalano kielichy, i drugą zwrotkę wygłoszono na cześć drugiego filareta:

Gdy uwielbień godna enota,
Któż pocziwszy nad Czeczota;
Więc panowie, jego zdrowie,
Wiwat Czeczot Jan!

blady, średniego wzrostu, i mocno już schorzały Czeczot dziękował uprzejmie, ale znać było ze wszystkiego, że go już holdy tego świata, szczególnież burzliwe, nie wiele obchodzą, i nużą wzrok jego wpatrzony już „w tę uchronę spokojną, gdzie wieczność przebywa“ (Euz. Słowacki). Natomiast Zan, silnie zbudowany, o czarnych pełnych blasku oczach, o krucznych w faliste kędziory rozwianych włosach, smagłą i czerstwą twarzą był obrazem zdrowia i hartu, jakie mu przebyte cierpienia nadały.

Po obiedzie był teatr amatorski; dawano „Okreżne“. Tamto wśród widzów i aktorów ujrzałeś wszystko, co nowogródzka ziemia miała najbardziej uroczego wśród kwiatu swego towarzystwa, a narodowe stroje, tańce i śpiewki dopełniły upojenia widzów, których sercem wezbraném, to uczucie radości, to rozrzewnienia miało. Kto znał te okolice w owych czasach, nie zapomniał

pewno tych tak zwanych naówczas Świtezianek, cudnych i uroczych, których spotkanie, jak w owęj znanęj baladzie, było nieraz wśród rozkosznych czarów i ułud fatalném dla spokoju nie jednego serca!

Po okreźném i po wiązance melodyi z motywów polskich, wykonanej przez wyborną orkiestrę Czechów, gdy podniesiono kurtynę — ujrzała publiczność na scenie stósownie udekorowaną, chór młodzieży otaczającej fortepian, — przy którym mnie właśnie przypadł zaszczyt odśpiewania kantaty, na cześć solenizanta, napisanej dla niego przez Gabryelę z hr. Günterów ks. Puzyrinę; a że ją dziś jeszcze pamiętam, chętnie ją dla młodej generacyi podaję.

Kto wiek dziecinny milęj prostoty,
Umiał uczynić drugich przykładem?
Kto młode serca wdrażał do cnoty?
I do nięj swoim prowadził śladem?

Chór: Zacny nasz mistrzu, niesiem Ci cześć!

Kto za te czyste zapaly serca,
W miejscu nagrody, niezrozumiany,
Odjeżdżać musiał jak przeniewierca —
W dalekie strony — szczerze płakany?..

Chór: Biedny wygnańcze, niesiem Ci cześć!

Kto, gdy przed sędzią znikła już wina,
Wraca nam jakby z drugiego świata,
Litwa w nim swego poznaje syna,
A świat uczony wita w nim brata!

Chór: Szlachetny mężu, niesiem Ci cześć!

Naturalnie, że burza oklasków, jaką ten śpiew wywołał, mogłaby mi wystarczyć na całe życie, gdybym nie uważał za słuszne przyjąć ją jako hołd należny słowom autorki.

Po teatrze i herbacie, bal się rozpoczął, i trwał do białego dnia, przerywany od czasu do czasu muzyką i śpiewem amatorów, wśród których solenizant sympatycznym swym barytonem odśpiewał kilka piosnek filaretów. Niepotrzebuję upewnić, że w takim nastroju bawiono się ochoczo; a gdy już dzień zaświtał na dobre, lotne sanki uniosły rozmarzonych, na krótki spoczynek do najbliższych dworów; gdyż nad wieczorem, znowu się całe towarzystwo napowrót zjechało, i ochota trwała znów do dnia.

Bawiono się też w one czasy na prawdę. Pomimo srogiego ucisku Mikołajowskich rządów, życie szlacheckie na Litwie, jakby za dewizę przyjęło tę piosnkę akademicką: „Precz, precz

smutek wszelki!“ Po 1840 roku jakaś otucha wstąpiła w serca. Wracające po Niemnie wiciny z Królewca, razem z talarami i winem, przywoziły zwykle najsrożej zakazany towar: pisma i książki zagraniczne. Była obfitość wszystkiego; chłop odrabiał pańszczyznę; wyjazd za granicę był wzbroniony; nieznano jeszcze owych kwestyi socyalnych, które tyła goryczy miały zatruć stosunki dzisiejszej społeczności; nieznano też jeszcze między ludem i owych fałszywych proroków, którzy nie w imie miłości, lecz w imie nienawiści, mieli doń przemówić; nieprzeczuwano nawet téj nieszczęsnej burzy, którą miał widzieć rok 46ty... Wiedzano, że się coś warzy na zachodzie, coś się gotuje; to też i w zwykłej nadziei, że się coś z tego i dla Polski wywarzy, bawiono się w błogiem oczekiwaniu, w całym znaczeniu słowa. Młodzieży było mnóstwo, więc tancerzy niebrak; tancerki hoże i urocze; rozmilowane w pismach Hofmanowej, nieznały jeszcze potrzeby, szukać sobie pozycyi i chleba po szerokim świecie, z Lassalem w rękę; a więc zabawa była ochocza i świetna. Polek nie tańczono jeszcze; ale za to poloneza wiódł chorąży Slizień, a w mazurze przywodził Jezierski, Mazurem przezwany. I była to jakby wyjęta kartka z pana Tadeusza, którego już wówczas przepisywano w setnych egzemplarzach; tylko że tam głównemi osobami byli generałowie Napoleonscy, co z tyłu bitew szczęśliwie wyszedłszy, przyszedli do ojczyzny, by ją znowu dla złudnych rzucić nadziei; tu, dwaj wygnańcy, co po dwudziestoletniej blisko niewoli z Sybiru wrócili, przyszedli, by nawiązać wątek przerwanéj roboty, by pracować dla ludu, i wśród ludu, w którego podniesieniu jedyne zbawienie ojczyzny widzieli, — i aby nareszcie, położyć kości na téj ziemi, za którą tyle wytęsknili.

To też niezadługo, bo w lat parę, jeden z nich Jan Cze-czot, wyczerpawszy wszelkie środki, jakie pomoc lekarska i troskliwość gospodarzy dać mogły, na wiosnę 1847 r. udał się do druskienickich wód, gdzie po dniach niewiele Bogu ducha oddał. Pochowany w Rotnicy, na cmentarzu, obok kościoła parafialnego, gdyż wówczas Druskieniki ani kościoła, ani cmentarza nie miały, spoczywa tam wśród kmiotków, dla których za życia był bratem. Szumią mu tam dokoła sosny puszczy głębokiej, i szmerze Rotniczanka, jakby pieśń grobową, niosąc swe wartkie wody do bliskiego Niemna. Nie mam potrzeby mówić,

że pogrzeb był godny Czeczota i Litwy; że były piękne i jak na owe czasy, śmiało wypowiedziane mowy; że wszystko, co żyło w Druskienikach, odbyło w dniu tym pieszą pielgrzymkę do Rotnicy, za trumną, którą my młodzi zanieśliśmy aż do grobu. Po latach kilku, nad tą mogiłą, stanął nagrobek, wzniesiony przez Leopolda Walickiego z Jezior, (tego, co téż przed parą laty zmarł na wygnaniu w Irkucku); na którym wryto wiersz następny, niepospolicie piękny i treściwy Antoniego E. Odyńca:

Młodość przepędził w pracy dla nauk i cnoty,
Wiek męzki przetrwał mężnie w próbach i cierpieniu,
Miłość Boga i ludzi — treść jego istoty;
Cały ciąg życia jego — droga ku zbawieniu...
Imię jego w ojczyźnie jest wiecznie związanem
Z Adamem Mickiewiczem i Tomaszem Zanem
Kto wiesz czém oni byli — schył skroń przed tym głazem;
Pomyśl — westchnij — i módl się za wszystkich trzech razem.

W lat kilka później, po szczęśliwém pożyciu z żoną, którą był pojął z rodziny Świętorzeckich, w Wilejskim, umarł i Tomasz Zan. Los mu oszczędził boleści patrzania na ruinę wszystkiego, dla czego żył i cierpiał. Umarł w czasie pełni ułud; których nie podzielał, a które za lat kilka miały być tak brutalnie i dziko zdeptane stopą Murawjewa! Ostatnie lata jego życia były jakby streszczeniem jego uczuć poślubionych za młodu i wspólnych mu z Czeczotem: miłości Boga i ludzi. Dom jego stał otworem dla wszystkich, w najobszerniejszym słowa znaczeniu, lecz już się rzadko zeń wychylał, oddany rodzinie i obowiązkom służby rządowej. Opieka nad ludem, praca nad rolą i modlitwa, to były najmilsze zajęcia, co mu do grobu towarzyszyły. Umarł 1855 roku w Kochaczynie na Białej Rusi, na łonie rodziny i przyjaciół, oplakiwany od kniotków, którym był ojcem. Pochowany w Smolanach, gdzie mu Władysław książę Lubomirski położył nagrobek z napisem:

„Miły Bogu i ludziom, Tomasz Zan, którego pamiątka jest w błogosławieństwie.“

Śmierć jego dotknęła boleśnie wszystkich, którzy wiedzieli, czém był dla kraju; chociaż nie brakło i takich, z których jedni zwali go dziwakiem, drudzy marnotrawcą.

Przyjaciół jego najlepszy i towarzysz z lat szkolnych, Leonard Chodźko, tak o nim w jego życiorysie mówi:

„Przyjęcie i poparcie, jakie powstanie w 1830 r. znalazło w Litwie całej, winne było poczęści Zanowi. Onto zasiał tam pierwsze jego ziarna; wprawdzie znalazł on w bohaterskim i gotowém do czynu usposobieniu młodzieży litewskiej silną pomoc, w przeprowadzeniu swych zamiarów przeobrażenia moralnego zawsze jednak potrzeba tu jeszcze było mocy przykładów i siły woli, ażeby tym umysłem gorącym nadać kierunek użyteczny i poważny; a tą siłą woli, i tym uosobionym wzorem, był Tomasz Zan.“

Kiedyż go zrozumieją — i czy go téż kiedy zrozumieją — wszyscy!

Edward Pawłowicz.

W KRÓLESTWIE RUIN.

Wątpię, by pomiędzy czytelnikami téj książki znalazł się choć jeden, coby nie znał „Króla zameczyska“ — lecz przypuszczam, że wielu pomiędzy nimi jest takich, co bohatera owéj powieści zaliczają do kategorii mytów; co typ stworzony przez Goszczyńskiego składają na karb romantyzmu autora; słowem, biorą osobę Machnickiego za wytwór fantazyi, za jakąś postać legendową.

Wyznam otwarcie, że sam do niedawna dzieliłem w części to powszechné mniemanie. I nie mogło być inaczej. Ten szaleńiec, zamykający się dobrowolnie w obrębie murów odrzykońskich, prorokujący kamieniom i wskrzeszający dawno umarłe postacie dziejowe: trącił co najmniej anachronizmem.

To téż z niemalém zadowoleniem dowiedziałem się parę lat temu, że po dziś dzień żyją jeszcze ludzie, którzy na własne oczy oglądali tego szczególnego waryata i zachowali o nim niewygasłe dotąd wspomnienie.

Poznać dziedzictwo Króla zameczyska, dowiedzieć się o nim bliższych szczegółów, stało się teraz jedyném mojem pragnieniem.

Jakoż latem 1877 r. wybrałem się do *Odrzykonii*.

Ruiny zamku, widne już z daleka po drodze, roztaczały przedemną cały szereg swych historycznych wspomnień i napełniały mię naprzemian jakimś na pół uroczystém, to znowu przytłaczającym wrażeniem. Świetne czasy Zygmunatów i Batorych, czasy Kämienieckich, Firlejów i Bonarów, a dalej późniejsze

kłęski, jakie ten gród warowny za Jana Kazimierza przechodził: żywo stały w mej pamięci.

Marząc tak, ani się spostrzegłem, jak drabiniasty wózek mojego woźnicy zatrzymał się u stóp wzgórza, skąd już tylko parę staj drogi dzieliło mię od ruin zamczyska. Zeskoczyłem rażno i w kilka chwil znalazłem się w obrębie tych historycznych zwalisk.

Na samym wstępie do zamku, zastałem już czekającego jakby umyślnie przewodnika, którym był jakiś rezolutny i inteligentny wieśniak. On mię oprowadzał po ruinach. Wpatrzony w tę wielką księgę skamieniałych dziejów, z której czas i ręka złych ludzi wydzierały kartę po karcie: słuchałem z zajęciem jego opowiadania.

— Czy jest kto jeszcze w Odrzykoniu, coby zapamiętał Machnickiego? — zapytałem.

— A któżby go nie znał — odparł naiwnie — wszakże mieszkał w naszej chacie przez dwie zimy.

— Jak to w waszej? — wtrąciłem z powątpiewaniem. — Nie wydajecie mi się tak starym, a Machnicki umarł przecież przed czterdziestu laty.

— Dobiegam już pięćdziesiątki, z przeproszeniem pana, a Machnickiego dobrze pamiętam, gdyż brał mię często „dzieckiem będącego“, do swego *królowania*.

— A gdzie się rozciągało to jego królestwo?

— A niby w całym zamku. A tu na lewo — dodał, wskazując ku zachodniej stronie ruin — znajdowało się wejście do jego podziemia. Później w to miejsce zwała się część murów zamkowych i zasypała pieczarę.

— A nie pamiętacie, jak tam wyglądało?

— A jakże, pamiętam. Była to piwnica na dwoje przedzielona, w której Machnicki chował jakieś żelaza i księgi, a nadto miał skarbiec, do którego składał znalezione w zamku pieniądze.

— Jakto, znajdował i pieniądze? a jakie? czy duże, srebrne?

— Gdzietam, nie wszystkim to dano — mówił tajemniczo — to była lichota jakaś, za którą żydzi złamanego grosza nie dają; zaraz je panu pokażę.

Rzekłszy to, pobiegł do pobliskiej chaty i przyniósł garść szelągów z czasów Jana Kazimierza.

Udaliśmy się na dalsze zwiedzanie ruin. Gadatliwy mój przewodnik opowiadał mi mnóstwo cudownych historii: o zaklętych skarbach, jakoby zakopanych w podziemiach tego zameczyska; o upiorach, które co noc zjawiają się na ruinach; o dziwném jakiémś ziele, które rośnie jedynie na wałach zamkowych i posiada władzę gojenia ran — gdyż się *krwi nassało* — i tym podobnych fantastycznych legend, wijących się zazwyczaj jak bluszcz albo dziki winogrod około ruin i starych zwalisk.

Daremnie jednak szukaliśmy owego cudownego ziele, które najwięcej zajęło mnie z całego opowiadania mego przewodnika; poszukiwania nasze nie odniosły skutku, a mój cicerone nie umiał bliżej określić właściwych cech téj niezwykłej rośliny.

Gdym go jednak zagadnął, skąd owemu ziele taką skuteczną moc przypisują? — odparł, że niektóre rośliny, wzrosłe na gruncie krwią ludzką przesiąkniętym, posiadają w wysokim stopniu leczniczą siłę, jak to niejednokrotnie na samym sobie doświadczył.

— To jednak, które u nas rośnie — dodał z głęboką wiarą, która mię do reszty podbiła — posiada stokroć większą siłę od innych!

Krażyłem około zamku, zachwycając się coraz to nowemi a bardziej uroczemi widokami, jakie przesuwaly się przed moim wzrokiem. Z jednej strony srebrna wstęga Wisłoku i równina ciągnąca się aż ku Krosnu — z drugiej, faliste wzgórze posyite gęstymi lasami i fantastycznych kształtów skały, którym wyobraźnia ludowa nadała miano *Prządek* albo *Dziewiczych kamieni*.

Zaiste, Król zameczyska nie mógł sobie być wybrać odpowiedniejszej rezydencyi i bardziej przemawiającego do wyobraźni zakątka.

To téż, jak mi opowiadał mój przewodnik — a co jest zupełnie zgodne z relacją Goszczyńskiego — przez całe lato nie ruszał się Machnicki z zamku, aż dopóki pierwsze mrozy nie wypłoszyły go z jego królestwa. Wtedy schodził do chat wieśniaczych i albo w kurnych izbach chłopów odrzykońskich, albo téż u proboszcza w Krośnie odbywał zimowe rekolekcyje, zajmując się pisaniem własnych pamiętników i układaniem poezyi. Niestety, ani o owych pamiętnikach, ani o poczyach biednego oblakańca nie umiem nic bliższego powiedzieć. Goszczyński zachował nam w swojém dziele ułamek z jego improwizacyi, który,

jeśli nie jest utworu autora „Sobótki“, świadczy pięknie o talencie Machnickiego.

W rok niespełna po sprowadzeniu się swoim do ruin opustoszałego zamczyska, znalazł Machnicki towarzysza w osobie jakiegoś księdza, który zajął piętrowy pokój w narożnej baszcie. Kto jednak był ów anachoreta, dzielący dobrowolnie wygnanie „Króla zamczyska“, napróżno się dopytywałem. Dowiedziałem się tylko, że mieszkał z nim przez jedno lato, a potem gdzieś się zapodział...

— Czy pan widzi te kupy kamieni, poukładane naokoło zamku? — przerwał moje dumanie przewodnik. — Wszystko to robota Machnickiego. Chciał on koniecznie podnieść ten zamek z gruzów — i każdy kamyk, każdą cegielkę odbitą przez wichry i burze, zbierał skrzętnie na jedno miejsce, aż naskładał siedm takich kupek.

— Ba! — zawołałem niby od niechcenia — komu też by się chciało odbudowywać taką rudę?

— Czemu nie — odparł mój przewodnik. — Za czasów Machnickiego zamek nie wyglądał tak obdarty jak dzisiaj. Była jeszcze baszta narożna, były pokoje na piętrze...

— A cóż z basztą się stało?

— Rozebrano ją na kościół do Korczyna, ale teraz przyszedł nakaz z powiatu, aby nie już z zamku nie ruszać.

Uśmiechnąłem się smutnie. Co tu zabierać więcej, kiedy tylko same zewnętrzne mury pozostały. Z baszt, komnat zamkowych, o których mi mówił przewodnik — nie ma ani śladu.

Nadjechało właśnie liczne towarzystwo. Z chichotem i gwarem, tak nieprzystającym do ciszy tego pustkowia, rozbiegło się po podwórzu zamkowym. Jakiś poważny jegomość, spostrzegłszy mnie samowtór błądzącego pomiędzy ruinami — zbliżył się z grzecznym ukłonem i zawiązaliśmy rozmowę.

Od niego dowiedziałem się następujących szczegółów o Machnickim.

— Machnickiego pamiętam dobrze — mówił mój nowy znajomy. — Bywał często w Kambornii u pana Franciszka Urbańskiego, gdzie go kilkakrotnie widywałem. Postawa jego była dumna i fantastyczna. Nosił wieniec z róż na głowie, a w rękę zamiast berła piastował pęki maku polnego. Mówił płynnie i z niezachwianą pewnością siebie. Przypominam sobie dobrze,

jak dzieci chowały się do kątów, ilekroć ten dziwaczny pielgrzym pojawił się we dworze. Za to my starsi słuchaliśmy go z zajęciem. Miał przedziwny dar słowa i wielce bujną fantazyę, która wprawdzie zbaczała nieraz na manowce, ale te wysoki były tak genialne, że nie chciało się opowiadającego zwracać na właściwe tory. Często, jakby w natchnieniu improwizował wiersze, swoje czy cudze — nie wiem dokładnie, ale pamiętam, że odznaczały się piękną formą i głębszą myślą, a nadto, wiała od nich jakaś niezwykła tęsknota. Wpływ, szczególnie na lud wiejski, wywierał wielki. Powszechnie też uważano go za czarownika. W istocie, był to człowiek czytany, gładki w obejściu i skromny w potrzebach, mile widziany w każdym domu; cóż, kiedy nieszczęścia pomieślały mu zmysły.

— Więc to nieszczęścia były powodem jego umysłowego rozstroju. A czy wolno zapytać, jakie?

— Wypadki, rozpoczynające czwarty dziesiętek bieżącego stulecia, oddziaływały tak silnie na niego, że ugiął się pod ich ciężarem i ze spokojnego kancelisty stał się nieszkodliwym waryatem.

— Wspomniałeś pan, że Machnicki był urzędnikiem.

— Tak jest, pracował w urzędzie cyrkularnym w Dukli, w komisji rachunkowej podatek urbarialny obliczającej. Praca ta żmudna i ciężka, do reszty wyczerpała jego wątłe siły. Zaczął się opuszczać; w rachunkach dostrzegano coraz częstsze omyłki; patrzano czas jakiś przez palce, aż w końcu wypowiedziano mu służbę. Od tej chwili datuje się jego jawne obłąkanie — i założenie królestwa, które niestety nie było królestwem z tego świata.

Od innych wędrowców, których spotykałem w późniejszych moich wycieczkach do ruin zamku odrzykońskiego, powziąłem ledwie parę suchych dat, które już nie wiele mówią o „Królu zamczyska.“

Jan Machnicki, syn włościanina z Białobrzegów, wioski leżącej w dawnym obwodzie jasielskim, urodził się 1780 r. Od wczesnej młodości okazywał on niezwykłą chęć do nauk, co zwróciło nań uwagę dziedzica, p. Adama Urbańskiego, który go oddał do szkół oo. jezuitów w Krośnie. Machnicki uczył się pilnie i byłby niewątpliwie poszedł na uniwersytet, gdyby nie wydalenie z kraju jezuitów i równoczesne zamknięcie ich zakładu naukowego. Wykolejony w połowie drogi, skończywszy zaledwie

poetykę, co się równało w dawnych czasach naszej piątęj klasie gimnazyjalnej — uzupełniał sam dalszą swoją edukacyę. Późniejsze jego losy wiadome. Umarł w 1841 r. w Krośnie i tam téż pochowany.

Oto wszystko, co mi się udało zebrać o Machnickim. Sympatyczny ten obłąkaniec, do dziś dnia jeszcze według wiary ludowej, rozciąga swoje panowanie nad starém zameczyskiem. Nieraz o północy, zabłąkany w te strony wędrowiec, widzi zdumiony samotną postać przechadzającą się po ruinach...

To duch Machnickiego czuwa na wyłomie dawnego swego królestwa.

Władysław Bełza.

